

Justyna Dźbik-Kluge

ŚLUBY (nie) POSŁUSZEŃSTWA

Prawdziwe życie zakonnice



znak

Justyna Dźbik-Kluge

ŚLUBY (nie)POSŁUSZEŃSTWA

Prawdziwe życie zakonnice

Wydawnictwo Znak
Kraków 2023

A GDYBY TAK...

Patrzę w górę.

Zimne powietrze owiewa moją twarz.

Wodzę wzrokiem za przelatującymi po niebie ptakami.

Czuję spokój. Myśli płyną powoli.

A gdybym tak nie wróciła?

Poszła do auta, odpaliła silnik i pojechała gdzieś, gdziekolwiek. Morze?
Czemu nie?

Na dzień, dwa, więcej...

Zostawić to wszystko, wyjść z domu i po prostu iść przed siebie.

Sama ze sobą, z ciszą, z przestrzenią. Bez ludzi dookoła. Bez płaczu,
bez braku snu.

Stoję przed wejściem do swojej klatki w bloku i wszystkie te myśli
przebiegają przez moją głowę. Szare kontury budynku przypominają trochę
wielką, posępną postać, która na mnie patrzy.

W prawej ręce trzymam sprawunki z osiedlowego sklepu.

Wyszłam po raz pierwszy od tygodnia. Dokładnie siedem dni temu na
świat przyszedł mój pierwszy syn. Urodził się z żółtaczką. Fizjologiczną,
więc do opanowania, ale przez tych siedem długich dni na zmianę
karmiłam go i wkładałam do lampy naświetlającej, która miała pomóc
w podniesieniu poziomu bilirubiny. Miałam cel, zadanie – karmiłam

i naświetlałam, karmiłam i naświetlałam, na mikroskopijne oczka zakładałam okulary ochronne i kładłam głowę na poduszkę, próbując zmrużyć oko choć na moment. Spałam może po trzy godziny na dobę. Raz chyba nawet pięć, ale w systemie: dwie godziny – godzina bezsenności, karmienia, zmęczenia, kolejne trzy godziny snu wartownika – i dalej karmienie, zmęczenie, płacz dziecka...

Po tygodniu w szpitalu, co zawsze jest przykrym doświadczeniem – niezależnie od tego, jak dobre panują w nim warunki i jak życzliwa jest opieka – gdy wyszłam do osiedlowej Żabki, czułam się jak wypuszczona z zamknięcia, więzienia, znów wolna, w normalnym, „dorosłym” świecie.

Dlaczego to wspomnienie, jak to stoję na osiedlu przed klatką, gapię się tępo w niebo i myślę, co by było, gdybym teraz uciekła, otwiera książkę, której bohaterkami są siostry zakonne?

To „wina” sióstr.

Każde ze spotkań było jak zarzucanie wędki i łapanie na haczyk. Z tym że tej wędki nie zarzucałam ja. Robiły to siostry. Zdarzało im się powiedzieć zdanie, które pracowało we mnie przez kolejne dni i miesiące. Jedno z takich zdań sprawiło właśnie, że przeniosłam się w czasie do października 2014 roku i znów stanęłam na osiedlowym podwórku.

Stałam wtedy przed blokiem, a tak naprawdę przed wyborem. Bo przecież póki życie trwa – wybór jest. Mogłam uciec od odpowiedzialności, schować się przed zobowiązaniem albo odrzucić wątpliwości i wrócić do nowo narodzonego dziecka, które przez pierwsze trzy miesiące życia jadło niemal co godzinę, a ja nie wyobrażałam sobie chyba innej opcji niż karmienie go piersią. Nie spałam więc prawie wcale, spędzając czas między kanapą a dziecięcym łóżeczkiem, do którego Heniek od czasu do czasu dawał się odłożyć. Wybrałam jednak takie życie świadomie, mimo lęku i ogromnego poczucia zagubienia. Wybrałam wstawanie w nocy, nucenie

absurdalnych piosenek, które nie wiedzieć czemu usypiały mojego synka, gapienie się razem z nim w lampki choinkowe niedbale zawieszane nad telewizorem, bujanie, lulanie, noszenie na rękach.

– Spodziewała się siostra tego wszystkiego, co wydarzyło się w siostry życiu zakonnym? – zapytałam jedną z bohaterek tej opowieści.

– A pani się spodziewała, jak będzie wyglądało pani życie rodzinne, gdy brała pani ślub i rodziła pani dzieci? – siostra Anna zapytała mnie w rewanżu.

Odpowiedź była oczywista. Nie.

Wybrałam życie, do którego nie da się przygotować, o którym jeszcze tydzień wcześniej nie miałam bladego pojęcia.

Z początku pytanie siostry Anny wydało mi się prowokacyjne i ucieczkowe. Przecież pytaniem na pytanie odpowiada ten, kto miga się od odpowiedzi. A jednak zaczęłam się głębiej zastanawiać nad tym, co powiedziała.

Kto z nas, wchodząc w dorosłe życie, decydując się na dom z ogródkiem, podróżowanie po świecie, mieszkanie w bliźniaku z rodzicami czy z kotem w przytulnej kawalerce, jest w stanie przewidzieć, co się wydarzy i czy będzie zadowolony z obranego kursu? Kiedy tak stałam przed blokiem tydzień po urodzeniu dziecka, dokonałam świadomego wyboru. W końcu nikt nie przywiązał mnie do dziecięcego łóżeczka. Mogłam zadzwonić do męża, powiedzieć, że nie daję rady. Nie zrobiłam tego, bo mam silne poczucie słuszności wyboru tej drogi życiowej, bez względu na wątpliwości i codzienne trudy bycia w rodzinie.

Czy nie jest tak, że siostra zakonna każdego dnia dokonuje swojego wyboru? Raz za razem, codziennie na nowo godzi się na swoje zakonne zobowiązania? Lub je odrzuca. Przecież może wyjść i nie wrócić. Może rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady.

Zanim zakonnica złoży śluby wieczyste, które na zawsze zwiążą ją ze zgromadzeniem i przede wszystkim z Bogiem, przez sześć do dziewięciu lat trwa formacja zakonna. Siostry uczą się, doskonalą, pogłębiają swoją duchowość. Na każdym etapie formacji mogą stwierdzić: „Zmieniam zdanie, nie chcę tu być”. I nawet będąc już w zakonie, można powiedzieć: „Nie wiem, pogubiłam się, muszę odpocząć”, i zrobić sobie swoisty urlop od wspólnoty. O tym, jak działa eksklustracja, opowie jedna z bohaterek tej książki, która skorzystała z tego rozwiązania.

Każdy i każda z nas może w swoim życiu powiedzieć: „Pas!”. Póki to życie trwa, możemy coś zmienić – zdecydować inaczej, skrócić z utartej ścieżki, obrać nowy kierunek. Możemy odejść od przemocowego partnera, zmienić wyczerpującą pracę, wybrać życie na emigracji, odejść z zakonu. Każdy dzień jest naszym wyborem. Możemy wyjść albo zostać w domu, zadzwonić do kogoś bliskiego albo spędzać czas samotnie, posprzątać albo żyć w nieładzie. Jak pisze Katarzyna Bonda w *Kobiecie w walizce*:

Życia nie odmieniają żadne wielkie decyzje ani zbiegi okoliczności. Na życie składają się wszystkie małe wybory, nieistotne posunięcia, pozornie nic nieznaczące detale. Raz za razem, cios za ciosem, błąd za błędem, sukces za sukcesem – zmierzasz tam, dokąd prowadzą cię te miniaturowe, lecz konsekwentne kroki¹.

Codzienne wybory, decyzje, rozterki, opcje, warianty – jesteśmy w nich zanurzeni. Ograniczone, jak nam się często wydaje, a nawet zniewolone zakonnice – również.

Może moja życiowa opowieść – ateistki z dwójką nieochrzczonych dzieci, w małżeństwie bez ślubu kościelnego – nie jest wcale tak diametralnie odmienna od opowieści zakonnicy – zanurzonej w modlitwie, bezdzietnej, kochającej Boga kobiety?

Mam na myśli oczywiście pójście dalej, głębiej, nie przyglądanie się tylko zewnętrznym emanacjom codzienności, ale świadome spojrzenie w stronę kobiet w różnych życiowych okolicznościach, z podobnymi jednak wątpliwościami i rozterkami.

Maria Paszyńska – pisarka, autorka powieści obyczajowych, znająca skądinąd zakonne środowisko – powiedziała podczas jednego z naszych wywiadów, że miłość jest dla niej codziennym wyborem. Budzi się rano obok swojego męża i mówi: „Tak, wybieram ciebie. Chcę z tobą być”. Ta jasność wyboru pociąga za sobą kaskadę dalszych działań – i tych wielkich, jak odpowiedzialność za drugą osobę, pomaganie jej, gdy tego potrzebuje, i całkiem powszednich, jak robienie zakupów do wspólnej lodówki czy organizowanie wakacji. Gdyby podobnie spojrzeć na kobietę w zakonie, to codziennie budzi się ona, mówiąc Bogu: „Tak, Kocham Cię i chcę być obok Ciebie. Chcę swoim życiem dawać świadectwo Twojej obecności”. To z kolei pociąga za sobą cały zestaw konsekwencji związanych z życiem we wspólnocie, w zamknięciu, w zakonie. O tych konsekwencjach opowiadają bohaterki tej książki.

*

Wchodząc do świata sióstr zakonnych, liczyłam na znalezienie wielu odpowiedzi. Paradoksalnie jednak każdy kolejny wywiad prowokował następne pytania.

Kluczowe z nich brzmi: po co w ogóle iść do zakonu? Przecież to ogromne poświęcenie, a wielbić Boga i służyć ludziom można na tryliard innych sposobów. Można pomagać charytatywnie w fundacji, jechać za granicę na świecką misję, można zatrudnić się jako wolontariuszka w hospicjum, pomagać dzieciom na szpitalnym oddziale. Najtrudniej pojąć konieczność składania ślubów, które na logikę mogą się wydawać

niewyobrażalnym wyrzeczeniem. Każda zakonnica, niezależnie od zakonu czy zgromadzenia, składa śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Czyli mówiąc bardzo wprost: rezygnuje z seksu, każde zarobione pieniądze przekazuje przełożonej, a do tego poddaje się wszystkim jej decyzjom. I po co? W imię czego?

Z tych rozmyślań wybił mnie podczas pewnego spotkania przy porannej kawie poeta, publicysta, myśliciel Wojciech Bonowicz. Spotkaliśmy się, by nagrać wywiad o jego wówczas najnowszej książce *Historie na każdą godzinę*.

– Zbieram materiał do książki o zakonnicach – zagaiłam nieśmiało, gdy wywiad zapisywał się już na dysku mojego dyktafonu.

– A wiesz, minąłem niedawno podczas spaceru dwie siostry zakonne – odpowiedział Wojtek. – Obie czarnoskóre, pewnie przyjechały na jakąś misję. Uśmiechnąłem się do nich, przywitałem się, chwilę porozmawialiśmy. Myślę, że siostry zakonne są ważnym znakiem nie tylko dla Kościoła, ale dla ludzi w ogóle. Ich obecność, poświęcenie dla Boga, działania, które podejmują, świadczą o tym, że życie ma więcej wymiarów, nie wyczerpuje się tylko w tym, co dzieje się tu i teraz.

Ale za jaką cenę?! – myślę oburzona, idąc do samochodu. Rozumiem słowa Bonowicza, jednak trudno mi się z nimi zgodzić. Służba Bogu i ludziom za cenę odcięcia się od przyjemności, od bliskich? Brak partnera, życie w ubóstwie, bez wygod, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy z każdej strony słyszymy komunikaty w stylu: „Możesz wszystko!”, „Twoje życie zależy tylko od ciebie!”, „Rozwijaj się, sięgaj gwiazd”? To bez sensu. Mogłoby odpowiadać chyba tylko ludziom aniołom, a nie ma ludzi aniołów. A może są? Sugerują to niektóre wydane do tej pory książki o życiu zakonnym.

Szybko na moim biurku rośnie stosik publikacji ze słowami „klasztor”, „zakonnica”, „siostry” w rolach głównych. Zadziwiające, że książki, których bohaterkami są siostry, można łatwo postawić w opozycji „albo–albo”. Albo mamy kolorowe okładki pełne zdjęć uśmiechniętych zakonnicek i wyznania: „Kocham Pana Boga”, „Bogu dziękuję, że jestem zakonnica”, „Pan nadał mojemu życiu sens”, albo posępne refleksje byłych sióstr, które odeszły z powodu przemocy, niezrozumienia, ostracyzmu. Są oczywiście w tej zakonnej popliteraturze „książki środka”; jest ich jednak stosunkowo niewiele, a opatrzone tytułami w stylu *Habit zamiast szminki* na dzień dobry spływają istotę życiowego wyboru zakonnicek.

Decydując się na tę książkę, postanowiłam spróbować nie oceniać, nie naciskać rozmówczyń, nie szukać sensacji, ale pytać szczerze o rzeczy, które osobom spoza stanu duchownego trudno jest zrozumieć. Chciałam spojrzeć na zakonnice jako na kobiety, które wybrały drogę pewnego wyrzeczenia, stały się częścią pewnego systemu, ale starają się zachować swoje zasady, cele, mieć swoje zdanie, robić to, co dla nich w życiu ważne. Czy przy ślubowaniu posłuszeństwa to w ogóle możliwe? Również o tym jest ta opowieść.

¹ Katarzyna Bonda, *Kobieta w walizce*, Wydawnictwo MUZA, Warszawa 2022.

CHARYZMAT, HABIT, KLAUZURA

„Zakonnice to grupa mocno zmitologizowana, a jednocześnie na tyle zróżnicowana wewnętrznie, że nie da jej się zamknąć w gładkich frazesach” – pisze sekretarz redakcji katolickiego kwartalnika społeczno-kulturalnego „Więź” Ewa Buczek. Odzywam się do Ewy w poszukiwaniu kontaktów do zakonnice. Znamy się od ponad dwudziestu lat. W liceum chodziłyśmy razem do klasy.

Owo zmitologizowanie bierze się bez wątpienia z tajemnicy, jaką owiane jest życie zakonne. Nic tak dobrze nie karmi domysłów i teorii spiskowych jak ograniczone informacje. A przecież zakonnice nie chwają się swoim życiem na prawo i lewo.

Owszem, siostry coraz chętniej wychodzą do ludzi, na przykład poprzez media społecznościowe. Kiedy piszę te słowa, siostra Paula, która od trzydziestu lat należy do Zgromadzenia Sióstr Świętej Katarzyny Dziewicy i Męczennicy, zbiera kolejne setki tysięcy (!) polubień swoich filmików na TikToku, a siostry „pingwiny” z Broniszewic, prowadzące Dom Chłopaków, licytują na Facebooku pluszowe figurki tych ptaków, z których dochód zasili ich charytatywne działania. Ale to tylko kropla w morzu, która nie zaspokaja naszej ciekawości. „Jak zakonnice radzą sobie z popędem?”, „Jak żyją zakonnice?”, „Jak zarabiają zakonnice?” – te zdania podpowiada wyszukiwarka Google po wpisaniu: „Jak zakonnice...”.

Widać, jakie treści na temat tej hermetycznej grupy cieszą się największym zainteresowaniem.

Poszukiwanie sensacji skutecznie podsycają media. Redakcje telewizyjne, radiowe, internetowe potrafią miesiącami „grzać” tematy dotyczące przypadków patologii w zakonach. Czy wszystkie zakonnice są jak siostra Bernadetta? Boromeuszka znęcała się nad podopiecznymi ośrodka wychowawczego, który prowadziła, biła ich i przyzwalała na przemoc seksualną². A może jak betanki z Kazimierza Dolnego? Zbuntowane siostry przez dwa lata okupowały klasztor, wierząc ślepo w polecenia swojej przełożonej – rzekomo doświadczającej cudownych objawień siostry Jadwigi³. Czy w każdym ośrodku prowadzonym przez siostry dzieje się tak źle jak w Jordanowie? Latem 2022 roku dziennikarze Wirtualnej Polski opisali sytuację w domu pomocy społecznej w małopolskim miasteczku, gdzie prowadzące go siostry prezentki biły, wiązały i wyzywały podopiecznych⁴. „Siostra Bernadetta”, „betanki z Kazimierza”, „DPS w Jordanowie” – te hasła weszły do ogólnego obiegu jako symbol nadużyć i nieprawidłowości we wspólnotach zakonnych. Ilu odbiorców zrobiło z tych słów wspólny parasol dla wszystkich zakonnice? Jak te wydarzenia wpisały się w ogólny obraz „patologii w polskim Kościele”, demaskowanych między innymi przez głośne dokumenty braci Sekielskich?⁵ Wiele osób postawiło znak równości między słowami „ksiądz” i „pedofil” i pewnie również niemało, gdy słyszy: „zakonnica”, myśli: „znęcanie się nad podopiecznymi”.

Opisane wyżej przykłady są tragiczne i nadają się do prokuratury, opisują jednak niewielki wycinek codzienności polskich zakonnice, która bez wątpienia nie zawsze podszyta jest traumą, przemocą i wypaczeniami.

Mitologizujemy siostry, bo nie mamy wielu informacji o ich życiu od nich samych, a wieści, które do nas docierają, to najczęściej historie

wypaczeń i nadużyć, promowane zgodnie ze starą medialną zasadą *bad news is good news*.

„Zakonnice to grupa zróżnicowana wewnętrznie” – mówi Ewa Buczek. Rzeczywiście, doświadczeni uczestnicy oazowych wyjazdów doskonale znają ilustrujący to dowcip: „Nawet papież nie wie trzech rzeczy: na czym polega franciszkańskie ubóstwo, co myślą jezuici oraz ile jest żeńskich zgromadzeń zakonnych”⁶. Choć liczba zakonnice w Polsce systematycznie spada, nadal sióstr jest więcej niż braci. W Polsce żyje około trzydziestu dwóch tysięcy osób konsekrowanych. Największą grupę stanowią siostry ze zgromadzeń zakonnych – około siedemnastu tysięcy osób. W klasztorach kontemplacyjnych żyje szacunkowo tysiąc dwieście siedemdziesiąt mniszek⁷. Liczba zgromadzeń żeńskich według różnych źródeł wynosi między sto cztery a sto sześć, dla porównania: zakonów męskich jest prawie o połowę mniej – pięćdziesiąt dziewięć.

Łatwo zgubić się w „zakonnej terminologii”. Kiedy znajomemu duchownemu zadaję pytanie, komu podlegają zakony, uśmiecha się i pyta: „A ile mam czasu na odpowiedź?”. Kwestie organizacji klasztorów, obowiązków sióstr, reguł życia zakonnego można podsumować krótkim „to skomplikowane”. Dlatego przed wsłuchaniem się w opowieści sióstr warto wyjaśnić najważniejsze pojęcia, bez których ich historie mogą być trudne do zrozumienia.

Siostry zakonne to osoby konsekrowane, czyli w szczególny sposób oddane Bogu. Drugiego lutego obchodzony jest Światowy Dzień Życia Konsekrowanego, ustanowiony w 1997 roku przez papieża Jana Pawła II.

Siostry żyją zarówno w zakonach, jak i w zgromadzeniach zakonnych. Według dawnej definicji prawa kanonicznego zakon to stowarzyszenie wiernych zatwierdzone przez władze kościelne, którego członkowie, składając tak zwane śluby uroczyste, zobowiązują się do zachowania

posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. Śluby owe pociągały za sobą skutki prawne, na przykład nieważność małżeństwa zawartego w czasie ich obowiązywania, utratę praw własności oraz zdolności nabywania majątku. Zgromadzenie zakonne to wspólnota, której członkowie składają tak zwane śluby proste; nie mają one wspomnianych skutków prawnych. To rozróżnienie zniósł Kodeks prawa kanonicznego z roku 1983. Dziś ma ono wyłącznie znaczenie praktyczne w nazwach, które pozostały bez zmian. Aktualny Kodeks prawa kanonicznego nazywa zakony i zgromadzenia instytutami życia zakonnego⁸. Potocznie na wszelkie wspólnoty, do których należą zakonnice, mówimy „zakon”, choć warto wiedzieć, że nie jest to do końca prawidłowe, a wspólnoty różnią się zarówno zasadami działania, jak i organizacją. Zakony posiadają swoje konstytucje, czyli zbiór obowiązujących w nim praw i obowiązków. Tradycyjnie mówi się też o regułach zakonnych (z łacińskiego *regula*), czyli zbiorach podstawowych przepisów regulujących codzienne życie. Zakony mają również swoje charyzmaty, czyli – mówiąc w uproszczeniu – przewodnie idee działania. Jak podaje Wikipedia, charyzmat w odniesieniu do wspólnot „oznacza dar Ducha Świętego, charakterystyczny dla danej osoby czy wspólnoty, który wyróżnia ją spośród innych i wiąże się ściśle z ich powołaniem oraz wskazuje ich specyficzną misję i najważniejszy kierunek ich działalności”⁹. Na przykład benedyktyнки w swoim charyzmacie mają szukanie Boga poprzez modlitwę, pracę, gościnność i prowadzenie życia wspólnego, a dominikanki – głoszenie prawdy ewangelicznej najbardziej potrzebującym¹⁰.

Każdy zakon ma swój charakter, swoje cele, które przekładają się bezpośrednio na działanie sióstr. W zakonach czynnych siostry prowadzą różne „dzieła”, na przykład szkoły, przedszkola czy domy pomocy. Siostry w zakonach kontemplacyjnych oddają się modlitwie. W tych zakonach

mieszka się za klauzurą i wychodzi tylko w uzasadnionych okolicznościach. Klauzura to zamknięta część klasztoru lub domu zakonnego, do której nie mają wstępu osoby z zewnątrz. Klauzura znajduje się w każdym zakonie: w otwartych to wydzielona przestrzeń, w klauzurowych zamknięty jest cały klasztor. W dokumencie *Vita consecrata* poświęconym życiu konsekrowanemu papież Jan Paweł II wskazał, że klauzura służy przede wszystkim skupieniu życia na kontemplacji Chrystusa¹¹.

Podległość zakonów jest sprawą skomplikowaną – mogą one działać zarówno na prawie papieskim, jak i diecezjalnym, czyli podlegać bezpośrednio Stolicy Apostolskiej lub władzy biskupa. Dom zakonny może podlegać pod prowincję, zlokalizowaną na danym terenie, którą kieruje matka prowincjalna. Zasadniczo w odniesieniu do przełożonej zakonu czy zgromadzenia używa się określenia „matka przełożona” lub po prostu „przełożona” czy „siostra przełożona”. Przełożone spotykają się w ramach Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych¹².

Mistrzynie nowicjatu to siostra, która przygotowuje młode dziewczyny do wstąpienia do zakonu. Czas przygotowania do ślubów wieczystych nosi nazwę formacji. Formacja dzieli się na kilka etapów. Należą do nich postulat i nowicjat, po których przychodzi czas na złożenie ślubów czasowych – wtedy siostra trafia do junioratu. Finałem tej drogi są śluby wieczyste. Warto dodać, że na każdym etapie formacji przyszła siostra może zrezygnować. Patrząc na statystyki z ostatnich lat, przyjęć należy, że każdego roku, na różnych etapach formacji, odchodzi od około stu trzydziestu do dwustu czterdziestu zakonnic¹³. Niektóre zakony mają dodatkowe śluby, uzależnione od ich charyzmatu. Formacja trwa od sześciu do dziewięciu lat – również w zależności od zakonu.

Najbardziej widocznym elementem życia zakonnego jest habit. Habity poszczególnych zakonów różnią się od siebie. Znaczenie ma krój, kolor, elementy dodatkowe jak broszki czy naszyčia. Najpopularniejszy kolor dla strojów zakonnych to czerń, która może zarówno symbolizować zniszczenie ciemności, grzechu i Szatana, jak i odnosić się do żałoby i śmierci. Natomiast w wiekach średnich czerń była często symbolem wzgardzenia światem, pokory, skromności, a nawet czystości. Z działających w Polsce zakonów i zgromadzeń zakonnych czarne stroje noszą siostry i bracia z ponad stu dwudziestu wspólnot¹⁴. Charakterystyczne jest również imię zakonne przyjmowane przez wchodzącą do wspólnoty kobietę. Stanowi wyraz szacunku dla noszącej je patronki, ale też znak pogłębiającego się posłuszeństwa wobec wspólnoty.

Życie zakonne jest w dzisiejszych czasach atrakcyjne dla nielicznych. Według Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych po boomie powołaniowym z końca lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku obserwuje się w zasadzie spadek powołań, przy czym od około piętnastu lat spadek ten nosi już znamiona kryzysu. Dla przykładu: w 2000 roku do zakonów zgłosiło się pięćset sześćdziesiąt sześć postulantek, w 2009 roku – dwieście pięćdziesiąt jeden, w 2017 – sto siedemdziesiąt siedem¹⁵. Trudno oprzeć się wrażeniu, że kryzys powołań do zakonów żeńskich, męskich, a także seminariów duchownych wpisuje się w szeroko komentowany kryzys Kościoła w Polsce.

Nie brakuje głosów, że zakonnice, kojarzące się wielu ze skromnością i ciepłem wobec ludzi, mogłyby pokazać życzliwsze oblicze Kościoła, ocieplić jego wizerunek w społeczeństwie. Być może hierarchowie zauważają ten potencjał, skoro w lutym 2022 roku papież Franciszek wskazał swoją intencję modlitewną „za zakonnice i inne kobiety konsekrowane”. Brzmiała ona tak: „Módlmy się w intencji zakonnice

i innych kobiet konsekrowanych – dziękując im za ich misję i odwagę – aby nadal odkrywały nowe odpowiedzi w obliczu wyzwań naszych czasów”. Czy w ten sposób chciał podkreślić szczególną rolę sióstr zakonnych w odnowie współczesnego Kościoła? Skoro jako kobiety w wielu sferach życia publicznego dochodzimy nareszcie do należnego nam, choć przez wieki odbieranego głosu, to może czas, aby również w Kościele lepiej słyszalny był głos kobiet?

Chcemy mieć realny wpływ na życie społeczne, kulturalne, polityczne. Dlaczego nie na życie duchowe czy religijne? Tym bardziej że kobiety, również te związane z Kościołem, mają swoje zdanie, mądrość, doświadczenia, ale i wątpliwości, które wyrażają, zadając pytania. Nierzadko odnoszące się do głównych założeń życia w zakonie, którym nie chcą się bezrefleksyjnie poddawać.

² <https://katowice.wyborcza.pl/katowice/7,35063,16008000,siostra-bernadetta-siedzi-w-wiezieniu-policja-zabrala-ja-do.html> (dostęp: 22.01.2023).

³ <https://kurierlubelski.pl/setka-policjantow-pogotowie-i-slusarz-w-akcji-zbuntowane-betanki-w-kazimierzu-dolnym-sila-eksmitowane-z-okupowanego-klasztoru/ar/c1-15116058> (dostęp: 22.01.2023).

⁴ <https://wiadomosci.wp.pl/pieklo-u-zakonnicy-bicie-wiazanie-zamykanie-w-klatce-horror-dzieci-w-dps-pod-krakowem-6778332058069696a> (dostęp: 22.01.2023).

⁵ Mowa o niezależnych filmach dokumentalnych wyprodukowanych przez braci Tomasza i Marka Sekielskich: *Tylko nie mów nikomu* (2019) oraz *Zabawa w chowanego* (2020).

⁶ <https://oaza.woju.eu/dodatek/humor/> (dostęp: 13.01.2023).

⁷ Dane pochodzą z badań Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych, <https://zakony-zenskie.pl/zycie-konsekrowane-w-polsce-statystyki/> (dostęp: 28.01.2023).

⁸ <https://kosciol.wiara.pl/doc/495216.Czym-sie-rozni-zakon-od-zgromadzenia> (dostęp: 28.01.2023).

⁹ <https://pl.wikipedia.org/wiki/Charyzmaty> (dostęp: 28.01.2023).

¹⁰ Bogumił Łoziński, *Leksykon zakonów w Polsce. Instytuty życia konsekrowanego i stowarzyszenia życia apostołskiego*, Katolicka Agencja Informacyjna, Warszawa 2009.

¹¹ Adhortacja apostołska *Vita consecrata*, 59, https://www.vatican.va/content/john-paul-ii/pl/apost_exhortations/documents/hf_jp-ii_exh_25031996_vita-consecrata.html (dostęp: 28.01.2023).

¹² <https://zakony-zenskie.pl/> (dostęp: 28.01.2023).

¹³ <https://zakony-zenskie.pl/zycie-konsekrowane-w-polsce-statystyki/> (dostęp: 30.01.2023).

¹⁴ Lucyna Rotter, Dariusz Pawelec, *Co można opowiedzieć ubiorem? Semantyka strojów zakonnych*, Wydawnictwo Avalon, Kraków 2021, s. 176.

¹⁵ <https://zakony-zenskie.pl/zycie-konsekrowane-w-polsce-statystyki/> (dostęp: 28.01.2023).

DLACZEGO ŚLUBY (NIE)POSŁUSZEŃSTWA?

Wasze zaś posłuszeństwo znane jest wszystkim.
A więc raduję się z was, pragnę jednak, abyście
byli w dobrym przemyślni, a co do zła – niewinni.

Księga Rodzaju 16, 19¹⁶

Kto przestrzega karności, idzie ścieżką życia,
a kto gardzi upomnieniem, błądzi.

Księga Przysłów 10, 17

Jeśli człowiek potrafi być tylko posłuszny, jest
niewolnikiem; jeśli potrafi być tylko
nieposłusznym, jest buntownikiem; działa
z powodu gniewu, rozczarowania, urazy, jednak
nie w imię jakiegoś przekonania czy zasady (...)

Taki rodzaj buntowniczego nieposłuszeństwa jest
równie ślepy i bezsilny jak jego przeciwieństwo,
posłuszeństwo konformisty.

Erich Fromm, *O nieposłuszeństwie i inne eseje*¹⁷

– Dla kobiet w zakonie śluby posłuszeństwa są najtrudniejsze do utrzymania. Inaczej niż dla zakonników – im najwięcej czasu poświęca się na wsparcie w utrzymaniu ślubów czystości – mówi siostra Małgorzata.

Jej zdanie potwierdzają moje kolejne rozmówczynie:

– Oczywiście, że nie zawsze byłam zadowolona z decyzji przełożonych – wspomina siostra Anna.

– Domyślam się, że temat relacji seksualnych zakonnic emocjonuje wielu, ale spośród ślubów zakonnych najtrudniejsze wydaje mi się jednak posłuszeństwo. Bywają naprawdę trudne momenty w życiu, gdy ktoś decyduje o twojej wolności – stwierdza siostra Dolores.

Dlaczego kobietom najtrudniej jest poradzić sobie ze ślubami posłuszeństwa? Jaka jest w ogóle ich istota?

Święty Benedykt z Nursji, jeden z ojców Kościoła, mnich, którego reguła stała się podwaliną działania zakonów benedyktyńskich, pisał:

Najprzedniejszym stopniem pokory jest bezzwłoczne posłuszeństwo. Osiągnęli go ci, dla których nie ma nic droższego od Chrystusa. Czy to ze względu na Świętą Służbę, jaką ślubowali, czy to z lęku przed piekłem, czy wreszcie dla chwały życia wiecznego, gdy tylko przełożony wyda jakieś polecenie, nie zwlekają oni ani chwili z jego wykonaniem, tak jak gdyby sam Bóg rozkazywał. O nich to mówi Pan: Są posłuszni na pierwsze wezwanie, a tym, którzy uczą, powiada także: Kto was słucha, Mnie słucha¹⁸.

Wikipedia w definicji posłuszeństwa w Kościele katolickim podaje, odnosząc się między innymi do Kodeksu prawa kanonicznego, że:

Ewangeliczna rada posłuszeństwa, podejmowana w ślubie posłuszeństwa, zobowiązuje osoby konsekrowane żyjące we wspólnocie do podporządkowania własnej woli właściwym przełożonym tej wspólnoty, którzy rozstrzygają

o sprawach dotyczących wspólnoty, zgodnie z własnymi konstytucjami. (...)
Wierna realizacja ewangelicznego posłuszeństwa przez wszystkich chrześcijan
zapewnia całemu Kościołowi jedność i staje się znakiem jego wiarygodności¹⁹.

Z tych zapisów wynika wprost, że ślubując posłuszeństwo Bogu, zakonnica decyduje się również wykonywać polecenia swoich przełożonych jako pewnej emanacji boskich poleceń. Tylko co w sytuacji, w której przełożeni się mylą? Albo mają złe intencje? Nie są dojrzałymi i oczekują od sióstr zobowiązań niemożliwych do dotrzymania?

Znów warto zajrzeć do humoru oazowego. Do okulisty przychodzi zakonnica. Po badaniach lekarz pyta: „Jak to możliwe, że nabawiła się siostra tak poważnej wady wzroku?”. „To proste, panie doktorze. Od dziesięciu lat zmuszam się, by zobaczyć Bożą wolę w decyzjach matki przełożonej”²⁰.

Czy można sprzeciwić się decyzji przełożonej? Jakie są tego konsekwencje? Natychmiastowe odejście z zakonu? Co to właściwie jest wola Boża? Jak ją rozumieć? Czy istnieje jedna słuszna jej interpretacja? Skąd pewność, że to właśnie przełożona ją zna?

Myślę, że w dużej mierze „sukces” posłuszeństwa zależy od mądrze nastawionej do niego przełożonej. Co ciekawe, by tchnąć do zakonów ducha nowszych czasów, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych minionego wieku, podczas Soboru Watykańskiego II, ogłoszono Dekret o przystosowanej odnowie życia zakonnego *Perfectae caritatis*. Jednym z mocno eksponowanych w nim punktów jest ten o posłuszeństwie, w którym twórcy dokumentu bardzo dokładnie określają, jak powinien nim dysponować przełożony (lub przełożona):

Niech podwładnymi kierują jako dziećmi Bożymi i z szacunkiem należnym osobie ludzkiej starają się o to, aby ich posłuszeństwo było dobrowolne. Dlatego niech

zostawią im należną wolność, szczególnie co do sakramentu pokuty i kierownictwa sumienia. Niech do tego wdrażają podwładnych, ażeby w pełnieniu obowiązków i w podejmowaniu zadań współpracowali przez posłuszeństwo aktywne i z poczuciem odpowiedzialności. Niech więc przełożeni chętnie słuchają zdania członków i pobudzają ich do wspólnego wysiłku dla dobra instytutu i Kościoła, jednak bez ujmy dla swojej władzy decydowania i nakazywania tego, co należy czynić²¹.

Tylko skąd przełożona wie, „co należy czynić”? Jak uczynić posłuszeństwo dobrowolnym? „Dobrowolne posłuszeństwo” – przecież to brzmi jak oksymoron.

W tej książce staram się uchwycić różne odpowiedzi sióstr na temat istoty posłuszeństwa i egzekwowania go ludzkimi rękami, wynikające z różnych zakonnych doświadczeń moich bohaterek. Głos zabiera i przełożona swojego zgromadzenia siostra Dolores, i była zakonnica – kiedyś siostra Nazaria, dziś Iza, która po prawie dziewiętnastu latach w klasztorze powiedziała „dość”. Z posłuszeństwem nie ma najmniejszego problemu niezwykle oddana swojej misji siostra Irena, z kolei decyzje przełożonej rozważa i stara się rozumieć za każdym razem na nowo siostra Benedykta. Bez owijania w bawełnę o zakonnych wzlotach i upadkach opowiada siostra Anna – mówi wprost i „po ludzku”, na co dzień służąc bardzo blisko człowieka. Z uśmiechem dystansu współczesne rozterki i zakonne problemy komentuje siostra Małgorzata, która swoje prawie sześćdziesięcioletnie życie w klasztorze klauzurowym poświęciła studiowaniu dziejów zakonów. Po wielu latach doświadczeń i dziesiątkach tysięcy stron lektury potrafi stwierdzić, czy tematy podejmowane dziś w kontekście życia zakonnicy oznaczają nowe wyzwania, czy może powtarza się w nich refren melodii dobrze znanej od wieków. Odnowienie zwiastuje młode pokolenie sióstr, które życzliwe miejsce dla duchowego

rozwoju znajdują we Wspólnocie Sióstr Karmel Ducha Świętego. Odwiedzam Żarki Letnisko nieopodal Częstochowy, gdzie mieszkają twórczynie nowego zgromadzenia. Prawnie istnieje ono od 2015 roku, siostry są w trakcie załatwiania formalności, które pozwolą im stworzyć instytut życia zakonnego. Trudno nie dostrzec w nich nowej – otwartej, odważnej, nowoczesnej – twarzy życia zakonnego, odpowiadającej na zapotrzebowania naszych czasów. W tej opowieści głos ma również ksiądz Stanisław – człowiek spoza zakonu, ale jednak ze środka społeczności osób duchownych, a ze względu na swoje osobiste doświadczenia świetnie zorientowany w codzienności zakonów żeńskich w Polsce. Wreszcie pukam do drzwi gabinetu terapeutycznego, by otrzymać odpowiedź na pytania o szerszy, kobiecy kontekst życia sióstr. Drzwi te otwiera doświadczona psycholożka, od lat pracująca z kobietami i będąca blisko ich spraw, Justyna Dąbrowska. Wszystkie wywiady są autoryzowane.

Kiedy proszę o rozmowę jedną z byłych zakonnicek, która ostatecznie nie zgadza się na wypowiedź do książki, słyszę zdanie:

– Ale wie pani, że rozmawia pani nie z tymi siostrami, z którymi pani chce, tylko z tymi, które pani wystawia?

Wystawia? Kto wystawi? Matki przełożone? Inne siostry? Ich wspólnota? Społeczność? Sekta? Nie mam szansy usłyszeć jej odpowiedzi, lecz faktem jest, że zobowiązane ślubami posłuszeństwa siostry o zgodę na wypowiedź – czy to do programu radiowego, czy do książki – muszą prosić przełożoną. Można zatem przyjąć, że zakony mają wpływ na to, jaka narracja na ich temat pojawia się w mediach. Mogą to kontrolować, mówić to, co chcą o sobie usłyszeć. Chyba że wypowiadają się były zakonnice. One nikogo o zgodę pytać już nie muszą. Myślę jednak, że budując opowieść o zakonnicach w Polsce tylko na podstawie historii tych, które odeszły, nie dałoby się stworzyć rzetelnego portretu tego środowiska.

Szukanie rozmówczyń do tej książki było bardzo trudne, przez moment sądziłam, że sukces jest wręcz niemożliwy. Naiwnie liczyłam, że w zdobywaniu zaufania bohaterek pomoże mi szczerą postawą. Nie kryłam w rozmowach, że jestem osobą niewierzącą, nieżyjącą blisko Boga. Tym bardziej fascynujący wydawał mi się świat kobiet, które Jemu zawierzyły dzieło swojego życia. Tymczasem odmówiło lub nie odpowiedziało mi kilkanaście zakonnice z różnych zakonów i zgromadzeń. Były wśród nich siostry znane z mediów społecznościowych, wykładowczynie na katolickich uniwersytetach, mniszki z zakonów zamkniętych oraz te, które zakon porzuciły.

„Gdy złożysz Bogu jakiś ślub, nie zwlekaj z jego wypełnieniem, gdyż w głupcach nie ma on upodobania. Cokolwiek ślubujesz, wypełnij” – czytamy w Księdze Koheleta²². Czy w zakonie da się żyć w zgodzie z własnymi przekonaniem, kiedy „krępują nas” dobro wspólnoty i „wola Boża”? A może w ślubach posłuszeństwa zawarta jest wolność codziennego podejmowania na nowo decyzji – chcę być we wspólnocie, chcę się poddawać woli przełożonej, a tym samym woli Boga? Może to znak daleko idącej dojrzałości, w której zakonnica jest posłuszna wyższym ideom, mimo ceny, jaką za to płaci? Gdzie jest jednak granica, do której warto to robić? Jaką cenę płacą moje bohaterki, a co zyskują w zamian za swoje poświęcenie?

Oto opowieść o tym, czy w świecie ślubów (nie)posłuszeństwa zakonnice mogą żyć po swojemu.

¹⁶ Cytaty z Biblii w całej książce za: *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wyd. IV (internetowe), Pallottinum, Poznań 2003 (przyp. red.).

¹⁷ <https://dariuszuzyczny.com/autorefleksja/fromm-eseje1/> (dostęp: 30.01.2023).

¹⁸ <https://cspb.pl/o-posluszenstwie-refleksje-wokol-5-rozdzialu-reguly-sw-benedykta/> (dostęp: 30.01.2023).

¹⁹

https://pl.wikipedia.org/wiki/Pos%C5%82usze%C5%84stwo#W_chrze%C5%9Bcija%C5%84stwie (dostęp: 30.01.2023).

²⁰ <https://oaza.woju.eu/dodatek/humor/> (dostęp: 30.01.2023).

²¹ Fragment dekretu *Perfectae caritatis* cytuję za: Paweł VI, *Charyzmat życia zakonnego. Przemówienia i dokumenty*, wybór i oprac. ks. Alojzy Żuchowski SAC, s. Teresa Sułkowska SJK, Pallottinum, Poznań – Warszawa 1974, s. 206.

²² Księga Koheleta 5, 3.

**DLA JEZUSA,
NIE DLA
POKLASKU**

Pierwszy wywiad do książki jest dla autora ważny. Kiedy przychodzisz po informacje z bardzo niewielką wiedzą o temacie, spore znaczenie odgrywa to, co usłyszysz na dzień dobry oraz kto i jak będzie z tobą rozmawiał. Stwierdzenie, że ten wywiad staje się dla ciebie drogowskazem, a osoba udzielająca go – twoim przewodnikiem po świecie, który eksplorujesz, byłoby nieco na wyrost, ale bez wątplenia jest w tych słowach ziarenko prawdy. Początek tej opowieści to spotkanie z osobą doświadczoną, niezwykle wyważoną w swoich wypowiedziach, a jednocześnie nad wyraz życzliwą. Do tego z osobą, która zaszła bardzo wysoko. Zdobyła zaufanie tak wielu, że została wybrana do kierowania życiem zakonnym nie tylko na szczeblu swojego zgromadzenia.

Siostra Dolores Dorota Zok urodziła się w 1963 roku, a do zakonu wstąpiła, kiedy ja przychodziłam na świat – w roku 1984. Przez lata pracowała na misjach zagranicznych, które – jak przyznaje – zmieniły jej życie. Dziś mieszka w Raciborzu, jest przewodniczącą Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych i przełożoną polskiej prowincji Zgromadzenia Misyjnego Sióstr Służebnic Ducha Świętego. „Podstawą i celem naszego Zgromadzenia jest posługa misjonarska. Każdą z naszych prac, mimo ich różnorodności, służymy misyjnemu posłannictwu Kościoła”²³ – czytam na stronach internetowych zgromadzenia zwanego popularnie werbistkami, w zakładce poświęconej jego charyzmatowi.

Spokojna, opanowana, ciepła, ważąca słowa. Umawianie wywiadu z siostrą Dolores przypadło na gorący czas lutego 2022 roku, kiedy żyliśmy eskalacją konfliktu w Ukrainie, nagłą potrzebą pomocy uchodźcom uciekającym przed wojną. W którejś z telefonicznych rozmów poprzedzających nasze nagranie pojawił się ten wątek. Wspomniałam, że udostępniłam potrzebującym pokój w swoim mieszkaniu. „Dobra z pani

osoba, pani Justyno. Dobrze z taką porozmawiać” – odparła siostra Dolores. W jej głosie poza spokojem i życzliwością słychać było studyjne wyrobienie. Siostra Dolores prowadzi audycje w opolskim radiu diecezjalnym Doxa FM. Z mediami miała do czynienia nie raz. Może dzięki temu zdecydowała się na rozmowę...

*

Wiele sióstr zakonnych nie zgodziło się na wywiad do tej książki. A przecież nie mam złych intencji ani żadnej z góry założonej tezy. Po prostu chcę się czegoś o siostrach dowiedzieć i zrozumieć wasze życiowe decyzje. Dlaczego tak trudno umówić się na rozmowę z zakonnica? Boicie się wypowiadać?

Jako osoba pracująca w mediach i z mediami przekonałam się niejednokrotnie, że komunikaty ze strony zakonów bywają różnie odbierane. Trzeba uważać na każde słowo. Pamiętam, że kiedyś zostałam zaproszona do radia w dzień uroczysty i spodziewałam się rozmowy związanej ze świętem. A tu nagle temat molestowania sióstr zakonnych! Rozumiem, jak działają media, co jest popularne, o czym ludzie chcą słuchać. Ale przecież jest tyle ciekawych tematów do rozmowy, a my się kręcimy wokół seksu. Nie bagatelizuję oczywiście problemu molestowania. Takie rzeczy w zakonach się zdarzają. Problemy relacyjne nie są rzadkością. Wiele kobiet pod jednym dachem, różne temperamenty, osobowości, potrzeby – to zawsze wyzwanie. Ktoś może czuć się samotny w tłumie. Staramy się interweniować jak najszybciej. Działają telefony zaufania dla sióstr. Niestety media koncentrują się tylko na sensacji i przedstawiają temat tak, jakby połowa sióstr w Polsce była molestowana, a to nieprawda.

Mówi siostra, że w zakonach zdarzają się „problemy relacyjne” – czyli jakie?

Takie jak w codziennym życiu, w rodzinie, w małżeństwie. To mogą być napięcia między przełożoną a siostrą albo między poszczególnymi siostrami, zupełnie normalne, bo gdzie ludzie, tam i różnice zdań. To, że jesteśmy w klasztorach, żyjemy modlitwą, nie znaczy, że jesteśmy wolne od słabości, uwarunkowań psychicznych, problemów. Jako zakonnica prowadzę normalne ludzkie życie, tylko w bardziej radykalny sposób chcę iść za Jezusem, bo wierzę w Jego obecność w dzisiejszym świecie. Media zdają się czasami wychwytywać sytuacje napięciowe i od razu nazywają je mobbingiem. To bywa dla nas krzywdzące. Dlatego jest w zakonnicach lęk, że któraś będzie źle rozumiana. Siostry nie chcą się wypowiadać, bo nie chcą dokładać swojej cegiełki do negatywnej wizji zakonów, którą czasami przedstawiają media.

Pamięta siostra swoje początki w zakonie?

Oczywiście! To były zupełnie inne czasy. Wstępowałam na początku lat osiemdziesiątych. Warunki życia w zakonie były znacznie skromniejsze niż dziś. Spałyśmy w dziewięcioosobowych pokojach przedzielonych kotarą. Było łóżko, stolik, miska i wiadro z wodą do mycia. Teraz każda siostra ma osobny pokój, tylko łazienki są wspólne, choć starsze lub schorowane siostry mają własne. Pamiętam wstawanie o piątej rano. Teraz jesteśmy starsze, tych sił nie ma. Wtedy w nowicjacie było więcej pracy fizycznej. Dziś większy nacisk kładzie się na rozwój duchowy i intelektualny sióstr. W naszym klasztorze siostry, które będą składać śluby wieczyste, mają przedtem miesiąc intensywnych rekolekcji. Mogą się wyciszyć, pobyć z Panem Bogiem. Ja tego nie miałam.

Rodzina rozumiała siostry wybór?

Dla mojego taty to było bardzo trudne, że poszłam do klasztoru. W naszym małym miasteczku mieszkały siostry zakonne, które były bardzo zamknięte, nie integrowały się ze społecznością. Ludzie je wyśmiewali, że „pingwiny”, podejrzewali, że mają jakieś tajemnice. Tatuś nie chciał uwierzyć, że wybrałam dla siebie właśnie taką drogę. Moja mama natomiast dobrze to przyjęła. Dziś ma osiemdziesiąt pięć lat i zawsze bardzo się cieszy, kiedy przyjeżdżam do domu rodzinnego. Przez pierwszy rok byłam w domu tylko kilka dni, a później przez trzy lata w ogóle nie odwiedzałam bliskich. Takie były wtedy zasady. Dziś można jeździć do domu co roku, są specjalne urlopy, trochę jak w „standardowej” pracy.

Lepsze warunki życia w zakonie, ale powołań zdecydowanie mniej...

To prawda, jest kryzys powołań. Ja wstępowałam do zakonu, mając dwadzieścia lat, tuż po maturze, i wówczas na roku było ze mną dwadzieścia dziewczyn. Teraz mamy w nowicjacie jedną siostrę i jest to kobieta, która ma już trzydzieści lat.

To może lepiej, kiedy do zakonu wstępują osoby starsze – doświadczone, lepiej znające siebie, bardziej świadome swoich oczekiwań wobec życia?

To wszystko ma dwie strony. Rzeczywiście teraz można wstąpić do zakonu, mając nawet trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Niemniej, kiedy ma pani trzydzieści lat i już ugruntowaną pozycję w życiu – swoje mieszkanie, swój pokój, pracę, niezależność – trudniej jest zrezygnować z tego wszystkiego i zdecydować się na posłuszeństwo, ubóstwo, milczenie. Niewłączanie radia, telewizora, Facebooka bywa trudne. Jak się wstępuje

w wieku dwudziestu lat, to człowiek jest jednak bardziej podatny na to, co zostanie mu powiedziane. Ale oczywiście osoba trzydziestoletnia jest bardziej dojrzała, wiele już przeszła i wie, z czego rezygnuje. Może więc zdecydować się na bardziej świadomą posługę.

Nie ma siostra takiego wrażenia, że warto pokazywać więcej życia zakonnego na zewnątrz? Może wtedy więcej dziewczyn chciałoby tak żyć? W czasach niezwyklej popularności mediów społecznościowych można się na przykład pochwalić tym, jak siostry pomagają innym.

Powiem szczerze, my nie jesteśmy takie, żeby gromadzić statystyki. Myślę, że w naturze zakonnicy leży to, że chcemy być niezauważalne. Teraz w naszym domu zakonnym jest kilkadziesiąt osób z Ukrainy i co chwilę dojeżdża ktoś nowy. Jesteśmy zapracowane, ale nie lubimy robić temu zdjęć. Jesteśmy zgromadzeniem misyjnym. Siostra składa śluby i jedzie na misję, by służyć Jezusowi, a nie dla poklasku. W Krakowie działają siostry albertynki. Mam dla nich wielki szacunek, bo one dzień i noc pracują z najbardziej niebezpiecznymi. Nie potrzebują tego reklamować. Nie domagamy się więcej zainteresowania.

Rozumiem, że nie służycie na pokaz, ale może wyście z ukrycia działałoby na korzyść zakonnicy? Mniej byłoby domysłów. Jeśli ludzie wymyślają niestworzone historie, co się dzieje za klasztorną furką, to dlatego, że nie mają dostępu do waszego świata.

Nie mam poczucia życia w ukryciu. W życiu zakonnym po prostu chodzi o coś innego niż o robienie z niego zagadnienia. Nie czujemy potrzeby opowiadania o naszej codzienności. Choć czasami jesteśmy do tego zmuszone. Różne organizacje prosiły nas ostatnio o zdjęcia z pracy z uchodźcami – do prasy, do mediów społecznościowych. Trudno robić

zdjęcia, jak się gotuje obiad albo szykuje dla kogoś pościel. Jeśli pojawia się pomysł wyjścia z naszymi działaniami na zewnątrz, to oczywiście, jednak to musi mieć jakiś cel. Dziś na przykład dzieliłam się słowem Bożym, ale robiłam to dla Jezusa. Rozumiem przy tym, że są siostry, które korzystają z mediów społecznościowych, opowiadają i piszą o sobie. To ich wybór. Proszę pamiętać, że jak różni są ludzie, tak różne są siostry zakonne. Formacja zakonu zakłada pokorę, czyli stawianie w centrum Boga, a nie samej siebie. Dla mnie to ważna cnota.

Z czego zdaniem siostry wynika obecny kryzys powołań?

Dziś życie bardzo się zmieniło. Dawniej ludzie mieli mniej oczekiwań, dziś droga zakonna może się wydawać mało atrakcyjna dla młodych ludzi. Być może i w nas jest problem – nie zajmujemy się reklamowaniem życia w zakonie, więc ludzie budują sobie wyobrażenie o nim na stereotypach. Kryzys powołań wiąże się też, jak sądzę, z ogólnym kryzysem wiary w społeczeństwie. Ludzie stawiają na inne wartości niż Pan Bóg. Świat daje dziś ogrom możliwości. Jednym z powodów, dla których ja chciałam wstąpić do zakonu, była chęć wyjechania na misje. Teraz jest tyle możliwości takiego wyjazdu, że nie trzeba w tym celu być w klasztorze. Są fundacje, wolontariaty, są misje dla osób świeckich. Jest dużo możliwości wyjazdów za granicę, są studia, praca. Rodziny są mniejsze. Ja pochodzę z takiej, w której było pięcioro dzieci. Zakon był dla mnie szansą na rozwój, na dobre życie.

Gdy ktoś chce wstąpić do klasztoru, musi być do tego naprawdę mocno przekonany. Życie w zakonie to poważne zobowiązanie, a więc decyzja o takiej drodze życiowej nie może być fanaberią. Jeśli ktoś naprawdę chce naśladować Jezusa i czynić dobro, musi być gotowy na poświęcenia. Musi być ich świadomy. Wejście do zakonu wiąże się z pewnym ograniczeniem

wolności – muszę zdjąć mój ładny sweter i spódniczkę, włożyć habit. Poza klasztorem nic mnie nie ogranicza – mogę jechać do rodziców, znajomych, kiedy chcę; w klasztorze – niekoniecznie. Choć w tej kwestii bardzo wiele się zmieniło od czasów, kiedy ja wstępowałam do zakonu. Poza tym trzeba być świadomym tego, że w zakonie żyje się ubogo, w czystości, że nie można założyć rodziny, mieć dzieci ani relacji seksualnych.

To jeden z wątków, które wzbudzają największe zainteresowanie – jak siostry radzą sobie bez seksu, jak można wytrwać w ślubie czystości?

Domyślam się, że to emocjonuje wielu, ale spośród ślubów zakonnych najtrudniejsze wydaje mi się jednak posłuszeństwo. Bywają naprawdę trudne momenty w życiu, gdy ktoś decyduje o twojej wolności. Oczywiście powtórzę – dziś czasy są nieco inne. Dziś nie mówi się o ślepym posłuszeństwie, tylko o posłuszeństwie dialogowanym. Przychodzisz do zakonu i chcesz wyjechać na misje do Paragwaju, a przełożeni chcą cię wysłać do Afryki. Sprawa wcale nie musi być przegrana. Jest rozmowa na ten temat, jest wspólne ustalenie drogi i celu, nie ma już ślepego wykonywania poleceń. Pamiętam, że kiedy były potrzebne katechetki, to miałyśmy studiować teologię, a ja chciałam być pielęgniarką. Uwzględniono moją propozycję i przydzielono mnie do pracy pielęgniarskiej.

Mówiliśmy o poświęceniu, a co jest w zamian? Co rekompensuje siostrze te wszystkie wyrzeczenia?

Ciekawe pytanie. Trudno mi to wytłumaczyć. To trzeba widzieć przez pryzmat wiary, a nie rozumowo. Wiara dla mnie jest relacją osobową z Jezusem, który zaprasza mnie do życia z Nim. Wiara zmienia mnie w lepszą osobę. Bliskie mi są słowa Matki Teresy z Kalkuty, która

powiedziała, że człowiek nie może się inaczej zrealizować niż poprzez bezinteresowny dar z siebie. Wierzę, że rezygnując z czegoś z miłości do Boga, do wspólnoty, do ludzi, otrzymam więcej miłości w moim sercu i będę szczęśliwsza. Wyrzekamy się pewnych wartości z miłości do Boga. Wyrzekłam się męża i rodziny – dla kobiety to jest naprawdę duże poświęcenie. Zrobiłam to bardzo świadomie, wierząc, że przyniesie to większe błogosławieństwo dla świata i że dzięki temu będę mogła być bardziej wolna dla Boga i ludzi. Nie wyobrażam sobie, żebym mając męża i dzieci, wyjeżdżała na misje i pracowała wśród trędowatych czy wśród chorych na AIDS. Świadomie wybrałam życie bez rodziny, bo wiedziałam, że chcę służyć ludziom i że tej służby nie da się pogodzić z byciem matką i żoną. To jest sprawa wyboru. Wierzę w sens ofiary w moim życiu.

Czasem siostry mówią, że jedynym mężczyzną w ich życiu jest Chrystus. Są takie, które noszą obrączki jako zaślubione Jezusowi.

To prawda, mam poczucie, że Chrystus jest dla mnie najważniejszy. Ślubujemy Bogu i wiem, że nie jestem sama na świecie, że ktoś mnie bardzo kocha. A takiego poczucia bycia kochaną potrzebuje moim zdaniem każda kobieta. Z tym że w naszym przypadku tym „kimś” jest Bóg.

Mam wrażenie, że siostry, które zajmują się dziećmi, prowadząc szkoły czy ośrodki dla dzieci z niepełnosprawnościami, mają szansę zrealizować swój instynkt macierzyński. A może to zbyt śmiała teza?

Na pewno praca z dziećmi pomaga zaspokoić potrzebę tworzenia rodziny. Kiedy byłam na misji w Angoli, byłam pielęgniarką i pracowałam z chorymi dziećmi. Brakowało tam wtedy lekarzy, więc musiałyśmy z siostrami robić praktycznie wszystko. Rano przyjeżdżałam do ośrodka zdrowia dla trędowatych. Dzieci krzyczały tak przeraźliwie, że momentami

myślałam, że zwariuję. Ale poczucie tego, że jestem z nimi, dodawało mi otuchy. Raz jechałam na syrenach do jednego dziecka, które umierało, i bardzo to przeżywałam. Bycie kobietą bardzo mi pomagało. Coś w tym jest, że instynkt macierzyński pomaga zakonnicom w służbie, pozwala na większą miłość i cierpliwość. Nie wiem, czy moi bracia zakonnicy mieliby takie podejście. Kobiety mają więcej siły i cierpliwości.

To może czas na to, by kobiety miały większy wpływ na kształt życia konsekrowanego? Nie da się ukryć, że w życiu społecznym nadeszły czasy kobiet. Na ile siostra widzi, że jest na to szansa także w Kościele?

W Kościele zmiana podejścia do kobiet, o której pani mówi, tak szybko nie nastąpi. Jako zakonnice możemy już dziś głosić rekolekcje, ludzie lubią nas słuchać, jesteśmy zazwyczaj bardziej praktyczne niż mężczyźni. Księża mówią bardziej teologicznie i wierni często nie rozumieją ich przesłania. Mam wrażenie, że ludzie lubią słuchać mojego przepowiadania, bo znam życie i wiem, jak mówić o Bogu w ludzki sposób. Jako jedyna kobieta bywam zapraszana na zebrania Konferencji Episkopatu Polski, reprezentuję głos Konferencji²⁴, zawsze mogę mieć wkład w dyskusję. Księża biskupi są dla mnie mili, pytają o opinię, liczą się z moim zdaniem. Nie mam jednak poczucia, że to jest „czas kobiet” w Kościele. Nie będziemy kapłankami. To jest niemożliwe. Zresztą my nie chcemy takich rozwiązań. Jesteśmy szafarkami, nadzorujemy, zarządzamy, ale znamy swoje miejsce w Kościele, nie potrzebujemy dodatkowych przywilejów. Widzimy, jak ludzie do nas lgną, jeśli jesteśmy z nimi w czasie rekolekcji. Ludzie potrzebują rozmowy z zakonnicami. I to nas satysfakcjonuje. Osobiście nie mam pragnienia większej władzy czy wpływu. Jestem spełniona jako siostra, nie potrzebuję czegoś dodatkowego. Wiele sióstr jest bardzo wykształconych. Są psychoterapeutki, teolożki. Tak rozumiem „czas

kobiet” w Kościele – jako nasz rozwój, możliwość własnej specjalizacji i bycie blisko wiernych.

Domyślam się jednak, że są siostry, które nie potrafią się pogodzić z pełnym wyrzeczeń życiem w cieniu. Jak sobie siostry radzą w chwilach zwątpienia? Zdarza się postawa: „zrzucam habit i wychodzę”?

Takie przypadki się zdarzają, oczywiście. Zawsze można zrzucić habit i zrezygnować z życia zakonnego. To nie jest więzienie. Dlatego zakonnice składają śluby wieczyste na ogół dopiero po dziewięciu latach bycia w zgromadzeniu. Kiedy kobieta idzie do zakonu, najpierw przechodzi rok postulatu, potem dwa lata nowicjatu i po nim dopiero składa pierwsze śluby, czasowe, które są odnawiane co roku przez sześć lat. Do życia zakonnego naprawdę trzeba się gruntownie przygotować.

Te zasady działają w każdym zakonie?

Prawie we wszystkich jest tak samo. Wychodzę z założenia, że jeśli ktoś przejdzie całą tę drogę, jeśli jest już od dziewięciu lat w zakonie, to zdaje sobie sprawę z tego, z czym to się je. Wspominałam już, że kiedy wstępowałam do klasztoru, było nas dwadzieścia dziewczyn. Śluby wieczyste złożyło dziesięć. Inne poodchodziły na różnych etapach tej drogi. W zupełnej wolności, bez żadnych konsekwencji. Z życia zakonnego można zrezygnować na każdym etapie, nawet po złożeniu ślubów wieczystych. Zdarza się, że ktoś decyduje się na czas eksklustracji. To jest taki rok odejścia ze zgromadzenia, opuszczenia domu zakonnego, z możliwością powrotu.

Po co takie rozwiązanie?

Można jeszcze raz wszystko przemyśleć. Żyje się poza zgromadzeniem, nosi habit lub nie i po roku analizy można wrócić lub nie. Często siostry wracają. Ale trzeba pamiętać, że sama ekskluzywność nie jest zjawiskiem częstym. Generalnie ważne, żeby rozmawiać o swoich kryzysach. Szczególnie istotna jest spowiedź święta i rozmowa z kierownikiem duchowym.

Kto nim jest?

Może być to inna siostra, najczęściej są to jednak mężczyźni – księża, zakonnicy. W dzisiejszych czasach coraz częściej się zdarza, że zakonnica w kryzysie życzy sobie terapii. Sama mam wiele zastrzeżeń co do jej sensu, ale jak ktoś chce, to proszę bardzo, jest taka możliwość.

Dlaczego siostra nie wierzy w sens terapii? Za mało w niej Boga?

Terapia jest zawsze dopuszczalna w zakonie. Po spokojnym rozważeniu, kiedy można ją zacząć i z kim, trzeba pamiętać, że istnieje wiele czynników, które zdecydują o jej powodzeniu. Rozwój duchowy zakłada odpowiednią dojrzałość na płaszczyźnie ludzkiej. Terapia może pomóc w jej osiągnięciu. Można sobie uświadomić nieznane dotąd przeszkody, głównie emocjonalne, które utrudniają nam odpowiadanie na łaskę Bożą, w tym wypadku na przeżywanie powołania zakonnego. Osobista odpowiedź na łaskę jest podstawowa. Nie wszyscy są jednak zdolni do dojrzałego przeżycia terapii. Trzeba mieć na to czas, zdolność samoobserwacji, odwagę, by nie ukrywać pewnych, niekiedy bardzo wstydlivych, tematów. Niezbędna jest zdolność wyciągania wniosków. Zawsze jest przy tym ważne, by terapeuta bazował na właściwej antropologii (wyobrażenie o człowieku w świetle wiary jest jednak odmienne od wyobrażenia psychoterapeutycznego). W czasie terapii

odkrywa się motywy, jakimi dana osoba się kieruje. Można na przykład odkryć, że ktoś uciekł do zakonu z lęku przed życiem, szukając tutaj sielanki – której przecież nie znajdzie – ale to odkrycie winno być materiałem do pełniejszej pracy nad sobą i głębszego rozumienia własnego powołania. Kryzysy są czymś normalnym i trzeba je po prostu przyjąć. Można też odejść z tej drogi.

Przy poznaniu siebie i pracy nad sobą ważna jest modlitwa, bo terapia pokazuje słabe strony, a łaska – pomoc Pana Boga – zmienia człowieka. Nie wszyscy to rozumieją... Ja wierzę w sens duchowości, w sens modlitwy. Wierzę, że to modlitwa ma ogromną moc.

Czy jeśli kobieta odchodzi z zakonu, to z tego powodu, że brakuje jej małżeństwa, rodziny?

Powody są różne. Spośród tych moich współsióstr z grupy, które odeszły, może dwie wyszły za mąż. Reszta nie. Do odejścia mogą też skłaniać problemy wspólnotowe. Jeśli nie ma przyjaźni i relacji, to ktoś czuje się samotny i nie daje rady. Wtedy chce wrócić do swojej rodziny.

Do kogo można się zwrócić, kiedy zakonnica czuje się wyobcowana we wspólnocie?

W tej chwili różnie to w różnych zakonach wygląda. Każda może przyjść do swojej przełożonej. Cieszymy się, jak siostry przychodzą porozmawiać, bo to świadczy o zaufaniu. Można też próbować rozwiązać problem samemu. Nikt tu nikogo do niczego nie nakłania. Ale zawsze jestem za tym, żeby rozwiązywać problemy na drodze dialogu. Szukać wspólnie rozwiązań. Jestem orędowniczką dialogu w każdej kwestii. Narzucanie woli to już nie na nasze czasy, młody człowiek tego nie zaakceptuje.

Powiedziała siostra na początku naszej rozmowy, że widzi obecność Jezusa w dzisiejszym świecie. Gdzie?

Przez dwadzieścia lat byłam misjonarką w Afryce. Jestem Ślązaczką i pojechałam tam z takim nastawieniem, że będę nawracać Afrykańczyków. Tymczasem stało się coś odwrotnego. To Afrykańczycy nawrócili mnie, moje serce, moją religijność. Dla nich Bóg jest rzeczywisty, dotykalny, oni nie potrzebują książeczek do nabożeństwa. W wiosce w Afryce, w mojej afrykańskiej rodzinie, w prostocie życia spotkałam Boga bliskiego człowiekowi.

Afryka kojarzy mi się z miejscem, gdzie bardzo silna jest tradycja opowieści, ważne jest słowo mówione. Domyślam się, że istotne są również emocje. W polskim Kościele brakuje chyba trochę takiej szczerości i czystej radości z bycia z Bogiem?

Prawdą jest to, co pani mówi – ten Kościół afroamerykański, czy też katolicki w Afryce, jest radosny, blisko Boga. Bywa, że msza trwa tam trzy godziny. Wszyscy tańczą, śpiewają, witają się, pozdrawiają. U nas ludzie patrzą na zegarki, że godzina mija, a msza jeszcze się nie skończyła. Afrykańczyk jest przyzwyczajony do tego, żeby wyrażać swoją wiarę całym sobą – tańczyć, śpiewać, wielbić Boga. Tego mogłam się tam nauczyć – spontaniczności w relacji z Jezusem. Dziś Boga traktuję bardzo osobowo, relacyjnie, mogę z Nim porozmawiać o wszystkim. Wierzę, że On jest przy mnie obecny w drugim człowieku, w dobrych relacjach z innymi, w przyjaźni. Odpowiada mi przez drugiego człowieka. Kościół w Polsce bywa bardziej zachowawczy.

Jak się siostra czuła, kiedy wróciła w końcu do Polski? Inne doświadczenia, dużo radości, emocji, a tutaj powściągliwość, powaga,

tradycyjne podejście do obrzędów...

Wróciłam do Polski po dwudziestu pięciu latach spędzonych w sumie za granicą. Miałam to szczęście, że swoją formację zakonną przeszłam na Zachodzie, w Niemczech. Potem byłam w Angoli i w Republice Południowej Afryki. Po powrocie przez pierwsze trzy lata byłam w Opolu, zakładałam tam małą placówkę naszego zgromadzenia, w której byliśmy czynne apostołsko. Uwielbiam dzielić się miłością do Boga, opowiadać o Nim ludziom. To mnie pochłonęło i dało dużą satysfakcję, dlatego nie odczułam zbyt mocno zmiany miejsca pobytu. Jest prawdą, że nasza religijność bywa smutna. Sam sposób śpiewania w polskim kościele jest inny niż w afrykańskim. I rzeczywiście niektóre siostry, które podobnie jak ja wróciły z misji, mówiły, że nie jest im łatwo się przestawić, ale mnie te działania w Opolu przypominały życie misjonarskie. Teraz jestem w klasztorze w Raciborzu. To duży klasztor, prowadzę w nim zupełnie inne życie, bardziej ustabilizowane. Rano się wstaje, modlitwa, dopiero potem praca. O dwunastej modlitwa, o piętnastej koronka, później różaniec o siedemnastej trzydzieści, o osiemnastej modlitwy wieczorne. Mam nowe zadania i obowiązki, raczej wewnątrz wspólnoty, a nie na zewnątrz, jak to było w moich czasach misyjnych.

Gdyby siostra miała powiedzieć o swoich najpiękniejszych i najtrudniejszych momentach życia zakonnego, co by to było?

Patrząc wstecz na moje życie, widzę, że najtrudniejsze było samo wstąpienie do zakonu i pożegnanie z rodzicami, z rodzeństwem. Ale szybko przyszło to, co najpiękniejsze – „moje pięć minut”, czyli lata spędzone w Angoli. Miałam niespełna trzydzieści lat, gdy pojechałam na misję, i było to dla mnie niesamowite przeżycie. Ludzie straszliwie biedni – pierwszy raz w życiu widziałam taką biedę – pokorni, a przy tym mocno ze sobą

związani, przyjaźnie nastawieni. Afryka Południowa w latach dziewięćdziesiątych to był trudny teren, nękany konfliktami i politycznymi zaszłościami. I w tym całym zamieszaniu człowiek widział tyle cudów! Niesamowite relacje i walka o ludzkie życie – to zapamiętam na zawsze.

Jak siostra widzi teraz swoją drogę w zakonie?

Chciałabym prowadzić rekolekcje, piszę też trochę: książki, artykuły. Powiedziałabym o sobie, że jestem ewangelizatorką. Lubię ludzi, więc w dzisiejszym zagubionym świecie chcę im mówić, że Jezus żyje.

Po co się dziś idzie do zakonu?

Nie po co, tylko raczej dla kogo. Ten pierwszy, najważniejszy powód to musi być miłość. I ten powód jest niezmienny – dziś tak samo jak trzydzieści lat temu zakonnica musi przeżyć zachłysnięcie się Bogiem. Bez tego nic nie ma sensu. Jeśli czuję, że chcę żyć dla Boga, poświęcić Mu różne aspekty swojego życia – klasztor to może być moje miejsce.

*

Odpowiedzi na pytanie, czy przyszedł czas na wzmocnienie roli zakonnice w Kościele, na oddanie im większego pola do dialogu z wiernymi, nie otrzymałam podczas rozmowy. Znalazłam ją w jednym z udzielanych przez siostrę Dolores wywiadów:

Widzę bardzo wielkie pole do działania dla sióstr zakonnych w przestrzeni nowej ewangelizacji. W wielu miejscach, do których Kościół hierarchiczny i księża nie mają już dostępu, jest jeszcze miejsce dla sióstr. Przemawia ich prostota i zwyczajność; ten brak splendoru²⁵.

Od 1998 roku bez splendoru, prosto, zwyczajnie, z poczuciem humoru i ogromnym dystansem do siebie działa „siostra od prostytutek”. Telefon od niej był jednym z najbardziej zaskakujących, jakie odebrałam w swoim dziennikarskim życiu.

²³ <https://siostrymisyjne.pl/zgromadzenie/153-charyzmat-i-duchowosc-naszego-zgromadzenia.html>

(dostęp: 11.12.2022).

²⁴ Mowa o Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych.

²⁵ <https://deon.pl/kosciol/s-dolores-zok-ukrywaniem-przestepstw-zniszczymy-kosciol,1080328>

(dostęp: 1.01.2023).

**TU MASZ
MIŁOŚĆ ZA
DARMOCHĘ**

Zacząło się od maila wysłanego do stowarzyszenia, które współtworzy siostra Anna. Wiedziałam, że jest zapracowana, rozpoznawalna i niekonwencjonalna. Raczej nie spodziewałam się sukcesu w umawianiu się z nią na rozmowę. Pewnego dnia odebrałam bardzo rzeczowy telefon od pani ze stowarzyszenia: „Pani mail trafił do siostry Anny. Jeśli uzna temat za ciekawy – odezwie się, ale nie możemy niczego gwarantować”. Jakoś mnie to nie zdziwiło. Zaczęłam godzić się z wizją utraty kolejnej potencjalnie ciekawej bohaterki. Tymczasem niespodziewanie, jeszcze tego samego dnia, późnym popołudniem znów zadzwonił telefon.

Niski głos, brzmiący jak po latach imprezowego życia: „No cześć! Tu siostra Anna. Podobno mnie szukasz. Czego potrzebujesz?”. Wmurowało mnie. Bezpośredni ton, potoczne wyrazy. Z rozmowy szybko wywnioskowałam, że to „ostra zawodniczka” – żadnego lukrowania, konkret i szczerść. Po kilkunastu minutach usłyszałam w słuchawce: „No dobra, podoba mi się to, co mówisz. Przyjedź, to pogadamy”. Jest takie angielskie określenie na ludzi, którzy szybko i konkretnie przechodzą do sprawy – „*no bullshit*”, w polskiej wersji: „szczerzy do bólu”.

Taką osobą jest siostra Anna Bałchan ze Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej.

Na rozmowę z nią jadę do Katowic, gdzie obecnie mieszka. Jest prezeską Stowarzyszenia PoMOC dla Kobiet i Dzieci im. Marii Niepokalanej²⁶, które buduje Centrum Rodziny im. Świętego Józefa. Na zdjęciach umieszczonych w internecie, pod hasłem „budujemy coś dobrego”, pozuje w kaskach budowlanych razem ze współsiostrami Barbarą i Karoliną²⁷. Centrum ma być miejscem, które połączy pokolenia, rodziców, dzieci, dziadków, rodziny adopcyjne, zastępcze, rodziców samodzielnych, wszystkich, którzy chcą budować relacje, komunikować się

bez przemocy, wyjść z kryzysów. Pomoc rodzinom, a szczególnie kobietom, to dzieło życia siostry Anny. „Kobieta nie jest grzechem” – pisze w jednej ze swoich książek. „Siostra od prostytutek” – nazywają ją niektórzy. Od lat dziewięćdziesiątych pomaga kobietom na ulicy, ofiarom handlu ludźmi, kobietom porzuconym, zagubionym. Jest streetworkerką, certyfikowaną terapeutką, trenerką, członkinią zespołów do spraw handlu ludźmi działających przy organach państwowych i samorządowych.

Rozmawiamy przy cieście – obłędnie smacznym, jak na deser u babci.

– Po co było tyle kupować?! I szarlotka, i sernik – to za dużo! – kryguję się, rozglądając się po skromnych wnętrzach domu zakonnego przy ulicy Krasińskiego.

– A przestań! Przecież jak gość przyjeżdża, to jasna sprawa. Mamy tu taką świetną cukiernię niedaleko. Wiedziałam, że będzie ci smakować – mówi siostra Anna, krzątając się po pokoju.

Wydaje się, jakby chciała już usiąść do rozmowy, ale ciągle coś ją od niej odciąga. Jeszcze coś dopisze, jeszcze komuś coś powie, jeszcze jeden telefon...

Herbatę robi nam Iza. Trochę się dziwię, że nie jest w habicie.

– Bo ja nie jestem siostrą zakonną. Na razie! – śmieje się. – W stowarzyszeniu pracują i siostry, i świeccy – tłumaczy.

Do siostry Anny dzwoni telefon.

– Przepraszam, odbiorę.

Jestem tam zaledwie kwadrans, a to już chyba trzecie czy czwarte połączenie. Siostra jest rozchwytywana. Iza opowiada trochę o sobie, o swoich obowiązkach. Nasz *small talk* przerywa powrót siostry. Energicznie wchodzi i siada na kanapie:

– Dobra, gadajmy! Iza, weź powiedz, że teraz już niczego z nikim nie załatwiam.

– Jasne, siostrze. Nie przeszkadzam. – Iza uśmiecha się i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Życzliwość, otwartość, bezpośredniość, energia, poczucie humoru – tak zapamiętuję pierwsze minuty w świecie siostry Anny. Nie waham się zatem, pytam wprost.

*

Obserwując dokonania siostry i sposób pracy z potrzebującymi, charyzmę, którą widać na filmikach dostępnych w internecie, no i teraz, patrząc na siostrę od kilkunastu ładnych minut, nie przestaję zachodzić w głowę: co ktoś taki jak siostra robi w zgromadzeniu zakonnym? Energiczna, bezkompromisowa, konkretna w świecie wyciszenia, twardych reguł, posłuszeństwa? Jak to?

O to, co tu robię, powinnaś zapytać Szefa. Myślę, że gdyby nie On i gdyby nie moje zgromadzenie, już dawno popłynęłabym w długą...

Szefa?

No, Boga.

Zawsze tak siostra mówiła o Bogu, że to jest „Szef”?

Tak mi to jakoś przyszło, bo nieraz słyszałam takie pytania: „Czy siostra jest elżbietanką czy boromeuszką, czy służebniczką, czy kimś tam jeszcze?” – i zawsze wtedy odpowiadałam: „Nieważne. Ten sam Szef, tylko firma inna”. Wszystkie te zgromadzenia powstały po to, żeby towarzyszyć, pomagać ludziom – i to jest najważniejsze. Była w tym Boża ręka – tak myślę – że trafiłam akurat do tego zgromadzenia, z takim charyzmatem: pracującego z kobietami.

Kiedy siostra postanowiła wstąpić do Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej?

To był właściwie przypadek. Nie myślałam o tym w ogóle, dopiero w klasie maturalnej mnie przycisnęło. Bóg mi nie dawał spokoju. Bo wybór drogi zakonnej to jest osobna rzecz. Najpierw jest bardzo osobiste doświadczenie Boga.

Siostra zawsze była osobą wierzącą?

A czy ja wiem? Myślałam, że jestem wierząca, ale wiesz, jak to było: w niedzielę do kościoła, czy raczej za kościół. Sakramenty przyjął, na religię chodziłam, i tyle. Nic z tego nie wynikało. Dużo dało mi dopiero bliskie i świadome zetknięcie z Bogiem. Koleżanka zaprosiła mnie na spotkania wspólnoty, która się nazywała „Źródło” czy jakoś podobnie. Poszłam z ciekawości. Okazało się, że dostałam tam bardzo fajną formację, opartą na założeniach księdza Franciszka Blachnickiego²⁸ – bo to było związane z ruchem oazowym. Poznałam ideę samowychowania, która bardzo do mnie trafiła. Najważniejsze było to, że przyjmowali cię tam taką, jaka byś była. Nie stawiali warunków, nie oceniali cię, mogłaś się cały czas nie odzywać i to nikomu nie szkodziło. A ja cię zapewniam, że jako nastolatka nie byłam taka gadatliwa jak dziś, absolutnie! Nie gadałam, za to rozrabiałam. Nie szłam wtedy dobrą drogą.

A jaką?

Drogą samozniszczenia... Na tych spotkaniach nauczyłam się wielu rzeczy organizacyjnych. Jak na przykład prowadzić różne spotkania, żeby nie było nudno. Że wcale nie potrzebujesz zawsze alkoholu, żeby się rozweselić. Fajne było to, że w tej wspólnocie były osoby świeckie. Prowadzili ją

mężczyzna i kobieta, co budziło zdziwienie – w Kościele często jest sam babiniec. Dla mnie to było ważne, że nie był to ksiądz, który takie rzeczy prowadzi „zawodowo”, tylko właśnie ludzie świeccy, autentycznie zaangażowani, pragnący doświadczyć Boga. Bo generalnie to nie podobał mi się język kościelny, nie trafiał do mnie. Zresztą tam przychodzili nie tylko wierzący. Przychodzili różni ludzie poszukujący swojego miejsca, stawiający pytania. Wtedy też po raz pierwszy w życiu usłyszałam muzykę jazzową na żywo i uczestniczyłam w mszy jazzowej. Działały tam różne grupy artystyczne: muzyczne, teatralne, plastyczne. Można było być w tych grupach, realizować się i uczyć.

Potem chciałam odejść od Kościoła. Docierały do mnie te wszystkie gadki, że religia to opium dla mas. Żyłam w lekkiej schizofrenii – z jednej strony pochody pierwszomajowe, z drugiej strony jazzowe msze... Miałam różne inne pomysły na siebie.

Inne, czyli jakie?

Po szkole średniej chciałam jak najszybciej iść do roboty i dostać tak zwaną książeczkę „G”, czyli górniczą. Choć nie pochodzimy ze Śląska, moja rodzina była związana z górnictwem – tata, szwagier, siostrzeniec pracowali w tej branży. Rodzice i dziadkowie przyjechali tutaj za pracą. Śląsk wtedy mocno się rozwijał. Ja już się urodziłam i wychowałam w Mysłowicach, ale mój tata urodził się w Sosnowcu, a jego rodzice pochodzili z Rzeszowszczyzny. Rodzina mamy z Małopolski. Praca w górnictwie dawała sporo przywilejów. Jedynym miejscem na kopalni, w którym mogły pracować kobiety, była sortownia – wiesz: taśma leci, a ty sortujesz węgiel ręcznie. Ciężka praca, w złych warunkach, to zimno, to gorąco, pył. Ale jak miałaś książeczkę „G”, to mogłaś sobie kupić różne fajne rzeczy, do których normalnie nie było dostępu. Mówiąc „fajne”, mam na myśli takie

jak pralka – w tamtych czasach to były moje marzenia. Potem bardzo chciałam mieć samochód i być kierowcą. A później jeszcze myślałam, żeby założyć knajpkę: taką z przyciemnionym światłem, lekko niebieskawym, z dymem, sceną i muzą na żywo: jakieś piano czy gitara, jakiś jazzik... I w tym świetle ja przy barze, napełniam kieliszki – dżin, malibu, siup, proszę bardzo. Ludzie do mnie przychodzą, rozmawiamy sobie szczerze o życiu.

No i to wszystko przecież siostra ma! Tylko bez dżinu i malibu.

Bo Bóg wchodzi w sposób tajemniczy i robi ci totalną rewoltę w życiu. Kto by pomyślał, że tak się skończy!

Siostra chyba kocha muzykę.

Muzyka od zawsze do mnie mocno przemawiała. Piosenki to było coś, co mnie dotykało. Potem sama nauczyłam się grać na gitarze. Nie znam się na nutach, ale w tej grupie się nauczyłam – gry na gitarze, obsługiwania mikrofonu, pewnych zasad śpiewania, wokalu, choć nigdy nie byłam specjalnie śpiewająca; jestem po rozszczepie podniebienia, więc nie było łatwo.

A teraz siostra gra, śpiewa i nagrywa płyty z muzyką chrześcijańską.

No widzisz, jak to jest śmiesznie w życiu. Z jednej strony, jakby się człowiek tak przyczepił tych swoich słabości, toby nic nie zrobił; a z drugiej – nie możesz sobie wyobrazić czegoś, czego by Bóg nie przeskoczył. On ci załatwi przygodę życia, spotkania z fantastycznymi ludźmi, w niesamowitych miejscach.

Powiedziała siostra, że szła „drogą samozniszczenia”, a jednak wybrała siostra zakon. Dlaczego?

Bóg nie dawał mi spokoju. To jest tak, że po bliskim spotkaniu z Nim przychodzą ci do głowy myśli niepokojące, nawracające i czujesz, że trzeba coś z tym zrobić. Chodziłam sobie na jedną imprezę, na drugą i te myśli mnie cały czas dopadały. Szef mnie wołał. Którejś nocy, gdy wróciłam z kolejnego baletu, napisałam Mu na kartce odpowiedź: „Dobra, zgadzam się. Tylko już mnie nie męcz!”. Podpisałam się trzema imionami – dwoma z chrztu i trzecim z bierzmowania – żeby to moje oświadczenie nabrało mocy.

Nie poszła siostra „w długą”, tylko pomagać ratować kobiety od życia na ulicy. Jak to się stało?

Poszłam pracować na ulicę, bo tam posłał mnie Kościół – biskup i moi przełożeni. Sama bym tego przecież nie wymyśliła. Pomyśl – jakbym sobie sama wymyśliła pracę z prostytutkami, to wszyscy uznaliby, że mi odważyło [śmiech].

Dostała siostra taki „przydział” w zgromadzeniu?

Przyszło pismo z prośbą od prezydenta miasta, żeby kogoś wysłać do Domu Aniołów Stróżów w Katowicach. Potrzebna była kobieta do pracy z kobietami – z dziewczynami z ulicy, no i z dziećmi. Matce generalnej nie wypadało powiedzieć prezydentowi „nie”, bo szukał zgromadzenia, które miałyby charyzmat związany z pomocą kobietom. Zgromadzenie Sióstr Maryi Niepokalanej pasowało idealnie. Piszę o tym w moim *Przewodniku streetworkera*:

Trzeba podkreślić, że prośba prezydenta Katowic stanowiła znamienne odbicie historii mojego Zgromadzenia. W XIX wieku w czasie wielkiej migracji ludzi ze wsi do miast w poszukiwaniu pracy wiele dziewcząt przyjeżdżało (...) do Wrocławia na służbę do bogatych rodzin. Przybywając do dużego miasta, nie były świadome grożących im niebezpieczeństw. Zagrożenie dziewcząt pod względem moralnym było tak wielkie, że urzędnik policji zwrócił się do księdza biskupa Foerstera, aby Kościół zajął się kobietami przyjeżdżającymi w celach zarobkowych. (...) Kobiety stawały się samotnymi matkami bez środków do utrzymania, było wiele przypadków porzucania dzieci, zachorowań na choroby weneryczne, pracy w tak zwanych domach uciech. Wzrastała skala różnych przestępstw i przemocy. Trzeba więc było zorganizować jakąś instytucję lub zakład, w którym szczególnie młode kobiety mogłyby się schronić na czas poszukiwania pracy, gdzie otrzymałyby wsparcie i pomoc, jak i opiekę duchową. Tej misji podjął się ksiądz Jan Schneider. Zainicjowane przez niego dzieło pomocy dziewczętom przekształciło się 26 maja 1863 roku w Zgromadzenie Sióstr Maryi Niepokalanej²⁹.

Tyle historii zgromadzenia, a co do mojej, to siostra prowincjalna poprosiła mnie na rozmowę i wyliczyła mi, gdzie i z kim będę pracować. Roześmiałam się, bo to było dla mnie aż niemożliwe. Powiedziała: „Pójdiesz do alcoholiczek, prostytutek...” – a ja patrzę i myślę: „Co ona opowiada?!”. Do tej pracy miała zostać przydzielona inna siostra, ale ona pracowała już za granicą, miała do tego wszystkie potrzebne zezwolenia, nie chcieli jej już zatem cofać do kraju, padło na mnie. Tak sobie ze mną Duch Święty poradził! Bogu zależy na nas. Rodzaje narzędzi, które stosuje, nie mają znaczenia. Bóg ma swoje sposoby. Ważna jest otwartość serca i rozeznanie. Jeśli nie koncentrujesz się tylko na aspekcie ludzkim, nie masz teorii spiskowych, jesteś tylko ty i Bóg. I o to właśnie chodzi.

Domyślam się, że gdy siostra poszła pierwszy raz do swoich podopiecznych, to nie przywitały siostry gromkimi brawami...

Pewnie, że nie! To tak nie działa, że idziesz i mówisz: „Cześć! Jestem Ziuta i chcę wam pomóc”. Jeśli tak zrobisz, odpowiedź będzie jedna: „My od ciebie nic nie chcemy, wypad z naszego terenu!”. Dlatego też trzeba było znaleźć jakąś możliwość dojścia do dziewczyn. Musiałam się rozeznać w terenie, zobaczyć, jak mnie przyjmą, co do nich trafi. Pamiętam pierwszą dziewczynę, z którą miałam pracować. Przyszła do Domu Aniołów Stróżów. Był ze mną ksiądz, który miał mi pomóc wejść w temat. Siedzimy we troje w pokoju i on mówi do niej tak: „Wiesz, tu jest siostra Anna, pomoże ci, porozmawiaj z nią”. Ta popatrzyła na mnie i wrzasnęła, że z dziewczicą nie będzie rozmawiać, a potem wstała i uciekła. Z desperacji chciałam za nią wołać: „Ale skąd wiesz?! Skąd wiesz, że z dziewczicą?!”. Nie miało to jednak większego sensu. Jak tak wyskoczyła z pokoju, to wszyscy byli przerażeni. Seria pytających spojrzeń, jakby wszyscy uznali, że coś jej zrobiłam. Powiedziałam: „No cóż, wiem, że nie mam urody, ale żeby aż tak?” [śmiech]. Atmosfera się rozluźniła i walczyliśmy dalej.

Od razu rzucono siostrę na głęboką wodę. Co pomagało?

Myślę, że poczucie humoru i dystans do siebie są kluczowe. Bo Szatan jest panem powagi, a dobry humor działa jak egzorcyzm. A przede wszystkim żeby cokolwiek zacząć robić, trzeba najpierw słuchać, trzeba poznawać ludzi.

Wielkim szokiem było dla mnie, gdy się dowiedziałam, że na ulicy handluje się ludźmi. Jedna dziewczyna, którą się opiekowałam, powiedziała mi kiedyś, że one nie mogą zejść z ulicy, bo mają dług. „A skąd ty masz dług, jaki dług? – spytałam. – Jak w ogóle mogłaś się zadłużyć?” I potem

się okazało, że za wszystko trzeba było płacić haracz: za miejsce przy ulicy, za to, że alfons załatwił ci mieszkanie, albo za to, że – jak ci powiedział – musiał coś załatwić z policją, i tak dalej. Te długi rosły potem w takie kosmiczne sumy, że choćbyś nie wiadomo co zrobiła, w życiu byś się nie wypłaciła. Czasami alfonsi³⁰ używają fikcyjnych niby-umów. Jeśli ktoś się na tym nie zna, a jest w kryzysie, to podpisuje i w ten sposób łatwo go wykorzystać. Musiałam się tego wszystkiego nauczyć. Bo wiesz, ulica to jest cała społeczność, jakby miasto w mieście. Bezdomni, dilerzy, doliniarze, złodzieje, prostytutka męska, chłopięca, gry hazardowe. To wszystko było bardzo skomplikowane i wzajemnie ze sobą powiązane: i bezdomność, i ubóstwo. Szybko zauważyłam, że pomaganie w sensie dawania rzeczy materialnych to jest tylko narzędzie, to są gadzety, najważniejsza w tym wszystkim jest relacja i jej stałość. A to się równa temu, że tysiące razy zostajesz wystawiona do wiatru. Część dziewczyn, z którymi pracowałam, została zamordowana. Część zaginęła, część wylądowała w więzieniach, a część ułożyła sobie życie. Niektóre odnalazły mnie po latach.

Taka praca to chyba ciągle wahanie – dziewczyna odchodzi, wraca, odchodzi i znów potrzebuje wsparcia. Wraca na ulicę, do systemu, w którym funkcjonowała, bo inaczej nie umie.

No, dokładnie tak jest. Kiedy pracowałam ulicznie, to też mi się nieraz wydawało, że coś nie ma sensu. Na przykład widziałam, jak dziewczyna stoi, kolejny raz nie jest trzeźwa. Ma za sobą doświadczenie wielu aborcji, przemocy, poniżenia – to są naprawdę ciężkie historie. I w duchu nieraz mi się pojawiała myśl: tu już nic nie pomoże, pozamiatane. Wtedy jasno sobie powiedziałam, że nie jest moim celem, żeby ktoś zszedł z ulicy.

A co jest siostry celem?

Żeby ludzie na ulicy mogli doświadczyć Boga, który nigdy o nich nie zapomniał. Bo jeżeli ktoś jest gotowy, jak mu się wszystko w środku poukłada, to on sam z tej ulicy zejdzie. Nieraz ludzie pytają: ile kobiet zeszło z ulicy? Nie chodzi o statystyki! Nie chodzi o to, ile procent! Procent to mogę ci powiedzieć, ile jest na butelce. Chodzi o to, że Bóg nie zapomina o człowieku.

Kiedyś robiłam szkolenie w Warszawie. Byłam tam też w terenie, w okolicach Dworca Centralnego. Siostry, które szkoliłam, opowiadały mi o swoich doświadczeniach. Czasami towarzyszyły kobietom, które przez lata pracowały na ulicy. Były z nimi nawet w szpitalu, kiedy te umierały. Nierzadko te dziewczyny pytały: „Czemu ty do mnie przychodzisz, skoro byłam taka niemiła dla ciebie?”. Właśnie o to chodzi. To jest moja rola jako siostry zakonnej – widzę człowieka, widzę jego cierpienie, widzę jego piękno, mimo że zewnętrznie, z pozoru wydaje się okropny. Ale wolnego! Ocenianie zostawmy Bogu. Naszą rolą jest to, żeby ludzie doświadczyli, że Bóg przychodzi do każdego.

Może dzięki swoim osobistym doświadczeniom ma siostra takie zrozumienie dla ludzi, którzy żyją na marginesie?

Pamiętaj, że u Boga nie ma ludzi na marginesie. Za to Go lubię. Za to też lubię swój Kościół, że w nim każdy ma swoje miejsce i każdy może się obok drugiego przed swoim Panem, niezależnie od tego, co mu się w życiu przydarzyło. Mam na myśli też siebie. Bóg jest miłosierny. Co to znaczy? Że mówi człowiekowi: „Tu masz miłość za darmo”. Na Bożą miłość nie musisz specjalnie zasługiwać. Tylko jak doświadczyć takiej miłości, której

nie widzisz? Maryja się nie ukazała, Jezus się nie pojawił. Jak doświadczyć Boga żywego?

Jesteśmy tacy, że zawsze widzimy u siebie to, co jest złe i najgorsze. Mnie się na przykład wydawało, że jestem najbardziej pijącą, beznadziejną osobą na świecie. Czułam się uszkodzona, wybrakowana. Myślałam, że w ogóle nic mi się od życia nie należy. A jak się tak człowiek nakręca, że jest nieudacznikiem, to męczy ludzi wokoło i siebie samego. Lubię taką metaforę: to tak, jakbyś weszła do mieszkania, poszła do ubikacji, wsadziła rękę do muszli klozetowej i powiedziała: „Kurde, jak tu śmierdzi, jak tu jest ohydnie!”. Ale nie wejdiesz do salonu, do jednego pokoju, do drugiego, tylko siedzisz i miauczysz, że ci śmierdzi. Toż wyjmij tę rękę, umyj i popatrz dookoła!

Bóg nauczył siostrę patrzeć dookoła?

Ciągle mnie uczy. A ja ciągle z Nim dyskutuję. Jak czytałam w Księdze Jeremiasza, że Bóg mnie ukształtował i wybrał, to sobie myślałam: Kurde, mógłby się bardziej postarać! Ale człowiek dopiero z czasem do tego dochodzi, że najważniejsza kwestia to przyjąć siebie takim, jakim się jest, i powiedzieć: „Jezu, dziękuję!”. Nawet moje braki oznaczają, że szukam wypełnienia. Mój głód, który został spowodowany historią mojego życia, to jest taki głód, jakiego ludzie nie zaspokoją – i trzeba mieć tego świadomość, bo inaczej „zajedziesz” innych tym głodem. Przychodzili do mnie różni podopieczni i mówili na przykład: „Jestem zły, muszę umrzeć albo trafić do więzienia”. Wcale tak nie jest! „Co ze mną jest nie tak?” Myślę w takich chwilach o tym, co jest napisane w Piśmie Świętym, że żadne pojawienie się człowieka nie jest przypadkowe. Mówię: „Stary, no wiesz. Jeden rodzi się w willi, jest synem arabskiego szejka, inny w budzie od kozy. Dostajesz parcelę i to od ciebie zależy, jak sobie ją urządzisz”.

O sobie zawsze mówię, że nie jestem doskonała, moja rola jest taka: daję Ci moje sto procent, ale ze wszystkimi moimi lękami, świrami, obrażeniami...

Obraża się siostra na Boga?

Niestety tak. Ale to dlatego, że bywa mi czasem ciężko. Na przykład ktoś ci umiera, młodzi ludzie umierają na ulicy albo chcesz komuś pomóc, lecz jesteś bezsilna wobec systemu, rodziny, prawa czy – nazwijmy to – organizacji przestępczych. To jest coś, co przerasta. Trzeba się dogadać z Szefem, żeby dał ci dar pokoju. Pokój przychodzi od Niego.

Trochę to tak wygląda, jakby siostra cały czas pracowała nad swoją relacją z Bogiem. Nawet jakby Bóg się o siostrę starał.

No, mam nadzieję, że się stara [*śmiech*]! Bo ja się z Nim umówiłam w ten sposób: nie jestem doskonała, jestem pyszna, emocjonalna, nieraz chcę czegoś na skróty, mam swoje głupie pomysły, a On nie może mi pozwolić, żebym odeszła od Niego. Ma zrobić tak, żebym nie odeszła. Emocjonalnie, myślowo. Oczywiście On ma swoje sposoby, czasem to bywa bolesne. Zawsze mogę odejść – mam wolną wolę – ale jeśli odejdę, to powiem ci...

Pustka?

Ani się z kimś pokłócić, ani się obrazić... Miałam kiedyś taką sytuację, że chciałam już trzasnąć tym habitem; myślę sobie: „A, piernicę, idę do cywila! To wszystko mnie przerasta, i moja niedoskonałość, i słabość, w ogóle się nie nadaję”. Nagle dostaję list od mojej uczennicy, która pisze: „Oj, proszę siostry, taką jestem kiepską matką i żoną, miałam ochotę wszystkim trzasnąć, ale jak sobie pomyślałam, ile siostra musiała znosić naszego świrostwa, jak rozrabialiśmy i broiliśmy w różnych przestrzeniach,

to skoro siostra wytrzymała, ja też wytrzymam”. Przeczytałam ten list i sobie myślę: „No to ładnie! Teraz się dziewczyna dowie, że ja wszystko zostawiłam i poszłam? No dobra, skoro ona wytrzyma, to ja też wytrzymam”. I zostałam. Są momenty kryzysu, zdarzają się wszędzie. Trzeba sięść i zobaczyć światełko w tunelu, ono zawsze jest. „Chociażbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną”³¹. „Ty jesteś ze mną”. Idziesz w ciemno, nic nie widzisz, grasz *va banque*. No to gram dalej, choć bywa, że brakuje sił.

Szef nadaje życiu siostry sens?

Tylko On.

A jak siostra radzi sobie z porażkami terapeutycznymi? Z tym, że spotyka siostra na ulicy dziewczynę, która nie pozwala sobie pomóc, nie udaje się jej wyciągnąć z kryzysu?

W Piśmie Świętym czytamy, że Pan jest szefem czasu, czyli On wybiera odpowiednie miejsce i czas. Może to po prostu nie jest jej czas? Równie dobrze mogłabyś powiedzieć do mnie, że – nie wiem, strzelam – wyglądam jak baryła, trzeba by schudnąć! No wiem, i znam milion czterysta osiem sposobów na schudnięcie, tylko że jak przychodzi co do czego, to ni hu-hu... Musi przyjść odpowiedni moment, kiedy będę gotowa, to wtedy to zrobię – schudnę. Nie potrzebuję, żebyś mi mówiła, że nadwaga jest niezdrowa, bo ja już to wiem. I dokładnie o to chodzi. Poza tym człowiek to jest jedna wielka tajemnica, za każdym razem osobna historia, więc na tyle poznasz kogoś, na ile się przed tobą odsłoni – nie łudź się, że jesteś wielka, bo wszystko wiesz, popatrzysz i już zasufladkujesz. Mamy takie tendencje do szufladkowania. Do dziś chodzi mi po głowie jeden facet, którego w myślach właściwie już przekreśliłam – on o tym nie wie, a mnie jest

bardzo wstyd, ale myślałam sobie: z tego to, Panie, nic już nie będzie. Tymczasem dziś ten chłop się świetnie ma i pracuje dla innych, a dla mnie to jest wyrzut sumienia, że go w myślach skreśliłam. Że się poczułam panią życia i śmierci – a to nie naszą jest sprawą! Podobnie z jedną dziewczyną, która została na ulicy, myślałam sobie, że już na niej umrze, cały czas była na bani, nigdy trzeźwa. Nagle parę lat później ją spotykam – nawet jej nie poznałam: inna cera, inna osoba. Pracuje jako sprzątaczką, jej partner też ma pracę. I mówią mi, że podjęli decyzję: u nich będzie zero alkoholu, tworzą dom. Weź mi to wytłumacz!

Dzieło Boga?

A kogo innego? Miałam kiedyś taki epizod, że prowadziłam program w Religia TV. Ludzie telefonowali, mogli pytać o różne rzeczy, między innymi o uzależnienia i o doświadczenie Boga. I dzwoniли na przykład ludzie, którzy wyszli z rodzin z uzależnieniem alkoholowym. To było niesamowite świadectwo! Oni mówią: „Modlimy się codziennie. Nasze dzieci nie znają przekleństwa. Żadne z nich nie widziało nas pijanych”. Zwłaszcza kiedy wiesz, jaka to jest siła: uzależnienie, to trudno, żeby cię takie coś nie poruszyło. Ludzie są piękni i fascynujący. Wiadomo, że czasem wkurzający – samo życie. Taka jest jego dynamika. Nie ma *high life*, ale jest dużo piękna i ja chcę to odnajdywać. Towarzysząc, jesteśmy jak poszukiwacze pereł.

W swojej pracy na co dzień przekonuje się siostra, że Bóg czuwa?

Mam mnóstwo dowodów na Jego pomoc. Bywało tak, że na przykład nie było oleju opałowego, żeby ogrzać budynki naszego zgromadzenia. Trzy dni kaloryfery jechały na oparach, zaczęłyśmy już myśleć, do kogo podrzucić dzieci, którymi się opiekowałyśmy. Temperatura leci w dół, leci

w dół, aż tu nagle przychodzi jeden gość, taki muzyk, i mówi, że się modlił i umówił się na coś z Bogiem. Pytam: „Ale czemu ty do nas przychodzisz?”. A on, że poczuł w sercu taką pewność, że ma do nas przyjść i dać nam pieniądze. No to weź mi to wytłumacz! Ja też dopytuję, chcę zrozumieć, wiedzieć, dotknąć. Pomacać, jak ten niewierny Tomasz.

A co, jeśli brakuje wiary?

Jakoś idzie, a jeśli nie idzie, to przyjmujemy to, co jest. To nie jest łatwe, ale ja chcę tak żyć. Zaufaj, uf, uf! Nieraz świruję, słabnę. Nie jest tak, że człowiek jest mocarny. „Moc w słabości się doskonali”³². Nieraz myślę: to jest jakieś wyrąbane! Co to znaczy: moc w słabości? Jestem wściekła, bezsilna wobec siebie samej czy wobec okoliczności. Moc w słabości – co to w ogóle za konstrukcja? To elektryzuje. Czasami jest tak, że słowo do ciebie trafia, działa, coś się dzieje. A czasami się obrażasz i mówisz: „A, nie będę z Tobą gadać. Nie!”. Wspólnota ma jednak to do siebie, że cię ściąga na ziemię, pilnuje, w razie potrzeby zwróci uwagę.

Dobrze się żyje w zgromadzeniu?

Nie narzekam. Przeważnie w zakonach są fajne babki, wspaniałe kobiety, a każda – to inna historia.

A zna siostra jakieś były siostry zakonne?

Znam.

Dlaczego odeszły? Nie mogły wytrzymać napięcia w grupie? A może chciały założyć rodzinę?

Nie wiem tak do końca, szczerze mówiąc, bo to może być bardziej złożone. Zawsze to jest złożone. Nieraz odchodzą siostry w wieku, w którym się już raczej nie zakłada rodziny, tylko jesteś skazana na życie samotne, ewentualnie przy rodzinie. Przyczyny takich decyzji są bardzo różne i nie chciałabym się w nie wgłębiać. Staram się być tu i teraz. Liczy się codzienność – żyjemy dziś, kończysz dziś, mówisz: „Dziękuję za dziś! A jak się obudzę, to żeby nic nie wywineła; a jak wywine, to wiesz, gdzie mnie szukać”. Czy człowiek jest dobry? Nie, nie jesteśmy dobrzy. Każdy ma swoje za skórą, mamy różne dziwadełka. Cały numer polega na tym, że gdzieś, w jakichś granicach się to mieści, no i jest też wspólny cel.

Siostra nie mieszka w domu swojego zgromadzenia z innymi siostrami?

Ze względu na charakter naszej pracy została powołana osobna placówka, która ma swój rytm dnia. W naszym ośrodku może mieszkać maksymalnie piętnaście kobiet z dziećmi. Jesteśmy tu z nimi razem z siostrą Basią³³. No i tak od dwudziestu lat mieszkam w tak zwanym *crazy domku*. Tak dziewczyny, którymi się opiekujemy, nazywają ten ośrodek, bo wiadomo – dzień bez zadymy jest dniem straconym [*śmiech*].

Ciekawe, o co te zadymy?

O wszystko, jak to w rodzinie: o to, kto ma sprzątać, kto wynieść śmieci... Ktoś coś potłukł albo zniszczył i nie zgłosił albo ktoś coś olewa, nie wstał na posiłek, któraś tam powiedziała innej, że jest taka owaka... Takie pierdoły. Jesteśmy grupą kobiet i mieszkamy razem, jemy wspólnie. Normalnie praca trwa od – do, o określonej godzinie się kończy, a my jesteśmy ze sobą całą dobę. Uczymy się tego bycia razem. Ważne, że cały czas ponawiana jest próba dialogu, dogadywania się... Bo wiesz, że w naszym domu najwięcej problemów bierze się z nieumiejętnej

komunikacji. Mówimy po polsku, ale się nie słyszymy. Jeżeli wybuchają konflikty, to najczęściej przez to, że ktoś czegoś nie zrozumiał. Jeśli jest awantura, to potem, gdy już się dogadamy, okazuje się, że nastąpiło nieporozumienie. Nie ma złej woli. Oczywiście pojawiają się sytuacje, że ktoś komuś chce dokopać. Bywa, że ktoś bardzo nie chce się dogadywać – jak bardzo nie chce, no to trudno, *c'est la vie*. Ja też uczę się słuchać uwag, choć to wcale nie jest przyjemne. Ale warto, bo może to być wskazówka do pracy nad sobą.

Co siostra czuje, gdy docierają do siostry doniesienia medialne o pedofilii w polskim Kościele, o przestępstwach księży? W odbiorze społecznym jesteście częścią tej samej wspólnoty czy – pozwolę sobie na świecką nomenklaturę – tej samej grupy zawodowej...

Przede wszystkim bardzo dobrze, że jest tak, jak jest, to znaczy, że wokół tych tematów jest duży szum medialny. Niech się Kościół oczyszcza. Mówienie prawdy pomaga. Natomiast jak to się ma do bycia w zakonie... Wiesz, pytanie jest o to, co ty sama masz w sobie i o co ci w życiu chodzi. Ja przecież nie odpowiadam za księdza czy za biskupa. Odpowiadam za siebie. Jestem na przykład kierowcą i jeśli coś zrobię źle, spowoduję wypadek czy przekroczę prędkość, to odpowiadam za to prawnie, dostaję mandat i tak dalej. Nie ma czegoś takiego jak odpowiedzialność zbiorowa. Ale oczywiście Kościół to Ciało Chrystusa i jeśli jeden jego członek jest chory, cierpi całe ciało. A z drugiej strony, masz dowód na to, że księża to są też ludzie, to nie są „eksporty z nieba”, jak się czasem niektórym wydaje. Poza tym jaki pan, taki kram. Skąd się biorą księża? Przecież ze społeczeństwa. Jakie masz społeczeństwo, takich masz duchownych. Potrzebna jest nieustanna praca nad sobą i pamięć o tym, co mówi święty

Paweł: kiedy stoisz, bacz, żebyś nie upadł. Każdemu może odwalić. Od oceniania jest Pan Bóg. My róbmy swoje.

Siostra robi swoje na pełnej petardzie, jak mawiał ksiądz Jan Kaczkowski. Widziałam na przykład filmiki z budowy Centrum Rodziny im. Świętego Józefa, pozuje siostra w kasku budowlanym. Nie wszystkim matkom przełożonym podoba się aktywność sióstr zakonnych w mediach społecznościowych.

No, ale ja nie mam z tym problemów. Jeżeli przełożeni powiedzą: „Za dużo cię w mediach”, to się wycofam.

Naprawdę?

A czemu nie? Trzeba być wolnym w tym wszystkim.

Nie wkurza siostry to, że wkłada siostra całą swoją energię, pracę, zaangażowanie w budowę tego centrum, a w pewnym momencie może odezwać się „góra” i powiedzieć: „No, droga siostró Anno, przenosimy siostrę do innego miejsca, ma siostra kolejne zadanie do wykonania”? Wygląda siostra na kowala swojego losu, a jednak nie do końca może nim siostra być...

Gdyby mi przełożeni dziś powiedzieli: „Zostaw to, odejdz” – zostawiam i odchodzę. Modlę się o to, żeby mieć taką wolność, żeby mi nie odpało. Bo ktoś, kto przyjdzie po mnie, zrobi to inaczej, ale to nie znaczy, że źle. Tyle że trudno jest to przyjąć, kiedy się coś tworzyło. Wiadomo, że odczuwasz smutek. Bo wiążesz się z ludźmi. Odchodząc z różnych miejsc, starałam się robić to tak, żeby grupa, która zostaje, przyjęła moją następcę, żeby była na niego otwarta. Jakby przełożeni chcieli, to mogą

mnie wysłać gdziekolwiek, gdzie będę potrzebna. Taka jest nasza struktura. Choć jest to praktycznie mało realne, bo po co? Ja się tu osadziłam ze względu na to, co robimy – a nie jest tak, żebyśmy miały wiele sióstr i mogły je dowolnie wymieniać. Ważna jest też rozpoznawalność w mieście. Dlaczego dostałyśmy ten dom? Bo już od kilku lat pracowałyśmy na ulicy, byłyśmy znane, kojarzone w urzędach, odbyłyśmy mnóstwo spotkań. To jest potrzebne, bo jak ktoś nas nie zna, na pierwszy rzut oka mógłby powiedzieć: „Co to za oszołomy są?”. Habit jeszcze nie oznacza, że wszystkie drzwi stoją przed nami otworem. W jakiś sposób trzeba było udowodnić – swoją pracą, swoim byciem – że jesteśmy wiarygodne, warto nam zaufać.

Na ile habit utrudnia albo ułatwia siostrze działanie, organizowanie, ale też budowanie relacji z kobietami w kryzysie?

Powiem tak: na ulicy habit może kiedyś miał jakieś większe znaczenie, ludzie czegoś oczekiwali, spodziewali się na przykład moralizowania. W tej chwili to chyba nie ma znaczenia. Sama się nieraz zastanawiałam, czy mam wyjść w habicie czy po cywilu. W Warszawie pracują też siostry, które są bezhabitowe. Tylko że to jest część zasad ich zgromadzenia. Dla mnie ważna jest tożsamość. Ważne jest to, kim jestem. Nie mogę udawać kogoś, kim nie jestem. W dzisiejszym świecie jest dużo udawania kogoś, kim się nie jest. A ja sobie myślę tak: „Albo mnie przyjmą taką, jaka jestem, albo nie – *c'est la vie*”. Często jeszcze mówię, kiedy mnie ludzie pytają o pierwsze doświadczenia na ulicy, że było trudno, dopóki się nie odezwałam – potem już było OK [*śmiech*]. Niektóre dziewczyny z ulicy, kiedy już miałyśmy fajną relację, wspominały, że na początku wyglądałam groźnie – wiesz, zawsze byłam kawał baby – ale jak już gębę otworzyłam, to potem szło z górki.

„Otwierała siostra gębę” i co mówiła?

Czasami zaczynaliśmy prosto, od pytania: „Co możesz zrobić dla siebie dzisiaj?”. Nieraz było tak: „Jakie masz marzenia?”. „Nie mam”. Myślałam, że dziewczyna mnie zlewa. Ale nie: one żyły tu i teraz, naprawdę nie miały marzeń, celów, planów! „No, a co możesz zrobić dla siebie?” No to słyszałam na przykład: nauka u logopedy – ponieważ dziewczyna bardzo niewyraźnie mówiła. A to była akurat sytuacja, kiedy byłam w parze z kolegą streetworkerem, dziewczyna zobaczyła przystojnego faceta, to mówi: „Co się patrzysz?” – i wyrecytowała cennik. My oboje zbaranieliśmy. Chwila ciszy i pytam: „Mogłabyś powtórzyć? Bo nie zrozumiałam”. A ona z nim rozmawia. „Wiesz co, rozumiem, jaki masz cennik, ale może byś chciała logopedy, bo bardzo niewyraźnie mówisz; jeśli chcesz, to ci załatwimy”. No i taka dziewczyna, może dwudziestoczteroletnia, która bardzo źle mówiła, była zaniedbana – gdzie mogła iść do pracy? Może mogła sprzątać, ale do handlu już by nie poszła, bo tam musisz się umieć porozumieć z klientem.

Czyli to jest tak, że z każdym człowiekiem w kryzysie siostra zaczyna od czegoś innego? Na co innego go „łapie”?

Wiesz, ja nikogo nie „łapię”, nie o to chodzi – dla mnie to by nie było myślenie ewangeliczne. Wiadomo, trzeba czasu, zanim się kogoś pozna. Ale przychodzą tutaj kobiety, każda z jakimś swoim cierpieniem, kryzysem, i z czasem zawiązuje się relacja. Nie ma znaczenia, jakie to jest cierpienie czy jaki grzech. Kiedy wchodzisz w jakiegokolwiek relacje – małżeńskie, narzeczeńskie, przyjacielskie – to ważna jest dokładnie ta sama zasada: jesteśmy odrębnymi planetami. Ja o tym mówię tak: mój świat nie jest twoim światem. I żeby poznać kogoś, trzeba czasu. To jest sprzeczne

z duchem projektów, które się robi „na już”, a jeszcze jak potrzebne są wskaźniki... to mnie rozwała. Jak mam przewidzieć, że na przykład czterdzieści kobiet nagle zmieni swoje życie? I co to znaczy, że zmieni, jak?

Często spotyka się siostra z takim rozliczaniem, potrzebą efektów?

Tak. A my co? Nie powiemy, że rozdaliśmy sto czy dwieście, czy tysiąc obiadów. Praca z człowiekiem to kwestia wieloletniej relacji. Nasi ludzie – pracownicy, siostry – to wiedzą: jak chcesz mieć i widzieć efekty – bo każdy by chciał, to normalne, ja też lubię – to sobie pomaluj mieszkanie, poprzestawiaj meble, będziesz widział. Zrób sobie włosy na fioletowo, proszę bardzo – masz efekt od razu! W naszej służbie, w tym towarzyszeniu robisz swoje, dajesz, bo tak chcesz. Nie miej pretensji, jeśli ktoś tego nie przyjmuje, ponieważ to, że przyjmuje (jeśli przyjmuje), jest też prezentem dla ciebie. Może ktoś to przyjąć, ale nie musi. Jeśli przyjmie, to dar, który ci się nie należy.

Dlaczego się nie należy?

Bo wszystko jest darem. To, co masz, i to, czego nie masz. Kto powiedział, że nam się należy na przykład zrozumienie?

Dużo siostra daje, to może oczekiwać, że też otrzyma.

Byłoby fajnie, ale nie oczekuję, bo mogę się tylko rozczarować.

Da się tak?

Zależy, jak się nad tym pracuje. Pamiętaj, „trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść niepokonanym”. Bardzo lubię ten kawałek. Trzeba umieć zostawić,

wycofać się. To nie jest moje dzieło, to jest dzieło Boga. Wszystko, co mam, jest darem dla mnie na ten czas.

Podejrzewam, że Bogu najbardziej chodzi o wiarę, o naszą relację. Bo można by powiedzieć: „Boże kochany, siostry z Broniszewic już wybudowały ośrodek, a my tu cztery lata jedno przedszkole budujemy i nie możemy skończyć. Muszę się tak kopać z tym wszystkim? Nie możesz jakoś szybciej zadziałać?”. Tu się jakiś sponsor wycofa, tu znów muszę chodzić, prosić... Całe to zbieranie środków, proszenie kiedyś postrzegałam jako żebranie. Nie cierpiałam tego. Wolę zapracować, zrobić coś: węgiel przerzucić, zagrać koncert, wygłosić rekolekcje – to jest konkret. Ale prosić? Zawsze mnie to dużo kosztowało. I dalej kosztuje. Ale trochę mi to ostatnio zostało rozjaśnione: prosząc, dajesz przecież ludziom możliwość zrobienia czegoś dobrego! Dlatego napisaliśmy w internecie: budujemy coś dobrego. Wspólnie. Przecież to nie jest dla mnie, ja do trumny tych pieniędzy nie wezmę ani nie ucieknę z nimi na Hawaje. To ma służyć innym.

Czy Kościół nie finansuje takich projektów jak centrum, które siostra buduje?

Trudna sytuacja była taka, kiedy biskup mnie posłał do pomocy ludziom, ale nie dał mi pieniędzy, żebym założyła stowarzyszenie. Na początku przełożeni mówili: „Popracuj, zobaczysz, co dalej”. Ja się nie obrażałam. Skoro tak, to widocznie jest jakaś mądrość w tym wszystkim. No, ale jak wybrnąć z takiej sytuacji? Możesz pod kościołem poprosić ludzi o wsparcie. Przyszło jednak takie zarządzenie, że aby zrobić zbiórkę pod kościołem, też musisz mieć zezwolenie władz kościelnych. I ja dostałam odmowę. No i patrząc po ludzku, to bez sensu: tu cię posyłają, tu ci odmawiają – co to ma być?

No właśnie! Co to ma być?

W pierwszym momencie zdziwienie, szok; czytam w piśmie, że Kościół prowadzi wiele dzieł, a na nasze akurat nie ma funduszy, i myślę: że co? To ja jestem poza Kościołem? Wściekłam się, ale potem pomyślałam sobie jeszcze tak: „Ja się do tego nie pchałam. Zostałam posłana przez Kościół. Bóg cię posyła, jeśli działa przez twojego przełożonego, biskupa. A skoro oni mnie posłali, to wszystko jest po coś, nawet ten brak. Może to nie jest ten czas?”. No i dobra, i potem jak jedne drzwi się zamknęły, to drugie się otworzyły. Ktoś przychodził, coś przynosił, dary, pieniądze, jakoś to się zaczęło kręcić. Zaczynałyśmy od ulicy, dzisiaj sobie siedzimy tutaj w ośrodku – mamy dwa gabinety i trzeci większy, budujemy centrum... Na początku mocno się modliłyśmy, razem zresztą z innymi wspólnotami, o mądre rozeznanie drogi, działań, celu.

Czyli w trudnych momentach siostra się modli i Szef pomaga?

To nie jest tak, że się modlę dokładnie w tym momencie, bo ja przebywam w Bogu cały czas. Taka jest droga wiary. Moją rzeczą jest to, żeby być w stanie łaski uświęcającej, nie być w stanie grzechu ciężkiego – pilnować tego. Wiem, że jestem osobą słabą, mogę narobić różnych rzeczy, więc oddaję to Jemu, oddaję Mu moje sto procent i przebywam w Nim. Owszem, są momenty, kiedy się bardziej skupiasz, modlisz się brewiarzem, ale generalnie przebywasz z Nim, jesteś w ciągłym dialogu. I Bóg ci odpowiada. Czasem się nad czymś zastanawiasz i nagle ktoś ci coś mówi, ni z gruszki, ni z pietruszki, albo otwierasz jakąś książkę i masz odpowiedź. Idziesz na Eucharystię i słyszysz słowa, które stanowią odpowiedź na twoje pytania. Myślisz sobie: „Co, kurde, podsłuch mają czy co...?”. Bóg odpowiada. Nie chodzi tylko o to, co robił dwa tysiące lat temu, o czym

możemy sobie poczytać, ale o to, że dzisiaj tego doświadczamy. Gdybym ja tego nie doświadczała, toby mnie nie było tu, gdzie jestem. W życiu! Ani bym nie towarzyszyła tym osobom, którym towarzyszę. Byś mnie nie namówiła! Wolałabym sprzedawać gofry. Bo towarzyszenie to jest współcierpienie, współdoświadczenie, to zawsze wpływa na człowieka. Działają różne mechanizmy, wiele razy czujesz się „użyta”. Ale to są Jego dzieci, nie moje; jak się coś dzieje, mówię: „Dbaj o nie! To są Twoje dzieci!”. To nie jest moje dzieło, to nie są moi ludzie, te dziewczyny.

Jak to, przecież to właśnie jest siostry dzieło życia?!

A właśnie, że nie! W tym sęk!

Siostra wierzy, że to jest praca Boga, nie siostry? Przecież to siostra rozmawia, poświęca czas...

Oczywiście, że tak! Ja nie jestem Bogiem. Te granice są bardzo ważne. Trzeba je mieć i umieć jasno powiedzieć: to Jezus Chrystus zbawił świat, ja go nie zbawiam. Pytanie jest takie, ile możesz dać z siebie, żeby się nie zatracić. Ja też to przerabiam, naprawdę. Problemy z odmawianiem ludziom pewnych rzeczy... Ale zawsze przychodzi taki moment, kiedy się trzeba wycofać; jeśli nie, to potem już jest antyewangelizacja.

Wydaje mi się sztuką ogromnej rezygnacji zawierzenie swojego życia Bogu i podporządkowanie się regułom zakonnym. Sporo siostra przez to traci.

Zawsze jak się coś traci, to coś się zyskuje. Ja zyskałam bardzo wiele w sensie zobaczenia innego świata. Marzyłam o tym, żeby być w Stanach Zjednoczonych, co wydawało się nierealne. Ale Bóg to tak poukładał, że

się spełniło. Jedna z sióstr mi powiedziała, że ma znajomego prowadzącego w Stanach firmę budowlaną: „On ci kupi bilet, najwyżej odpracujesz”. No i tak się stało!

Pojechała tam siostra do pracy?

Pojechałam na dwa miesiące, chciałam się nauczyć angielskiego, niestety życie okazało się tam megadrogie i pieniądze, które dostałam od przełożonej, skończyły się w ciągu dwóch tygodni. Musiałam dorobić. Na szczęście ludzie mnie przyjęli. Ten właściciel firmy miał ogromny dom, w którym nie miał kto sprzątać; więc ja sprzątałam dom i okolice i układałam różne rzeczy w magazynie. To było w Chicago. Wiadomo, Chicago jest ogromne. Dzielnica, w której mieszkaliśmy, była taka średnia – ale w każdym razie mogłam wszystko pooglądać, pozwiedzać, mogłam tam pobyć. Ubierałam się po cywilnemu i szłam z innymi na roboty. Czy trzeba było posprzątać, czy ponieść jakieś wiadro z zaprawą, czy przynieść jakiś materiał... To było fajne, bo robotnicy nie wiedzieli, kim jestem, więc gadali sobie przy mnie całkiem na luzie i mogłam zobaczyć, czym żyją.

Jakie wrażenie zrobił na siostrze pobyt w USA?

Byłam zachwycona, że tam ludzie żyją do końca. Rozumiesz? Osiemdziesięciolatki, dziewięćdziesięciolatki – chodzą, żyją, rozmawiają, robią zakupy. Póki sił wystarczy. Pomijam już fakt, że jeden czy drugi przyjechał w furze jak z filmu, czułam się jak na planie filmowym, taką miałam radochę! Banan na dziobie!

Po miesiącu dopiero się kapnęłam, że angielski bywa różny, na przykład że Chińczyk w Stanach też mówi po angielsku... Znajomy mnie zachęca: „Weź, zacznij coś mówić!”. No to zamówiłam w knajpie: „jezioro na

gorąco”... A facet pyta, czy na miejscu, czy zapakować [śmiech]! Zobaczyłam tam również sytuację amerykańskich rodzin. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy z tego, że tam praktycznie każda rodzina ma kogoś, kto zginął na froncie. Amerykanie walczą przecież w różnych częściach świata. To było bardzo cenne doświadczenie.

Czy była siostra za granicą poza Stanami?

Byłam też we Włoszech, oglądałam ośrodki podobne do naszego. Tylko że tam również jest inna rzeczywistość, jest wsparcie państwa. Poznałam parę sióstr, które bardzo podziwiałam – kobiety siedemdziesięcioletnie, prawie osiemdziesięcioletnie, z niesamowitą werwą! Wiadomo, że jak się ma tyle lat, to tu cię coś boli, tam boli, ale u nich w ogóle nie było tego widać! Tak były zaangażowane. Na przykład siostra Eugenia Bonetti³⁴ – po prostu genialna!

Czyli siostra kawał świata zjeździła.

Bo ja wiem, czy kawał... trochę. Pracowałyśmy również na Korsyce we Francji, to była misja polska. Sprzątałyśmy, gotowałyśmy, chciałyśmy po prostu zarobić, zdobyć jakiś grosz na naszą działalność. Z siostrą Basią jeździłyśmy tam chyba przez trzy lata z rzędu w wakacje. W tym czasie cennym doświadczeniem była wspólna modlitwa z Polonią francuską, poznanie jej problemów – takich jak osamotnienie, rozwalanie się małżeństw, to, że ktoś się wtopił w społeczeństwo francuskie, ktoś inny nie potrafił się wtopić, nie nauczył się języka, ktoś doszedł do jakichś pieniędzy, ale potem coś mu się rozbiło... i jeszcze gdzieś w tym wszystkim kwestia wiary – takie słuchanie, bycie z tymi ludźmi. Podobnie zresztą było we Włoszech. W Anglii i na Islandii prowadziłam z kolei rekolekcje dla Polonii.

Siostra musiała mieć pozwolenie na tę pracę i na wyjazdy?

Oczywiście. Pytasz przełożonej, czy możesz jechać. Powiedziała nam: „OK, co zarobicie, to macie”.

Siostra przecież nie ma swoich pieniędzy?

Prywatnych nie mam. To, że my ślubujemy ubóstwo, oznacza, że nie dysponujemy własnymi pieniędzmi. Jeśli coś zarobimy, rozliczamy się ze zgromadzeniem, nasze pensje są na wspólnym koncie. Ale wiesz, wszystko zależy od ludzi. Jest to tak skonstruowane, że jeśli czegoś potrzebujesz, powinnaś to mieć zabezpieczone. Mogłyśmy więc pracować za zgodą przełożonej i korzystać z zarobionych pieniędzy.

Czy często zdarzają się takie sytuacje, że przełożona odmawia wyjazdu?

Wcześniej bywało, że dostawałam jakąś odmowę, owszem. W tej chwili moja sytuacja jest troszeczkę inna niż dawniej. Po tylu latach mam zaufanie przełożonych. Kiedy przed laty chciałam założyć stowarzyszenie, powiedzieli: „Nie teraz” – no to nie. Czyli była ta niezgoda. Zanim jeszcze dostałam propozycję posługiwania i bycia tutaj, chciałam iść na socjoterapię i też usłyszałam: „Nie”. No to nie!

Chciała się siostra rozwijać, studiować i znowu zderzenie ze ścianą...

Kiedyś w ogóle studiowanie, jak się było w zgromadzeniu, to było wielkie wow! Teraz to raczej norma, choćby dlatego, że żadnego dzieła nie poprowadzisz, jeśli nie masz magistra – jest to wymagane przepisami, trzeba mieć wykształcenie i koniec, pozamiatane. No i dobrze! Natomiast wiemy też doskonale, że studia jako takie – obojętne, czy mówimy

o psychologii czy o czymkolwiek innym – nie nauczą cię jeszcze fachu; potrzebna jest wiedza plus doświadczenie. Co do posłuszeństwa: jasne, że nieraz jakaś decyzja mnie zabolęła, bo nie wiedziałam, dlaczego była taka, a nie inna, bo wtedy mi niczego nie tłumaczono – nie, bo nie. Mówię: „No to nie”. To nie znaczy, że wszystko przyjmowałam bez problemów i nie burczałam sobie pod nosem, jak nikogo obok nie było. Co najwyżej sobie poplułam do Szefa: „No, fajnie, dzięki!”. Ale też wszystko jest po coś.

Siostra daje swój czas, wiedzę, uważność, ślubuje posłuszeństwo, ubóstwo, czystość, a co siostra dostaje w zamian?

Jestem ogromnie bogata w spotkania z ludźmi. To jest pewien element samorozwoju. Bo wiesz, ja jestem egoistką. No tak! Rozwijam się i zyskuję dzięki temu, że działam z innymi – to wzajemne obdarowywanie się daje mi poczucie sensu. Poświęcenie dla innych jest kwintesencją życia zakonnego. W dokumentach zakonnych czytamy, że „życie zakonne to jest życie dla...” – podoba mi się to stwierdzenie. Na przykład weźmy sytuację, kiedy pracowałam w szkole jako katecheta. Jako siostry jesteśmy dla uczniów, poświęcamy im więcej czasu niż normalnie nauczyciele: to nie jest tylko godzina i do widzenia. Mamy, taty często się już nie chce słuchać, bo ciągle nadają, ale kiedy my jesteśmy razem z młodymi ludźmi, rozmawiamy, rozważamy słowo Boże, idziemy sobie razem na wycieczkę, uczymy się śpiewać, ja uczę kogoś grać, to jest taki dobry czas na tworzenie więzi. To są wszystko narzędzia, ja to nazywam gadżetami: lubię grać na gitarze, umiem to robić, to przekazuję to dalej – to jest moja pasja. Wymyśliliśmy sobie raz, że idziemy w góry, a tu załamanie pogody; nawet pies nie chciał iść pierwszy, cwaniak uciekał do tyłu. Ale chodziło o bycie razem. To jest doświadczenie Boga w ciele, czyli w relacji: w życzliwości, w uważności, w drugim człowieku. Jest wiele fantastycznych momentów,

które przeżyliśmy, mając zespół, wyjeżdżając na koncerty – i one nas łączą, na tym polega ta relacja. Albo gdy jesteśmy wspólnie w przestrzeni przed Bogiem. Czy śpiewamy, czy jest adoracja, wystawiony Najświętszy Sakrament, to jest ta przestrzeń, a Bóg sobie do każdego serca zagląda i czasami możesz się potem zdziwić...

Moje „kocham” oznacza, że chcę mądrze towarzyszyć. Moja życzliwość, moja uważność – to jest moje *I love you*. To, że pogłębiam swoją wiedzę, że wciąż się chcę nawracać, w takim sensie, żeby moje myśli, intencje były oczyszczone. A jak jest coś nie tak, żeby to ponazywać – bo z tym często jest kłopot. Trudno nazywać problemy po imieniu, raczej się kombinuje, próbuje jakoś „na miękko”. Ja to nazywam „jazdy alpejskie” – takie kombinacje, jak obejść problem. Ale taka już natura ludzka.

Jakie ma siostra jeszcze marzenia?

Jeśli pytasz o życie zakonne, marzy mi się, żeby znalazły się kobiety, które poprowadzą dalej to dzieło. Ale prawda jest taka, że jeśli Bóg tak uzna, to zrobi to, powoła ludzi, a jeśli nie – Jego wola. Nie ma ciśnienia, nie jest to całkiem mój problem, choć byłoby miło zobaczyć jakąś kontynuację. Gdy widzę w innych zgromadzeniach młodych ludzi, jak rozrabiają, myślę sobie: „Jak fajnie! Młodość, energia, życie!”.

Tych młodych wszędzie brakuje, jest kryzys powołań.

Zgadza się. To znaczy: nie jest tak, że Bóg nie powołuje. On zaprasza, ale odpowiedź to co innego. Będąc za granicą, na przykład we Włoszech, widziałam, że jedno dzieło prowadziły, dajmy na to, trzy zgromadzenia, ponieważ łatwiej jest wydelegować jedną siostrę, niż stworzyć całą nową strukturę. Myślę, że my również idziemy w tym kierunku, że trzeba

współpracować między zgromadzeniami. A może też tak być, że pewne pokolenie nas, sióstr, musi umrzeć?

Życie zakonne jest pełne wyrzeczeń. Siostra też pewnie nie na wszystkie była przygotowana, mimo kilkuletniej formacji?

Ty masz męża i dzieci?

Tak, mam.

No i spodziewałaś się, jak to twoje życie będzie wyglądać? Byłaś na wszystko przygotowana?

Raczej nie. Wszystkiego nie da się przewidzieć.

No właśnie. Nie wszystkie moje życiowe kawałki są takie, że mogę się nimi chwalić. Czasem nie jest OK. Wybacz, Jezu, że kiedy ludzie na mnie patrzą, to nie wszystko, co widzą, jest super. Jestem człowiekiem. Ale praca nad sobą, wychodzenie, ciągłe stawanie się – to jest genialna sprawa! To jest mój sens.

²⁶ <https://www.po-moc.pl/pl> (dostęp: 1.01.2023).

²⁷ <https://budujemycosdobrego.pl/> (dostęp: 1.01.2023).

²⁸ Ksiądz Franciszek Blachnicki urodził się na Górnym Śląsku, był twórcą społecznej inicjatywy antyalkoholowej Krucjata Wstrzemięźliwości oraz założycielem Ruchu Światło-Życie – ruchu odnowy Kościoła, zwanego potocznie Oazą.

²⁹ *Przewodnik streetworkera*, oprac. merytoryczne s. Anna Bałchan, Magdalena Lasota, Stowarzyszenie PoMOC dla Kobiet i Dzieci im. Marii Niepokalanej w Katowicach, Katowice – Opole 2010.

30 Alfons, *bodyguard*, manager; dziewczyny mówiły „mój chłopak” – nazwy zmieniały się na przestrzeni lat, jak tłumaczy siostra Anna.

31 Księga Psalmów, Psalm 23, 4.

32 List do Koryntian 12, 9: „lecz [Pan] mi powiedział: «Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali»”.

33 Siostra Barbara Zawila – teolożka, pedagożka resocjalizacji, wiceprezeska Stowarzyszenia PoMOC.

34 Włoska siostra misjonarka, która zajmuje się pomocą kobietom – ofiarom handlu ludźmi, pomaga im w wyjściu z prostytucji. Autorka książek, laureatka wielu nagród.

**JESTEM OSOBA
WOLNA**

**NIKT NIE STAWIA
MI GRANIC**

Lecz jak ten, który was powołał, jest święty, tak i wy bądźcie świętymi we wszelkim waszym postępowaniu; Gdyż jest napisane: Świętymi bądźcie, bo ja jestem święty.

Pierwszy List Świętego Piotra 1, 15–16

Opowiada siostra Irena Karczewska ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Misjonarek Maryi, przewodnicząca Komisji Misyjnej przy Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych. Siostra Irena służyła między innymi we Francji i na Węgrzech. Od ponad dziesięciu lat mieszka we wspólnocie postulatu pod wezwaniem Mater Admirabilis w Lublinie.

*

Nie czuję się godna tej opowieści.

Dlaczego?

Wiadomo, że każde życie ma jakieś swoje „achy” i „ochy”, w każdym powołaniu jest coś unikalnego. Ale tak jak niektórzy budują szkoły, kliniki, różne inne placówki, tak ja po prostu przepracowałam zwyczajnie całe swoje życie. Moje życie było bardzo proste. Wszystko na Bożą chwałę i w służbie drugiemu człowiekowi.

Do zgromadzenia wstąpiłam dość późno, bo kiedy miałam dwadzieścia sześć lat. To były lata osiemdziesiąte. Większość sióstr z mojego roku

wstąpiła do zgromadzenia zaraz po maturze. Czasem ewentualnie znalazł się ktoś, kto kończył jakąś dwuletnią szkołę czy technikum, ale *gros* osób zaczynało, mając dziewiętnaście lat. Czułam się więc wśród nich... może nie stara, niemniej byłam jedną ze starszych postulantek i później nowicjuszek. Ale to mi specjalnie nie przeszkadzało.

Powiedzieć, że miałam już „kandydata na męża”, to może przesada, lecz rzeczywiście miałam bardzo bliskiego człowieka. Wprawdzie nigdy sobie niczego nie obiecywaliśmy, wspólnego życia, małżeństwa, ale podejrzewam, że prędzej czy później któreś z nas odezwałoby się w tej kwestii. Spotykaliśmy się często, wychodziliśmy razem, znaliśmy się długie lata, byliśmy już dobrze znani wzajemnie w swoich rodzinach. Pewnie dużo osób myślało, że skończy się to małżeństwem. Nie wiem, czy on rozmawiał o tym w domu, czy jego mama po prostu mnie tak polubiła – w każdym razie było tak, że jego mama spotkała się z moją ciocią i mówi: „Słuchaj, kiedy te nasze dzieci w końcu wezmą ślub?”. Ciocia mi to opowiedziała, a ja mówię: „Ciociu, czyli to już czas najwyższy na to, żebym stąd wyjechała”. Zażartowałam, ale rzeczywiście czułam coraz mocniej, że małżeństwo to nie jest moje powołanie.

Nie robiłam temu człowiekowi nadziei, że czeka nas wspólna przyszłość, nie rozmawialiśmy nawet o tym, choć dobrze nam było razem. Traktowałam to jednak bardziej w kategoriach przyjaźni. Zresztą do dziś jesteśmy przyjaciółmi, mamy ze sobą kontakt.

Uszanował moją decyzję, choć pewnie nie było mu łatwo. Pamiętam takie przypadki, że niedoszli narzeczeni przyjeżdżali pod klasztor za wybranką. Myślę, że czasem trudno jest zrozumieć, że dla tej drugiej osoby Bóg okazuje się ważniejszy, że kobieta wybiera w życiu inne przeznaczenie.

A ja czułam, że Pan Bóg chce ode mnie czegoś więcej.

Mam w pamięci pewną scenę. Moja ciocia jest siostrą zakonną, elżbietanką. Całe życie pracowała w Norwegii. Kiedy przyjeżdżała do Polski na urlop, przychodziła zawsze do domu mojej babci. Pewnego razu szłam sobie do szkoły, a mieliśmy do niej kawałek do przejścia, i spotkałam właśnie tę ciocię idącą ze swoim ojcem. I tak sobie wtedy pomyślałam: „Jak ja bym chciała być jak ona, tak blisko Pana Boga...”. Może miałam wtedy osiem lat, może trochę więcej, nie pamiętam. Jeszcze chyba nawet nie byłam u Komunii Świętej, tak mi się przynajmniej wydaje, że byłam w takim wieku. Pamiętam tę ciocię zawsze bardzo spokojną, opanowaną, cierpliwą. Duch modlitwy, osobistego spotkania z Bogiem emanował z niej, także na nas. I co mi się zawsze bardzo podobało – promieniował od niej spokój. Nawet jeśli pojawiał się jakiś problem, ona zawsze miała dobre rozwiązanie. Fascynowało mnie to. Lubiłam przy niej być. I dlatego tak sobie kiedyś powiedziałam: chciałabym być jak ciocia. Wtedy nie myślałam jeszcze konkretnie o tym, żeby być w zgromadzeniu zakonnym, ale marzyłam, żeby mieć takie dobre cechy charakteru jak ona. Kiedy byłam w szkole średniej, gdzieś mi to wróciło.

Jednak moje życie potoczyło się tak, że musiałam szybko zająć się domem. Nie miałam jeszcze osiemnastu lat, kiedy zmarła moja mama. Poczułam się wtedy odpowiedzialna za tatę. Przyszło zwykłe życie, codzienność, multum obowiązków. Ukończyłam dwuletnią szkołę nauczania początkowego, studium nauczycielskie, zaczęłam pracę w szkole i tak ten czas mijał.

Jednak Bóg zawsze był gdzieś obok, gdzieś w tle, patrzył na mnie, towarzyszył.

Oczywiście całe życie chodziłam do kościoła, w każdą niedzielę, zdarzało się nawet, że w tygodniu, w październiku chodziłam na różaniec, w maju na majówki – koleżanki też chodziły, była okazja do spotkania.

W międzyczasie spotkałam się z ruchem oazowym. Zostałam zaproszona na spotkanie ruchu i zauważyłam, że rzeczywiście jest to miejsce, w którym czuję się bardzo dobrze, mogę wiele skorzystać, ale też wiele zaoferować, dać z siebie. Bardzo mi ta formacja odpowiadała. Miałam dobrą możliwość osobistego spotkania Jezusa. Zobaczyłam, że to nie jest tylko postać z Pisma Świętego, o której piszą, tylko Ktoś żywy, kto jest obok mnie i chce mojego szczęścia. Zaczęłam poszukiwać.

Byłam bardzo otwarta na misję. Dużo o nich czytałam, interesowałam się, jednak wiedziałam, że na pewno nie ma możliwości, żebym wyjechała jako świecka misjonarka. Rozmawiałam z księdzem, który był odpowiedzialny za naszą oazę, i kiedy rozeznawałam swoje powołanie, pewnego razu on mi powiedział: „Zobacz, czy Pan Bóg nie wzywa cię do czegoś więcej. Czy chodzi tylko o samo życie na misjach, samą tę posługę, czy może Bóg cię zaprasza do czegoś więcej”. Długo nad tym myślałam. „Po co od razu angażować się w jakieś zgromadzenia, jakieś reguły?” – myśli krążyły po głowie, gdy na nasze letnie rekolekcje oazowe, które trwają ponad dwa tygodnie, przyjechały siostry z mojego zgromadzenia, czyli franciszkanki misjonarki Maryi. Tak mi to pasowało! Franciszkanek, misjonarek, i to jeszcze Maryi! Wywodziłam się z oazy franciszkańskiej, więc było to dla mnie coś niesamowicie ważnego, by kontynuować formację w tym duchu. Franciszkański styl życia jest zwyczajny, prosty, przepełniony duchem radości – niezależnie od tego, co robimy. Wszystko przyjmujemy z pokorą. Chcemy służyć drugiemu człowiekowi. No i jeszcze Maryja... Dotarło do mnie, że przecież po śmierci mamy nie mam już ziemskiej mamy, ale Maryja była moją duchową matką.

Pomyślałam wtedy jeszcze: „Ach, żeby te siostry miały adorację, to by już było całkiem fajnie!”. Lubiłam wystawienie Najświętszego Sakramentu, często modliliśmy się tak na oazie. Okazało się, że pierwsza rzecz, którą

siostry robią, gdy zakładają wspólnotę, to w każdym domu – nieważne, jakie są pokoje – od razu jedno pomieszczenie przeznaczają na kaplicę i tam jest wystawienie Najświętszego Sakramentu. „Adorujemy codziennie Pana Jezusa i to jest zapisane w naszych konstytucjach” – powiedziała mi jedna z sióstr. Spojrzałam na nią wielkimi oczyma... zamurowało mnie. Ta siostra pyta: „Stało się coś?”. „Nie, nie, nic się nie stało, po prostu bardzo się ucieszyłam, że macie adorację i że to jest dla was takie ważne!”

To było dla mnie niezwykle odkrycie, że wszystkie elementy istotne dla mnie w życiu są w charyzmacie tych spotkanych sióstr. Wszystko zaczęło mi się układać.

Kiedy podjęłam decyzję o pójściu do zgromadzenia, pierwsze pytanie ze strony mojej rodziny brzmiało: „Czy będziemy mogli cię widywać, odwiedzać?”. Rzeczywiście dawniej, w czasach przedsoborowych, jak już ktoś poszedł do klasztoru, no to nie wracał. Ale to melodia przeszłości. Znaczące ograniczenie spotkań z bliskimi pojawia się już tylko w zakonach kontemplacyjnych. Ja bym się w takim nie odnalazła.

Mój tata nie wierzył w mój wybór drogi zakonnej. Mówił tak: „Dziecko, mogę ci zawieźć tę walizkę do Warszawy, ale jak za tydzień będziesz chciała wrócić, kto ci pomoże?”. „Tato, nie martw się, siostry mnie odwiozą na dworzec – odpowiadałam mu z uśmiechem. – A potem z dworca w Warszawie do ciebie zadzwonię i powiem, żebyś w Gdańsku na mnie czekał”. Tata jednak nie miał racji. Nie wróciłam już od trzydziestu ośmiu lat.

Myślę, że współczesny człowiek, nawet taki, który jest wierzący i chodzi do kościoła, ma trudności w zrozumieniu idei zakonu. Nasze postulanki też to mówią: „Moja mama czy tato całe życie chodzili do kościoła, ale jak powiedziałam, że chcę iść do zakonu, to reakcja była: dziecko, co ty sobie wymyśliłaś! Skąd taki pomysł?”. Nie dziwię się, że

ludzie tak reagują. Mają fałszywy obraz tego, jak wygląda nasze życie. W mediach przedstawiane jest ono w sposób niepełny, nieprawdziwy, a przede wszystkim sensacyjny. „Ileś tam lat byłam w zakonie i teraz się dzielę tym, jak mi tam było źle” – takie świadectwa dają byłe zakonnice. Świetnie, niech mówią, ale chyba nie wszystko, czego doświadczyły w zakonie, było negatywne, prawda? Zdarzają się sytuacje trudne – rozumiem – ale tak jak w małżeństwie czy rodzinie, w każdym innym życiu, wina leży zawsze gdzieś pośrodku. Nie ma tak, że tylko jedna strona jest winna. Jeśli ktoś tylko narzeka, że zakon jest taki czy siaki, to nie mówi całej prawdy. Mnie też nie zawsze przez te trzydzieści osiem lat było kolorowo. Doświadczałam również trudności. Ważne jest, żeby stanąć w szczerości i umieć się przyznać do błędu. Zakonnice nie są ludźmi, którzy nie popełniają błędów – każdy je popełnia. Trzeba się do tego przyznać, dać świadectwo, także przy innych ludziach. I nie mówić: „Coś mi się przydarzyło”, tylko wprost: „Ja to zrobiłam”. Ja, siostra, też mam prawo do błędu. Albo do niewiedzy. Mogę czegoś nie wiedzieć, nie znać się na czymś. To jest ludzkie.

Ważne jest to, że każdego dnia się nawracam. Każdego dnia na nowo staję wobec swoich słabości, swoich grzechów, żeby móc służyć nie tylko Bogu, ale ludziom, bo Pana Boga spotykam w drugim człowieku, do którego jestem posłana. Żeby móc służyć sercem niepodzielnym, przepelnionym wiarą. Żeby być godnym świadkiem Bożej miłości. Żeby ten drugi człowiek, który się ze mną spotyka, widział, że to nie jest tylko coś przeczytanego, jakieś wymyślane historie – ale coś, czym ja żyję na co dzień, co musiałam też zobaczyć, poczuć przez moją relację z Panem Bogiem. Ta relacja na każdym etapie formacji, na każdym etapie życia, w każdej wspólnotce jest inna. Podobnie relacje z siostrami. W każdej wspólnotce są inne siostry. W każdej wspólnotce jest inny człowiek, który

do nas przychodzi i do którego jesteśmy posłane; inni ludzie, którzy są nam powierzeni. I to jest niesamowite.

Pan Bóg dawał mi różne doświadczenia, ale zawsze mogłam liczyć na swoje siostry.

W zgromadzeniu siostry naprawdę dbają o siebie nawzajem. Ta „siostrzaność” jest dla mnie ważna. Zobowiązujemy się do życia we wspólnocie siostrzanej. Nie ma tak, że żyję sobie indywidualnie, na przykład pracuję przy parafii i tam mieszkam. Mieszkam we wspólnocie siostrzanej i ta wspólnota jest dla mnie miejscem podtrzymania, gdzie mogę wypowiedzieć swoje bolączki, trudności, podzielić się radością.

Myślę, że bardzo ważną sprawą jest przebaczenie – tego też na pewno nauczyło mnie życie w zgromadzeniu. Czym jest przebaczenie? Przebaczenie to miłość. Dla danej osoby w pewnych relacjach mogę czasami przekraczać siebie. Nie muszę każdej siostry bardzo lubić, bo każda z nas jest inna, ale w tej różnorodności jest bogactwo. To też jest zapisane w naszych konstytucjach: akceptujemy swoją różnorodność i swoje ograniczenia. Nieraz widzę, jak ktoś się bardzo stara, i myślę sobie: „Kobieto, nie musisz, bo ja ciebie akceptuję taką, jaka jesteś. Pan Bóg cię wyposażył w to, mnie w coś innego – i może coś mojego, jakaś moja cecha, denerwuje akurat ciebie. To nic złego. Uzupełniamy się, akceptujemy swoją odmienność”.

Zgromadzenie zmieniło moje myślenie. Dziś wiem, że nie liczy się tylko to, że ja czegoś chcę, coś muszę zrobić, lecz potrzebny jest szerszy ogląd, spojrzenie na to, czego chcą moje siostry. Każda z nas ma swoje potrzeby i musimy się starać realizować je wspólnie. Wyjść naprzeciw każdej siostrze i pomóc jej, ułatwić realizację siebie. Ważne jest to, co rzeczywiście jest potrzebne wszystkim. Myślę, że w naszych wspólnotach

stwarzamy prawdziwie rodzinny klimat, co też wychodzi z franciszkańskiego ducha prostoty i ubóstwa.

Jesteśmy wspólnotą, która stara się żyć w otwartości i szczerości. Jeśli są sprawy trudne, rozmawiamy o nich. Jeśli jest dużo radości – a jest – to tym się również dzielimy. Wszystko w szczerości. Coś jest dla mnie akurat trudne, ale jestem szczerą, nie mówię: „Słuchajcie, mój dzień był super”, kiedy opieram się nosem o podłogę. Nie, tak nie mogę, zresztą prędzej czy później i tak ktoś z boku zauważy, że ten dzień był dla mnie trudny. A jak powiem to szczerze, od razu zyskuję łatwość w kontakcie, to raz; dwa, czuję ulgę, że się wypowiedziałam, i powietrze zostaje spuszczone. Dzielimy się swoją codziennością. Dzięki temu się lepiej rozumiemy, bardziej poznajemy.

Ważne jest też, jak spędzamy wolny czas. To bardzo istotne w życiu zakonnym, żeby znaleźć równowagę, uczyć się jej od samego początku, od postulatu. Trzeba mieć czas na modlitwę, na działanie, życie pracą apostołską, ale też na relaks, nie można o nim zapominać. Dlatego organizujemy sobie tak zwaną rekreację – spotykamy się wieczorem, gramy w planszówki czy wspólnie oglądamy jakiś film. Czasem mamy fazę na bajki Disneya... Wszystko zależy od tego, jaki miałyśmy dzień. Czasem chce nam się obejrzeć komedię, zwłaszcza gdy mamy trudniejszy czas. Jeśli ktoś ma jakieś hobby, to staramy się, żeby kontynuował je po wstąpieniu do zgromadzenia. To też pomaga nam poznać się nawzajem. Spędzamy wolny czas razem, umiemy się wspólnie cieszyć, wychodzimy też na zewnątrz, jeździmy na spacer, wycieczki – kontakt z przyrodą jest dla nas bardzo ważny. Taki czas wspólnego bycia tylko w swojej grupie dobrze robi. Dużo nam pokazuje, mówi o nas samych. Byle było wtedy to dzielenie się, o którym wspomniałam – byleśmy nie tłamsiły niczego w sobie. Wolę zawsze usłyszeć najgorszą prawdę, niż jeśli ktoś tłamsi w sobie, jak się

czuje. W każdej sytuacji możemy przecież w jakiś sposób zaradzić, coś pomóc.

Bycie w zgromadzeniu dało mi wolność. Wiem, że to może dziwić. Jak to? Zamknięta w klasztorze, posłuszna poleceniom przełożonej – jak może być wolna? A jednak!

Zawsze pamiętam o tym, że ku wolności wyswobodził nas Chrystus.

W dialogu, który mogę prowadzić z siostrami, także z moją przełożoną, czuję się wolna. Nikt nie stawia mi granic; to ja rozeznaję to, co słyszę, i umiem to przyjąć. Przyznać na przykład, że w danej kwestii przełożona ma rację. Ja chyba nigdy tak nie miałam, żeby na przykład przełożeni proponowali mi coś, a ja mówię: „Nie, ja się na to nie zgadzam”. Nie pamiętam takiej sytuacji w swoim życiu. Nawet kiedy nie umiałam czegoś, co było mi powierzone, zawsze starałam się tego nauczyć, dopytać, samej dojść do pewnych rzeczy, bo to mnie też wzbogaca. Wielu rzeczy nie umiem, ale może właśnie dlatego dostałam takie, a nie inne zadania, żeby się nauczyć? Muszę spróbować. Dopóki nie spróbuję, nie będę tego wiedziała. Zakon nie ogranicza mojej wolności, pokazuje, jak rozeznaczyć właściwych wyborów.

Całe życie uczę się słuchania. Nie tylko Boga – tego, co mi ma do powiedzenia na modlitwie – ale drugiego człowieka. Wtedy, kiedy jestem we wspólnocie i kiedy jestem posłana do ludzi.

W mojej służbie ważna jest pokora. Przejście na poziom tych, do których jestem posłana. Jeśli angażuję się w jakąś pracę – a my bardzo mocno angażujemy się w pracę z ubogimi – to nie mogę pokazać osobie, przed którą staję, że ja tu jestem siostrą zakonną, modłę się i czytam Pismo Święte, a ty co? Że niby jesteś niżej ode mnie? Nieprawda! Uczę się więc pokory i przede wszystkim dostrzeżenia człowieka w potrzebie, słuchania go.

Patrząc na siebie, mogę powiedzieć: gdyby nie to, że Pan Bóg mnie powołał, na pewno nie byłoby mnie dziś tutaj, gdzie jestem. Miałam prawie kandydata na męża, miałam swoje plany. Być może byłabym dobrą żoną, dobrą matką, być może nie – tego nie wiem. Ale jeśli taka młoda osoba słyszy wołanie, głos Pana Boga, to naprawdę – można robić tysiące rzeczy, a On i tak się dostanie do serca.

Nie mam poczucia, że coś straciłam, bo nie mam męża czy dzieci. Moja kobiecość w zgromadzeniu zrealizowała się w stu procentach. Może to dzięki mojemu duchowemu macierzyństwu? Pracowałam w szkole, w przedszkolu, dzieci w moim życiu nigdy nie brakowało – gdziekolwiek jestem, zawsze są dzieci, i również po to wybrałam swój zawód i otrzymałam powołanie, żeby być na nie otwartą, umieć im pomagać. Tego zakon na pewno mi nie zabrał, wręcz przeciwnie. Wiele w sobie pod tym względem odkryłam. Pomyślałam nawet, że gdybym na przykład miała tylko rodzinę – to jest wspaniałe, cudowne powołanie, gratuluję każdej mamie i cieszę się nią – nie miałabym możliwości poznania tylu osób, ile spotkałam w swoim życiu. Gdyby nie zgromadzenie, nie miałabym pewnie możliwości przyjęcia pod dach trzydziściora pięciorga Ukraińców na początku wojny – matek z dziećmi, co było też dla nas niesamowitym przeżyciem.

Jestem na sto procent przekonana, że Pan Bóg chce mojego szczęścia. Nie chce, żebym poszła do zakonu i była nieszczęśliwa, bo to Mu też nie jest potrzebne. Natomiast chce, żeby Mu zostawić inicjatywę – jeśli już odpowiem na Jego wołanie, to pozwolić, żeby On się zajął moimi sprawami. Ale do tego potrzebne jest zaufanie. Bóg mi zaufał i mnie wybrał, mając konkretny plan na moje życie. Przecież czterdzieści lat temu nie wiedziałam, że będę w zgromadzeniu, w takim, a nie innym miejscu, że będę robiła to a to, że dziś od dziesięciu lat będę w Lublinie i będę się

realizowała we wspólnocie z postulankami i w pracy na rzecz misji – ale On już to wiedział. On mi zaufał i ja Jemu też ufam. Wierzę, że to, czego On chce dla mnie, rzeczywiście jest najlepsze na dany moment, nawet jeśli tego nie rozumiem.

Nie zawsze muszę rozumieć wszystko, co się zdarza w moim życiu, to, jak Pan Bóg mnie prowadzi. Na pewno się jednak realizuję. Na pewno On chce mojego szczęścia.

I ja jestem szczęśliwa.

Bóg nie mówi: musisz, tylko za każdym razem mówi: jeśli chcesz.

**NIGDY NIE
MIEŚCIŁAM SIĘ
W ŻADNYCH
RAMKACH**

Znajduję ją w internecie. Uśmiechnięta, bardzo żywiołowa, aktywna w mediach społecznościowych. Pracuje z młodzieżą, wygląda na dwadzieścia kilka lat. Ma jednak trochę więcej. Siostra Benedykta Karolina Baumann ze Zgromadzenia Sióstr Świętego Dominika.

Spotykamy się pandemicznie – zdalnie, ale oglądam ją nieraz w porannych programach telewizyjnych. Lubi występować, opowiadać ludziom o Bogu, o zwyczajach życia zakonnego, o swojej drodze. Jest autorką kilku książek, prowadzi bloga *Zakonnica bez przebrania*³⁵, który stał się inspiracją do napisania osobistej książki pod tym samym tytułem. To zbiór felietonów pisanych w różnych momentach życia, w różnych miejscach, w których mieszkała. Absolwentka filologii polskiej i teologii, zakochana bez reszty w teatrze. W I Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Chrobrego w Kłodzku prowadzi grupę teatralną Dzikie Koty. Dużo czyta, dużo mówi, odbiega od stereotypu siostry zakonnej. Można wręcz powiedzieć, że z nim walczy.

Zadziorna, lubi polemizować ze światem i z krytykami Kościoła. W felietonie *Zakonnice, które zostają, nie gryzą* dyskutuje z głośną książką Marty Abramowicz *Zakonnice odchodzą po cichu* – wywiadami z byłymi siostrami zakonnymi:

Siostry zakonne się rozwijają i uczą się nie tylko kochać Boga i ludzi, ale też kochać to, co robią, i robić to, co kochają. Coraz więcej przełożonych im ten rozwój umożliwia. Życie zakonne może być fascynującą przygodą i naprawdę da się na tej drodze spotkać żywego Boga i zarażać Nim innych ludzi. Nie znaczy to, że jest łatwo i bezproblemowo. Nie znaczy to też, że nie zdarzają się bezduszne przełożone, zbyt mocno przywiązane do litery prawa. Ale przecież tak samo zdarzają się bezduszne matki czy żony, nie mówiąc już o bezdusznych urzędniczkach, nauczycielkach w szkole, lekarkach w przychodni czy

dyrektorkach w miejscach pracy. Siostry, z którymi mieszkam, są ludźmi. Każda z nich dźwiga swoją historię, swój życiowy bagaż. Jak w każdej wspólnocie, również w rodzinie³⁶.

Zastanawiam się, jaka jest jej historia i jak to możliwe, że tak pełna energii i pomysłów osoba jest w stanie się dopasować do sztywnych zakonnych ram.

*

Obserwuję siostrę w mediach społecznościowych – fajna, żywiołowa, światła dziewczyna wstępuje do klasztoru, składa śluby wieczyste, zamyka się przed światem. Dlaczego?

Zacznijmy od tego, że ja się w ogóle nie czuję zamknięta. Wręcz przeciwnie, jestem otwarta na ludzi, na świat, na Pana Boga. On mnie prowadzi w takie miejsca, gdzie na pewno bym nie poszła, gdybym nie była siostrą zakonną. I pisze mi takie scenariusze, których sama nigdy bym sobie nie napisała. A dlaczego klasztor? Bo chciałam przeżyć przygodę życia, zafascynowałam się Jezusem, zachwyciłam się Kościołem. Nawróciłam się jako osoba dorosła, mając dwadzieścia dwa lata, a już mając dwadzieścia cztery, zostałam przyjęta do zgromadzenia. Nawróciłam się właściwie dzięki mojej mamie i krakowskim dominikanom. Jakoś tak nas Duch Święty poprowadził.

Czyli poszła siostra do zakonu w nieco późniejszym wieku, niż to przeciętnie bywa, nie od razu po maturze. Dlaczego?

Moja droga do Boga była nieco dłuższa, ponieważ wychowywała mnie babcia, która była świadkiem Jehowy, a to jest jednak specyficzna grupa

wyznaniowa – zamknięta, oparta na bardzo restrykcyjnych zasadach, wymogach. Dość powiedzieć, że kiedy – już jako siostra zakonna – odnalazłam na portalu Nasza Klasa moich dawnych znajomych z tej wspólnoty, nie chcieli mieć już ze mną do czynienia. Blokowali mnie, nie przyjmowali moich zaproszeń. Byłam dla nich obca, zdradziłam ich zasady.

W mojej rodzinie przynależność do Zboru była silna. W czasach dzieciństwa i liceum, kiedy żyła babcia i musiałam chodzić na zebrania świadków Jehowy, trudno mi było zaakceptować takiego Boga, w jakiego oni wierzyli. To był Bóg, który budził we mnie lęk. Bóg, który groził, że wszystkich zgładzi, szczególnie tych, którzy nie są świadkami Jehowy. Nigdy nie byłam w stanie zaakceptować takiego Boga. Przemawiał do mnie cytat z *Wielkiej improwizacji* z trzeciej części *Dziadów* Adama Mickiewicza, w którym Konrad kłóci się z Bogiem i mówi: „Kłamca, kto Ciebie nazywa miłością, Ty jesteś tylko mądrością!”. Taki był dla mnie Bóg świadków Jehowy – nie potrafiłam się z nim zaprzyjaźnić, bałam się go, to mnie odrzucało. Poza tym drażnił mnie infantylizm, z jakim świadkowie podchodzili do przebiegu swoich zebrań. Wygląda to tak, że siedzi się na sali, czyta paragrafy ze „Strażnicy”³⁷, do tego są pytania. I jeden paragraf brzmi na przykład: „Jedyny Bóg ma na imię Jehowa”, a pytanie do tego brzmi: „Jak ma na imię Bóg?”. Strasznie się nudziłam na tych zebraniach. Nie można było dodawać nic od siebie, nie można było mieć wątpliwości, dyskutować, tylko odpowiadać pod klucz i mieścić się w jakichś ramach, a ja się nigdy nie mieściłam. Męczyło mnie to, ale niewiele miałam do powiedzenia jako osoba niepełnoletnia.

Babcia umierała w cierpieniu, chorowała na raka, i współwyznawcy opuścili ją w tym najgorszym momencie, nikt nie zapytał, co słyshać. Dopiero kiedy babcia zmarła, potrafiłam się z tej grupy uwolnić. Stwierdziłam, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Moja mama miała

zresztą podobne przemyślenia. Poszłam na swoje wymarzone studia – na polonistykę, myślałam o tym, żeby zostać na uczelni i robić doktorat.

Ale Bóg nie dawał siostrze spokoju? Wiele zakonnice tak wspomina swoje powołanie.

Przez pierwszy rok na uczelni nie zastanawiałam się nad istnieniem Pana Boga, cieszyłam się, że nic nie muszę, choć z tyłu głowy miałam pewien niepokój: „A co, jeśli Bóg istnieje? A jeśli istnieje, to jaki jest?”. Wiedziałam, że na pewno nie taki, jak Go opisywała „Strażnica”. Wydawało mi się, że świat stoi przede mną otworem, mogę sobie jechać na opinii nauczycieli, bo w liceum tak jechałam. Podczas egzaminów wstępnych na studia zdawałam tylko historię, z języka polskiego byłam zwolniona dzięki olimpiadzie polonistycznej. Aż tu nagle rozbiłam się o beton. Będąc na pierwszym roku, wygrałam konkurs na najlepszą pracę roczną. Sodówa uderzyła mi do głowy. Miesiąc później były egzaminy z literatury staropolskiej i z gramatyki opisowej języka polskiego, no i oba te egzaminy oblałam. Nie powtarzałam roku, zdałam poprawkę. Dobrze pamiętam, co mi wówczas powiedział profesor Andrzej Borowski od literatury staropolskiej: „Proszę pani, trzeba być przede wszystkim człowiekiem”. Zabrzmiało to dla mnie jak proroctwo – profesor nic o mnie nie wiedział, a prawdą było, że trochę sobie olewałam te studia, nie byłam w porządku. Równolegle moja mama – również uwolniona spod dominacji świadków Jehowy – zaczęła interesować się jogą, medytacją. Ponieważ oblane egzaminy na studiach to była moja pierwsza poważna życiowa porażka, świat mi się zawalił, szukałam ukojenia i też zaczęłam praktykować jogę. Zaczęłyśmy nawet chodzić na spotkania pewnej hinduistycznej sekty w Krakowie.

Sekty?!

No, tak to było zorganizowane. Mnie się nawet podobało, bo guru tam była kobieta, a nie facet. Zawsze miałam zapędy feministyczne. Nasze uczestnictwo w tej grupie trwało przez kilka miesięcy. Miałam nawet jechać z nią do Nowego Jorku na rodzaj stypendium. Spotkania odbywały się jednak często w naszym domu. Był ołtarzyk, kadzidelka, zdjęcia, kwiatuszki i ludzie przychodzili medytować. Moja mama w pewnym momencie zaczęła mieć tego dosyć. Jak ci ludzie zaczynali się schodzić o osiemnastej, dziewiętnastej, to wychodziła na spacer. Dusila się w tym układzie, nie mogła go wytrzymać.

Może zorientowała się, że w tej wspólnotcie jest coś niebezpiecznego?

Rzeczywiście zaczynało to wyglądać niepokojąco. Któregoś razu mama, gdy tak wyszła, skręciła do kościoła Dominikanów na Stolarskiej. Akurat nie było mszy, więc przeszła sobie przez ogromny, piękny gotycki kościół i usłyszała jakiś śpiew. Poszła za tym głosem, weszła do kapitułarza, gdzie odbywało się spotkanie wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym. Posłuchała sobie przez chwilę i pomyślała: „Tu jest dopiero energia kosmiczna!”. Została na spotkaniu. Jej nawrócenie było dla mnie katalizatorem zmiany. Rozdawano wtedy jakieś papierowe ulotki. Mama przyszła do domu z ulotką o wyjeździe rekolekcyjnym do Białki Tatrzańkiej. Pomyślałam sobie, że jeśli ona jedzie, to ja też. Choć trąciło to dla mnie egzotyka – nie wiedziałam, jak wygląda msza, nigdy też nie chodziłam na żadną katechezę. Ochrzczona byłam, bo mama się uparła, jednak na tym się skończyło, babcia kategorycznie zabroniła mi prowadzić do Komunii Świętej, choć mama kupiła nawet biały materiał na sukienkę... Z chrztu pamiętam tyle, że ganiałam z moim kolegą wokół kościoła. Moja ciocia,

żarliwa katoliczka, zabrała mnie kiedyś po kryjomu na mszę. Anegdota rodzinna mówi, że kiedy wychodziłam, powiedziałam z zachwytem: „Ciociu, jakie piękne przedstawienie!”. Generalnie kościół był mi obcy.

Trzeba przyznać, że historia siostry wiary jest mocno niestandardowa – zdecydowanie nie każda osoba wychowana w rodzinie świadków Jehowy, uważająca się za niewierzącą, wstępuje w końcu do klasztoru. Skąd taka decyzja?

Pojechałam do Białki, ta moja przygoda zaczęła się spektakularnie, bo drugiego dnia pobytu skręciłam nogę w kostce, przewracając się na prostej drodze. Ludzie, którzy mi towarzyszyli, bardzo mi pomogli, okazali mi dużo życzliwości. Zaraz się ktoś znalazł, kto zawiózł mnie samochodem na izbę przyjęć, i to chyba od razu do Zakopanego, bo tam był dyżur. Facet zaniósł mnie na rękach, bo nie mogłam chodzić. Czułam, że to nie jest taka życzliwość zasadzona na zaciąganiu mnie do kościoła na siłę, straszeniu, że jeśli nie zostanę katoliczką, to pójdę do piekła. Spodobało mi się, że nikt mnie do niczego nie zmuszał, a zarazem że pełno tam było zwykłej ludzkiej troski. W szpitalu zapakowano mi nogę w gips na półtora miesiąca. Świetne zatem miałam „wakacje”! To był rok 1997, kiedy Polskę zalała powódź. Ciekawe... Wtedy nawet nie wiedziałam o istnieniu Kłodzka, a dziś jestem tu już piąty rok...

Cały czas nie rozumiem, dlaczego zakon.

Wróćmy do tej Białki: jesteśmy tam z mamą, leje straszny deszcz, moja mama się nawraca. Po dwudziestu latach idzie do spowiedzi! To było dla mnie wstrząsające. Coś mnie w duchu cały czas męczyło, nie dawało mi spokoju. I pamiętam rozmowę z pewnym ojcem dominikaninem, który tłumaczył mi, że może dobrze by było, żebym oddała swoje życie Jezusowi,

żebym Mu zaufała. Wypaliłam mu ni stąd, ni zowąd, że potrzebuję mistrza duchowego. A on zapytał, czy to nie mógłby być Jezus.

To pytanie we mnie na tyle mocno utkwilo, że wyjechałam z Białki z decyzją, że chcę się przygotowywać do Pierwszej Komunii. Przyjęłam Komunię jako dwudziestodwuletnia osoba w Wielki Czwartek u krakowskich dominikanów. Rok później przyjęłam bierzmowanie i znów zaczęłam się zastanawiać, co dalej zrobić ze swoim życiem. Niby miałam oczywisty plan – chciałam zostać na uczelni, interesowała mnie literatura dziewiętnastego wieku, zwłaszcza romantyzm. Targały mną jednak wątpliwości. Wątpiłam w sens kariery akademickiej. Obawiałam się, że napiszę mądrą książkę naukową z jakimś trudnym słowem w tytule i przeczyta ją raptem trzech profesorów. Jeden się zachwyci, drugi wzruszy ramionami, bo napisał sto pięćdziesiąt podobnych prac, a trzeci skwituje, że beznadziejne. Potem przeczyta ją może kilkunastu studentów, bo będę kosą i będę wymagać tego na egzaminie. I to miałyby być cały sens mojego życia? Poważnie się nad tym zastanawiałam. Docierało do mnie, że wszystkie moje pasje, talenty chciałabym oddać Panu Bogu i ludziom, zwłaszcza tym, którzy nie spotkali Chrystusa. To była moja pierwsza myśl o życiu w zakonie. Pamiętam obronę pracy magisterskiej, podczas której mój profesor zapytał, co będę dalej robić – pewnie spodziewał się, że powiem o doktoracie – a ja mówię, że idę do klasztoru. Trzeba było widzieć jego minę! Był w szoku, wykrztusił tylko: „Pani?! Z pani charakterem i samodzielnością myślenia?”. A ja już dwa lata później byłam w zgromadzeniu.

No właśnie! Zapytam jak ten profesor: z siostry temperamentem?! Są zakonnice, które mówią, że najtrudniejsze jest dla nich utrzymanie ślubów posłuszeństwa. A dla siostry? Czego było warte zrzeczenie się wolności?

Jak to czego było warte? Wyboru. Nikt mnie do klasztoru nie ciągnął na siłę, to byłoby podstawą do stwierdzenia nieważności ślubów. To jest konsekwencja mojego wyboru – sama chciałam. Jako dorosła, myśląca osoba, zdrowa psychicznie. W małżeństwie, jak się ma męża i, dajmy na to, trójkę dzieci, to też nie można sobie ot, tak polecieć na Karaiby, prawda? I tam nikt nie mówi o ślubach posłuszeństwa, przecież jest wolność. Tak samo jest z życiem zakonnym. To też jest pewne zobowiązanie. Poza tym zakon to nie więzienie. Owszem, rano wstajemy o szóstej piętnaście i zaczynamy dzień od modlitwy, ale są też dni, kiedy można sobie dłużej pospać. Ferie, wakacje, święta to również czas większego luzu. Na wakacje jeżdżę co roku. Bez problemu mogę się wybrać z wizytą do rodziny, choć niektórym się wydaje, że to jest w zakonie utrudnione. Nieprawda.

A mama siostry ucieszyła się z tej decyzji?

Powiedziała bardzo mądrze, że najważniejsze, że bym była szczęśliwa. Większość moich sióstr z zakonu miała ostre przejścia z rodzinami, kiedy powiedziały im, że odkryły w sobie powołanie. Mnie to na szczęście ominęło. Po dwóch latach mojego pobytu w klasztorze mama miała jednak duży kryzys, nie mogła zrozumieć, dlaczego wybrałam taką drogę. To było dla nas obu bardzo trudne doświadczenie, ale wyszła z tego, Pan Bóg ją z tego wyciągnął. Potem przyszło drugie nawrócenie, dużo głębsze i trwalsze.

Wysła siostra w świat taki przekaz, że realizuje swoje pasje, rozmawia z ludźmi, jest na nich otwarta, że siostra czerpie z życia, rozwija się. A zakon raczej nie kojarzy się z miejscem, w którym można się rozwijać.

Moim zdaniem można się rozwijać nawet w zakonie zamkniętym, a przecież ludziom wydaje się, że taki zakon to kompletne odcięcie od świata. Przykładem niesamowicie otwartej i silnej kobiety jest dla mnie benedyktynka siostra Małgorzata Borkowska. Spotkałam ją jakiś czas temu, kiedy miałam przyjemność prowadzić w Częstochowie warsztaty teatralne dla sióstr katechetek. Siostra Małgorzata miała tam wtedy wykład o Chrystusie. Zafascynowała mnie jej charyzma – mówiła z pasją, z humorem, sprzedawała też swoje książki. Spotkanie z nią było dla mnie bezcennym doświadczeniem. Cięty dowcip, a równocześnie pokój serca – widać, że to ktoś, kto przeżył już wiele i wie, co jest w życiu najważniejsze. Ja wciąż jeszcze tego szukam i jestem daleko w tyle za siostrą. Mimo że jest mniszką, to w życiu nie zajmuje się tylko kopaniem ogródka i rozmyślaniami. Została pisarką, choć oczywiście nie od razu.

To też dla mnie ważna lekcja, bo sama piszę i kiedy trafiłam do zakonu, chciałam być „hop do przodu” – robić doktorat, pisać, wydawać. Miałam ambicje, niesamowite wyobrażenia o swojej przyszłej pracy. Ale pierwsze lata formacji to było wiadro, szmata, woda – bardzo przyziemne zadania. Pan Bóg nauczył mnie pokory. Jestem wdzięczna za tę lekcję, była mi potrzebna. Gdybym zaczęła od razu pisać książki i działać na wielką skalę, tak jak dziś, ale z taką niewielką świadomością życia, jaką wówczas miałam, to naprawdę byłaby porażka.

Ma siostra naprawdę anielski stosunek do tego, co nazwała siostra „wiadro, szmata, woda”. Przecież to jest opowieść o ciężkiej fizycznej pracy, którą muszą wykonywać zakonnice i wcale nie jest im z tym różowo. Miała siostra aspiracje intelektualne, nie chciała siostra zrezygnować, gdy została obsadzona w roli sprzątaczk?

Nigdy nie mówiłam, że chcę się wycofać. Miałam głębokie przeświadczenie, że dokądś mnie to wszystko doprowadzi. Nawet ta szmata i wiadro. Z perspektywy czasu widzę, że na tamten moment to właśnie było dla mnie rozwojowe. Gdybym wtedy, wstępując do klasztoru, miała takie poczucie, że super ze mnie babka, niczego mi już nie brakuje, nic tylko robić karierę, to naprawdę niczego bym nie osiągnęła. Pan Bóg każdego inaczej prowadzi. Mówi o tym historia Izraelitów, którzy wychodzą z Egiptu i idą do Ziemi Obiecanej. Ten odcinek można było pokonać w kilka miesięcy, a oni szli czterdzieści lat, to o czymś świadczy. To nie była złośliwość, tylko Boże wychowanie. Oni potrzebowali takiej drogi, żeby zmienić swoje serce. Pytała pani o nawrócenie. Nawrócenie to zmiana myślenia. I nie chodzi o to, że ktoś ma mi wyprać mózg. Ja mam zmienić swoje serce, zacząć patrzeć na ludzi, na siebie przez pryzmat Ewangelii. Żeby tak było, potrzeba czasem wędrówki przez pustynię.

Mówi siostra o sobie „zakonnica bez przebrania”. Habit to nie przebranie, to integralna część codzienności. Czym byłoby życie siostry bez habitu?

Habit jest dla mnie konkretnym znakiem przynależności do Chrystusa. Śluby sprawiają, że do Niego należę. Na pewno nie jest to łatwa relacja, bo ciągle muszę o Niego walczyć, ciągle muszę Go na nowo wybierać. W świeckiej sukience byłabym jedną z wielu pisarek, reżyserek, nauczycielek. A ja jednak chciałabym to robić w towarzystwie Jezusa. On czyni mnie wyjątkową. Chciałabym tym ludziom, do których idę z moimi talentami – bo mogę je oddać w służbie innym – dać Chrystusa. To się pięknie nazywa w naszych konstytucjach: „głoszenie Ewangelii najbardziej potrzebującym”. Taki jest charyzmat naszego zgromadzenia. Mamy kilka gałęzi działań: ewangelizacja, katechizacja, podnoszenie poziomu oświaty.

Ostatnio co wieczór mam jakiś wywiad dla mediów. I świetnie. To moja misja. Wczoraj miałam przemiłą rozmowę z dziennikarką *Dzień dobry TVN*. Zaprosiła mnie, żebym opowiedziała kilka słów o przygotowaniach do świąt Wielkiejnocy. Miesiąc temu też miałam zaproszenie do tego programu, ale wtedy matka przełożona nie wyraziła zgody.

To chyba trochę dziwne?

Nie, ja ją rozumiem. To się działo tuż po wybuchu wojny w Ukrainie. Program miał dotyczyć promocji mojej nowej książki. Byłoby niezręcznie w takim momencie o niej mówić. Zresztą i ja byłam wtedy potrzebna gdzie indziej. Finał był zresztą niezwykły, bo następnym razem, kiedy już dostałam zgodę przełożonej na występ w mediach, rozmawiała ze mną pewna młoda dziennikarka. Okazało się, że bardzo się stresowała rozmową ze mną. Poszła więc z koleżanką na rekolekcje wielkopostne, żeby lepiej przygotować się duchowo na nasze spotkanie. I na tych rekolekcjach usłyszała coś, co pomogło jej podjąć ważną życiową decyzję. Bardzo mi za to dziękowała, choć ja przecież nic nie zrobiłam. To był boski zbieg okoliczności. Uwielbiam takie historie i mam ich mnóstwo. Zawsze się na przykład cieszę, kiedy robimy szkolne rekolekcje i mój uczeń, który na katechezie się zarzekał, że stracił wiarę, zapisuje się na nie i nawet idzie do Komunii! To są dla mnie małe zwycięstwa. W mojej grupie teatralnej też jest różnie. Są tam różne dzieci z różnych domów, jest nawet jeden młody apostata.

Jest siostra w stanie z nim współpracować?

Takie rzeczy mnie boją, a z drugiej strony – co mogę zrobić? Do wiary go nie zmuszę. Mogę mu towarzyszyć, słuchać, być z nim. Akceptuję i modłę się za takich ludzi.

Myszę, że nie tylko nastolatkomie wątpią w Kościół. W ostatnich latach zaufanie do osób duchownych spadło. Jak sobie siostra z tym radzi jako aktywna ewangelizatorka?

Też widzę, że zaufanie do osób duchownych spadło. Pisali do mnie znajomi rozgoryczeni słowami papieża Franciszka na temat wojny w Ukrainie, nie zgadzali się z jego „wszyscy jesteście winni”. Nie czuję się kompetentna, żeby to oceniać, ale ufam Kościołowi mimo wszystko, choć widzę, ile jest w nim zła. Gdy dowiaduję się o jakimś kolejnym księdzu czy zakonniku, który okazał się pedofilem lub molestował studentki, co działo się również w moim zakonie³⁸, to jest dla mnie bardzo bolesne doświadczenie. Pamiętam w modlitwie o takich ludziach i o ich ofiarach. Ale ufam Kościołowi nie dlatego, że wierzę jakiemuś księdzu czy ojcu dominikaninowi, tylko dlatego, że wierzę Chrystusowi. Pamiętam, kto ten Kościół założył. Nie mam wpływu na to, co powie papież czy inny ksiądz. Mam wpływ na swoje życie i zawsze zaczynam od siebie. Zadaję sobie często pytanie: „Czy ja jestem świadkiem wiary dla kogoś?”, i z odpowiedzią niestety bywa różnie. Chrystus powiedział do świętego Piotra: „Ty jesteś skałą i na tej skale zbuduję mój Kościół”. A przecież Piotr też nie był ideałem – był tchórzem, był narwany, nie ogarniał, o co Jezusowi chodzi. Chrystus człowiekowi powierza siebie pod postacią chleba i wina. To niewyobrażalne zaufanie Boga. To jest dla mnie najpiękniejsze w tajemnicy Kościoła, dlatego w nim jestem. Kościół to jest wspólnota wierzących w Jezusa. Kościołem jestem ja, jest nim pani, jeśli jest pani ochrzczona.

Ma siostra poczucie, że takie kobiety jak siostra mogą zmienić Kościół?

Pewnych rzeczy nie zmienimy, bo nie możemy być kapłanami – nie ma teologicznych podstaw do tego – ale możemy z pasją wykonywać swoją pracę. Dla mnie to jest teatr, szkoła, pisanie, a dla kogoś to może być katecheza czy praca w przedszkolu, opieka nad osobami niepełnosprawnymi. To jest dla mnie oddolne zmienianie Kościoła, pokazywanie, że on może być cudowny. Cieszę się, że mamy teraz więcej możliwości niż jeszcze kilkanaście lat temu: wypowiedania się publicznie, występowania w mediach, pisanie. Dzięki temu docieramy do większej liczby ludzi, niekoniecznie tylko wierzących. Gdyby nie ta grupa teatralna, nigdy bym do tych wspaniałych młodych ludzi nie dotarła. Mogę być z ludźmi, którzy oficjalnie deklarują, że nie mają nic wspólnego z Kościołem, być dla nich w pewnym stopniu towarzyszką.

Jednak wiele sióstr nie korzysta z mediów społecznościowych, z szerszych kontaktów z ludźmi. Niektóre mówią nawet: „To, co robię, robię dla Jezusa, nie dla poklasku”.

Trudno mi się wypowiadać za wszystkie siostry, w moim zgromadzeniu nie ma obecnie problemu z tym, żeby założyć sobie profil w mediach społecznościowych. Część sióstr ma do tego przekonanie, część nie czuje potrzeby. My jesteśmy dosyć otwartym zgromadzeniem, postępowym. Kiedyś to wyglądało inaczej, ale się zmieniło. Nie ma jednak obowiązku korzystania z tych dobrodziejstw. Każda siostra dokonuje wyboru we własnym sumieniu.

Siostra dzięki swojej otwartości na nowe technologie trafia do młodych ludzi?

Tak mi się wydaje. Ten apostata, o którym wspominałam, to jest student, który wrócił po trzech latach przerwy do naszej grupy teatralnej. Dwa lata

temu był świeżo po maturze, odwiedził mnie pod koniec sierpnia – już wtedy deklarował się jako niewierzący, choć w podstawówce i gimnazjum był ministrantem! Kiedy tak siedzieliśmy u mnie, piliśmy herbatę i rozmawialiśmy, zapytał, czy może wejść do naszej kaplicy. Wchodzi, ogląda wszystko i mówi do mnie: „Siostra kiedyś powiedziała, że życie w zakonie jest jak przygoda. I co w tej przygodzie jest najpiękniejszego?”. To były moje najkrótsze rekolekcje.

To co jest najpiękniejsze w tej przygodzie?

To, od czego zaczęłyśmy: że Jezus mnie prowadzi w rejony, w które sama bym nie weszła. Nie sądziłam, że mogę być reżyserem teatralnym, nie sądziłam, że będę pisać książki, że będę pracować z osobami z niepełnosprawnością intelektualną – one mnie wiele nauczyły, tak samo jak dzieci z podstawówki. Tak wielu nowych ludzi poznałam, tylu nowych rzeczy doświadczyłam! To również ciągła lekcja zaufania i odkrywanie, że kiedy w życiu zakonnym było mi bardzo ciężko, to właśnie w tych momentach Jezus był najbliżej. Bóg jest blisko, nawet jeśli Go nie widzę i o Nim zapominam. Nigdy nie wiem, jaki scenariusz czeka mnie za kolejnym zakrętem.

³⁵ <https://zakonnica bez przebrania.blogspot.com/> (dostęp: 10.01. 2023).

³⁶ S. Benedykta Karolina Baumann OP, *Zakonnica bez przebrania*, Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2022.

³⁷ Pismo religijne świadków Jehowy.

³⁸ Siostra wspomina sprawę dominikanina Pawła M., który dopuszczał się przemocy fizycznej, psychicznej i seksualnej wobec siostr zakonnych i studentek. Więcej o tej

sprawie w rozdziale *Chciałabym, żeby zakony znowu były życiodajne.*

**MATKA
PRZEŁOŻONA
POWINNA
TRAKTOWAĆ
SIOSTRĘ JAK
SWOJĄ CÓRKĘ**

Księżda Stanisława poznaję przy zbieraniu materiałów do książki. Już jako dziecko w każde wakacje odwiedzał jeden z klasztorów. Jego rodzice przyjaźnili się z siostrami. O tej najbliższej mówi z sentymentem „Babcia”. Kiedy jako dorosły człowiek z konkretną edukacją i doświadczeniem zawodowym poczuł potrzebę wstąpienia do stanu duchownego, zastanawiał się nad tym właśnie w zakonnym domu dla gości.

– Decyzję o wyborze klasztoru lub seminarium podjąłem w wieku dwudziestu siedmiu lat. Plusy i minusy notowałem na kartce i omawiałem z Babcią. Wyszło seminarium – opowiada ksiądz Stanisław. – I choć pierwotnie nie chciałem tam iść, to chyba wyszło na dobre. W klasztorze byłbym zamknięty, ograniczony, a miałem poczucie, że chcę być dla ludzi. Jeśli jest potrzeba, to w każdej chwili mogę dokądś pójść, pojechać. Siostra w klasztorze klauzurowym, żeby wyjść do gości, musi mieć zgodę. To jest element klauzury mniszej, posłuszeństwa i życia zamkniętego. W każdym zakonie jest klauzura, aczkolwiek różnie są rozumiane kwestie wyjścia – w niektórych zakonach siostry w czasie wolnym mogą wyjść, ale w większości muszą mieć na to zgodę przełożonej. Podobnie jest w zakonach męskich o ścisłej regule – wychodzi się, kiedy jest potrzeba. Gdy jako ksiądz mam czas wolny, sam decyduję, czy jadę do Warszawy czy do Krakowa. W klasztorze musiałbym mieć na wszystko zgodę.

Ksiądz Stanisław jest dla mnie ciekawym bohaterem – człowiekiem z zewnątrz zakonu, ale jednak ze środka społeczności osób duchownych. Jego wiedza na temat funkcjonowania zakonów żeńskich, połączona z dużą empatią wobec sióstr, może zaskakiwać.

– Myślę, że jako księża często sióstr nie doceniamy. Może kiedyś było tak, że siostry były niewykształcone, a księża przeciwnie, lecz teraz takie myślenie już nie ma racji bytu. Siostry mogą dać księżom bardzo dużo

intelektualnie. Mogą nam też bardzo pomóc w rozeznaniu duchowym, w modlitwie. Starsze siostry, wśród których się wychowałem, to są osoby, które po latach modlitwy i refleksji nie powiedzą głupiego tekstu. Taka siostra powie jedno zdanie, ale to będzie perełka.

Spotykamy się w warszawskiej kawiarni. Ksiądz Stanisław przychodzi „po cywilnemu”. Sportowa bluza, w dłoni torba na siłownię.

– Mam wolny dzień, wpadłem załatwić kilka spraw – tłumaczy. – A dlaczego po cywilnemu? No przecież gdybym tu siedział w sutannie, to połowa kawiarni gapiłaby się na nas z zaciekawieniem, a chciałem spokojnie porozmawiać.

*

Przyznał ksiądz, że klasztor ogranicza bardziej niż sutanna. Jaki jest sens posłuszeństwa i konieczności pytania o wszystko przełożonych?

Posłuszeństwo trzyma nas w pewnym porządku. To trudne, dlatego nie wejdzie się w posłuszeństwo bez miłości do ślubów i do Pana Boga. W kapłaństwie też je mamy. Jako ksiądz ślubuję cześć i posłuszeństwo swojemu biskupowi i jego następcom. Różnica polega jednak na tym, że ja idę na parafię, na którą jestem wysłany, wykonuję pracę, którą biskup mi nakazuje, ale nie muszę go pytać o wszystko, na przykład czy mogę sobie kupić buty. U sióstr jest to kwestia połączenia posłuszeństwa z ubóstwem. Te dwa śluby idą w parze. Siostra, zgadzając się na ubóstwo, przyjmuje, że będzie pytała o to, czy może dostać notes, korzystać z telefonu, kupić mydło. Przy tym w zakonie wszystko powinno być siostrom zapewnione. To nienormalne, jeśli siostry nie mają zaspokojonych podstawowych potrzeb, a takie sytuacje niestety się zdarzają. Zdarza się też, że przełożona wykorzystuje posłuszeństwo w niewłaściwy sposób. Pod posłuszeństwem

można od sióstr pewnych rzeczy oczekiwać, ale nie można nimi manipulować.

Czyli prawidłowe funkcjonowanie wspólnoty zakonnej zależy przede wszystkim od dobrze zarządzającej nią przełożonej?

Owszem. Żeby zakon dobrze działał, potrzebna jest normalna przełożona.

Normalna, czyli jaka?

Taka, która zna potrzeby sióstr, umie rozpoznać, co dla której będzie w danej chwili dobre. Jeśli siostra ma problem ze zdrowiem, to może trzeba byłoby ją zwolnić z którejś modlitwy, a nerwowej siostry nie posyłać do pracy z dziećmi. U dobrej przełożonej najważniejsze wydaje mi się to, że nie kieruje się miłością własną, tylko miłością do wspólnoty. Znam historie wybitnych zakonnicy, które były sekowane przez swoje przełożone – ograniczane, przenoszone do innych domów zakonnych. Bo „gwiazda była tylko jedna” – przełożona. To już nie jest miłość do wspólnoty, tylko ambicje własne. Taka droga prowadzi do zguby. Dla mnie to oczywiste: matka przełożona powinna traktować siostrę jak swoją córkę. We wspomnieniach pewnej zakonnicy przeczytałem, że przełożona w ich zakonie potrafiła przejść się wieczorami po celach i sprawdzić, czy siostry mają ciepło, czy są przykryte. To jest najpiękniejsze pokazanie tej miłości. Dlatego przełożona nazywana jest matką. Ma się troszczyć jak matka, sprawdzić, czy siostronom czegoś nie brakuje, czy ta nie jest głodna, a tamta, która o nic nie prosi, nie potrzebuje przypadkiem nowych butów. Dobra przełożona zauważa potrzeby sióstr.

Bycie normalną, czyli – jak rozumiem – rozsądną i odpowiedzialną przełożoną to duże wyzwanie.

Na pewno ta rola może im ciążyć. Mają pod sobą ileś sióstr w różnym wieku, o różnej kondycji psychicznej, z różnymi obowiązkami, problemami, chorobami.

Przełożone powinny cały czas dbać o swoją duchowość. Zresztą to się dzieje. Salwatorianie w Krakowie prowadzą Centrum Formacji Duchowej³⁹. Parę razy w roku odbywają się tam cykle warsztatów i rekolekcji, na których osoby konsekrowane, nie tylko przełożone zakonów, uczą się rozumieć innych i siebie. Są zajęcia z psychologii, z komunikacji. Znam siostry, które na takie szkolenia i rekolekcje jeździły.

Jak ksiądz rozumie posłuszeństwo zakonne?

Myślę, że to nastawienie serca. Można się do tego przyzwyczaić. To nie tylko poświęcenie, bo przecież posłuszeństwo jest też – mówiąc wprost – bardzo wygodne: to nie ja decyduję. Ale trzeba uważać, bo jeśli zapędzimy się w takim myśleniu, posłuszeństwo przestaje być cnotą, a zaczyna się robić wygodnictwem. Myślę, że niezwykle istotna jest formacja zakonna. W obecnych czasach to trudny temat, bo siostry formatorki są dużo starsze, często w wieku rodziców albo dziadków kandydatki. Kiedy taka zakonnica ma szkolić trzydziestolatkę, mamy do czynienia nie tylko z różnicą, ale wręcz z przepaścią pokoleń. Starsza siostra przekazuje podopiecznej to, co sama otrzymała wiele lat wcześniej, i nie rozumie, że do młodszej osoby to nie trafia. Proszę sobie wyobrazić, że kiedyś jakakolwiek dyskusja w zakonie była nie do pomyślenia. Dziś są inne czasy.

Siostry często to powtarzają: inne czasy, dziś mamy posłuszeństwo dialogowane.

Owszem, jest większa otwartość, daje się przestrzeń na lepsze rozumienie posłuszeństwa. Jeśli siostra o coś prosi i dostaje odpowiedź odmowną, ma

prawo poznać jej powody. Przełożone też coraz lepiej rozumieją, że nie mogą narzucać swoich rozwiązań. Jeśli dana siostra ma dobrze wykonywać swoje obowiązki, to musi być po prostu na swoim miejscu – z fizyka nie zrobimy pisarza. Istotą zadania przełożonych jest odkryć, kto ma jakie talenty, i te talenty dobrze wykorzystać.

Wróćmy jeszcze na chwilę do istotnej roli, jaką odgrywa formacja.

Sprawa jest prosta: formacja jest to po to, żeby wychowywać do myślenia.

Nie wiedziałam, że jest ksiądz takim idealistą.

W pewnym klasztorze widziałem taką sytuację: siostra podlewała ogródek. Padał deszcz, więc stała w płaszczu przeciwdeszczowym. Dostała polecenie, że ma podlać kwiatki, więc je wykonała. Absurd! Osoba myśląca poszłaby do przełożonej i powiedziała, że podlewanie w tych okolicznościach nie ma sensu.

Przecież siostra ma być posłuszna.

Pytanie komu. W posłuszeństwie istotne jest to, że z miłości do Boga rezygnuję z siebie. Podkreślam – z miłości do Boga! To znaczy, że poświęcam się dla wyższych celów, nie dla czyjegoś widzimisię. To jest sedno. W jednym z dobrze znanych mi klasztorów wprowadzono kiedyś wielkie oszczędzanie, moim zdaniem przesadne. Ukruszone spodeczki, wszystko wielorazowego użytku – nie rozumiałem w imię czego. Siostry się na to godziły. Pytanie, gdzie jest granica. Mogę się spiąć, żyć w gorszych warunkach, jeśli jest taka potrzeba. Tylko warto chyba zapytać, gdzie jest granica gorszych warunków. Ile mogę znieść i przede wszystkim po co? Zapytałem kiedyś jedną ze znajomych zakonnicek, czy głos

przełożonych to głos Ducha Świętego. W odpowiedzi usłyszałem: „Z reguły tak, ale nie zawsze”.

Czyli zakonnica może odmówić wykonania polecenia?

W swoim sumieniu może odmówić, tylko zawsze warto zadać pytanie, dlaczego odmawia. Znam siostry, które studiowały pedagogikę i od początku mówiły, że się do tego nie nadają, że nie chcą uczyć. „Z posłuszeństwa ma siostra skończyć te studia” – mówiła przełożona, więc siostra szła na studia, później pracowała w szkole, do czego się nie nadawała, w końcu dostawała inną pracę. Kiedyś uważano, że posłuszeństwo to bezkrytyczne przyjmowanie wszystkiego, jednak to nieprawda.

Ten motyw też często pojawia się w rozmowach z zakonnkami – to było kiedyś, dziś jest inaczej. „Kiedyś nie można było studiować, teraz siostry muszą to robić”. Zgadza się ksiądz z tym?

Lata temu siostry w ogóle nie studiowały, teraz są na studia wysyłane. Czasy się zmieniają i mądra przełożona rozezna, czy trzeba siostry wysyłać na dodatkową formację, czyli szkolenia, chociażby z duchowości. Siostry muszą się rozwijać. Jest wielka różnica w tym, co było przed soborem⁴⁰, a co jest po nim. Przed soborem panowała ogólna zasada, że siostra nie wychodzi z klasztoru, jeśli nie musi.

To brzmi raczej przerażająco.

Uściślając – siostry z zakonów czynnych szły do pracy, ale rzadko się zdarzało, żeby któraś pojechała z wizytą do swojej rodziny. Na pewno o wiele rzadziej, niż dzieje się to teraz. A jeśli mowa o zakonach

klauzurowych, to tam dopiero były ograniczenia! Na przykład pod habitem siostra nie mogła mieć świeckich ubrań. Dziś siostry noszą świeckie ubrania, bo nikt nie będzie szył koszuli specjalnie pod habit. Kiedyś pod habit można było włożyć jedynie specjalne długie koszule, teraz Babcia ma pod habitem zwykły sweter. Względy praktyczne. Dawniej nie do pomyslenia było też, żeby świeckie okrycie nałożyć na habit, stąd różne chusty czy peleryny. Dziś całkiem popularne są wspólnoty konsekrowane bezhabitowe, jak też tradycyjne zgromadzenia ukryte powstałe w dziewiętnastym wieku. Jak się do nich wchodzi, to w ogóle nie widać, że to zakonnice – wszystkie w garsonkach, atrakcyjne dziewczyny, może w nieco staromodnych ciuchach, ale jednak bez tradycyjnego habitu. Mimo wszystko bliższe są mi zakony habitowe, bo habit to dla mnie bardzo istotny element. Mam dystans wobec procesów wchodzenia mody do klasztoru.

Dlaczego?

Bo w zakonie nie chodzi o strojenie się, tylko właśnie o pokazanie, że można żyć dla innych wartości, że nieważne są moje buty czy to, jak jestem umalowana. Jestem też sceptyczny wobec makijażu u zakonnice. Siostra ma całą sobą dawać świadectwo innych wartości, więc co to za różnica, czy ma habit, jeśli ma też pełen makijaż i jest tak wyperfumowana, że czuć jej zapach dwie godziny po tym, jak wyszła z pokoju? Kobieta zakonna to kobieta skromna, która nie chce zwracać na siebie uwagi. Bądź czysta, zadbana, może delikatnie wyperfumowana – dlaczego nie? – ale bez przesady. Widziałem siostrę z mocno pomalowanymi oczami – mnie to nie pasuje do habitu. Choć też nie chodzi o to, żeby siostry paradowały w worach pokutnych. Czasy się też zmieniły. Myślę, że ważne jest, aby

siostra zakonna czuła się nadal kobietą i umiała być kobietą jako osoba poślubiona Bogu.

Jak tak księdza słucham, to odnoszę wrażenie, że w zakonach panuje dziś prawdziwa sielanka – nowoczesność i liberalizacja skostniałych zasad.

Nie przesadzajmy! Nadal jest sporo do zrobienia. Nowoczesność – mądrze wprowadzana i wykorzystywana – jest potrzebna.

Gdyby było tak kolorowo, nie byłoby kryzysu powołań.

Jedną z przyczyn tego kryzysu jest nadal średniowieczna mentalność niektórych przełożonych. Jeśli siostra ma problem z dostępem do podstawowych środków do życia, dostaje pięćdziesiąt złotych kieszonkowego, z którego ma kupić kosmetyki i opłacić telefon, to taki zakon będzie źle działał i nie będzie przyciągał nikogo. Niestety zdarza się niekiedy, że „wygrywa” tylko siostra, która ma bogatą, wspierającą rodzinę. Ale jest też inny problem: dziewczyny, które przychodzą do klasztorów, nie potrafią się odciąć od świata.

A muszą się odcinać? Przecież ma być bardziej nowocześnie.

W jakimś sensie muszą. Nie jest normalne, że zakonnica wychodzi wieczorem w świeckim stroju do znajomych. A znam takie historie. Siostry siedzą teraz po nocach na Facebooku albo ucinają sobie ploty przez telefon do późna. Potem nie są w stanie się dobudzić na poranne nabożeństwo. Dla mnie to nie jest zdrowa nowoczesność, tylko przegięcie w drugą stronę. Skoro tak, to po co w ogóle być zakonnica? Chciałbym kiedyś wygłosić konferencję o szkodliwości telefonów komórkowych w klasztorach.

W domu zakonnym kiedyś był jeden telefon, dzwoniło się, prosiło siostrę, z którą chciało się porozmawiać. Każdy sensownie, konkretnie opowiadał, z czym dzwoni, załatwiał sprawę, nie było czczego gadania. Teraz, jak siostry mają komórki, każdy może zadzwonić w każdej chwili i gadać dwie godziny. Siostry z reguły dostają bez problemu pozwolenie na posiadanie swojego smartfona. Często kupuje go rodzina, zdarza się, że bliscy opłacają rachunki. Tylko może by tak się na spokojnie zastanowić, czy to jest korzystne. Ile czasu siostry spędzają w internecie? Co oglądają? Czy im to służy? Siedzą do pierwszej w nocy przed ekranem, potem śpią na mszy, chodzą wkurzone, bo niewyspane.

Rozumiem, że zdaniem księdza to uderza w istotę życia zakonnego?

Dokładnie! Wejście w świat internetu, smartfonów zabiera nam tę istotę. Siostry dzwonią, piszą po nocach, wysyłają durne filmiki. Znam takie siostry, do których wiem, że dzwoni się po dwudziestej trzeciej, bo wtedy mają czas pogadać.

To chyba dobrze, że siostra ma kontakt ze światem?

A czy dostęp do technologii tak bardzo pomaga w rozwoju życia duchowego? Otóż nie! W klasztorach klauzurowych jeszcze nie ma tego problemu, bo tam jednak cały czas w centrum jest modlitwa. Gorzej robi się w zakonach czynnych.

Przecież dzięki technologiom siostry mogą opowiadać światu o prowadzonych przez siebie dziełach. Wrzucają różne materiały do sieci, zakładają profile w mediach społecznościowych i w ten sposób zbierają fundusze na pomoc chorym dzieciom lub innym potrzebującym.

To prawda, ale nie zawsze promocja zakonnic w internecie służy ich dziełom, nierzadko promują po prostu same siebie. Sporą popularność w sieci zdobyła swego czasu siostra Janina...

... i została wyrzucona ze swojego zgromadzenia za „katolickie” *Despacito* i śpiewanie o Bogu⁴¹.

Z tego, co wiem, siostra Janina odeszła sama. Podpisała umowę na wydanie płyty, przełożona się na to nie zgodziła. Sytuacja była trudna. Ta sprawa wcale nie jest czarno-biała. Można na nią spojrzeć z różnych perspektyw. Ktoś powie: fajna, młoda dziewczyna, pięknie śpiewała, sławiła Boga, więc dlaczego ktoś jej to ograniczył? Z drugiej strony rodzi się pytanie: może gdyby siostra Janina w ogóle nie „bawiła” się w media, nie zaczęła rozmów o nagraniu płyty ze świeckimi, to nadal byłaby zakonnicą? Mam wrażenie, że muzyka i media trochę jednak zabrały jej duchowość i istotę życia zakonnego. Poszła w karierę.

Co w tym złego, że zakonnica „idzie w karierę”?

A czy to jest jej zadanie? Czy kariera powinna być celem zakonnicy albo księdza? Mogę się odnieść do swojego podwórka – uważam, że ksiądz też nie powinien robić kariery. To nie jest istota naszego powołania.

A co jest tą istotą?

Być blisko Boga. Liczy się tylko moja relacja z Bogiem i dawanie Go innym. Świetnym przykładem jest benedyktynka siostra Małgorzata Borkowska. Można powiedzieć, że w środowisku zrobiła karierę – sporą, jak na mniszkę z klasztoru zamkniętego. Pisze książki, jeździ na rekolekcje dla księży, daje wykłady. Przy tym jednak cały czas jest siostrą, zakonnicą.

Nie promuje siebie. Mówi o istocie życia zakonnego. To ją promują, to ona jest zapraszana – ze względu na jej mądrość i przemyślenia. To jest różnica. A taka na przykład siostra Cristina Scuccia z Włoch? Wygrała *The Voice of Italy* i... zrzuciła habit⁴². Wybrała wygodniejsze życie. I oczywiście to jest jej sprawa, nie oceniam, ale trudno nie zauważyć, że jak się wychodzi do „wielkiego świata”, łatwo jest zapomnieć o prostocie, skromności i głębi zakonnej filozofii życia.

Czyli nie jest ksiądz fanem takich działań jak te, które w mediach społecznościowych podejmują popularne siostry „pingwiny”, czyli dominikanki z Domu Chłopaków w Broniszewicach?

Mogę nie być fanem filmików, ale uważam, że siostry wykonują bardzo dobrą robotę, wykorzystując media społecznościowe. To jest ten inny przypadek – one nie promują siebie, promują swoje dzieło i dzięki temu mogą je kontynuować. Podobnie jak streetworkerka siostra Anna Bałchan, która pokazuje w internecie swoje działania. Tylko znów – działania! To ważne. Dla tych sióstr pokazywanie swojego wizerunku jest narzędziem do osiągnięcia celu związanego z ich charyzmatem, a nie celem samym w sobie. Pokazują siebie po to, żeby pomagać innym. To szczytne działanie, a nie robienie kariery.

Porozmawiajmy o tym, jak księża traktują zakonnice. Przyznał ksiądz: „jako księża często sióstr nie doceniamy”. Podobnie wygląda społeczny odbiór. Spotkałam się z opiniami, że księża wysługują się siostrami, nie szanują ich. Często powtarza się zdanie: księża to krezusi, a zakonnice są biedne.

To akurat nie do końca jest prawda. Pensja księdza na parafii w Warszawie nie dochodzi często do średniej krajowej.

A zakonnica wcale nie ma pensji.

Ona się na to zgadza, to jest jeden z wymiarów posłuszeństwa, o którym rozmawialiśmy wcześniej. Zakonnica zgadza się na to, że pracuje i nie widzi zarobionych pieniędzy, wszystko przekazuje przełożonej. Jednocześnie klasztor wszystko jej zapewnia.

Całkiem niedawno bardzo popularna była „zakonnica na TikToku”⁴³.

Siostra Paula?

Tak. Trochę się wygłupiała, ale generalnie opowiadała ciekawe rzeczy, również o finansach. Swoją drogą, chyba zniknęła ostatnio.

Może przełożona zabroniła jej występować?

Może. Nie wiem. W każdym razie siostra Paula mówiła wprost, że nie ma problemu z tym, że w zakonie pieniądze są wspólne. Podkreślała, że gdyby miała się sama utrzymać, wynajmując mieszkanie, to niewiele by jej zostawało w portfelu. O tym może mało się mówi, ale przecież w zakonie nie martwisz się o zakupy, o rachunki, o opiekę medyczną. To wszystko koordynuje przełożona. Siostry korzystają z NFZ, opłacają składki emerytalne. Czasami w samym zgromadzeniu zdarzy się siostra lekarka. Wówczas podstawowa pomoc medyczna jest na miejscu. To zresztą kwintesencja działania wspólnoty zakonnej – siostry mają różne dary, różne umiejętności, uzupełniają się, tworząc dobry zespół. Pod warunkiem, oczywiście, że przełożona dobrze dopasuje siostry do różnych zadań.

Swego czasu głośna w sieci była sprawa listu sióstr elżbietanek z Poznania do ówczesnego rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. „Nie jesteśmy ani służącymi podstawiającymi jedzenie pod

nos, ani praczkami, ani posłańcami na pocztę” – pisały siostry w odpowiedzi na publikację „Gazety Wyborczej”, w której porównano ich pracę do służących⁴⁴. Księża wysługują się zakonnkami?

Temat wykorzystywania sióstr przez księży powraca w mediach, ale to nie jest jakiś ogólny trend, tylko problem poszczególnych osób. Widziałem na plebaniach traktowanie w stylu: przynieś, podaj, pozamiataj, jednak nie zgodzę się z tym, że siostry się generalnie wykorzystuje. Zdarzają się księża, którym brakuje kultury. Nie zapominajmy, że siostra jest kobietą. W moim odczuciu już z tego tytułu należy jej się szacunek. Mówimy „siostrę”, bo to ma być ktoś, kto nam pomaga, ktoś, kto jest dla nas, kocha nas. Jeśli traktuję siostrę jak siostrę w znaczeniu rodzinnym, to nie traktuję jej jak służącej. Oczywiście, że jest podział obowiązków: ja odprawiam mszę, a siostra przygotowuje obrus czy bieliznę kielichową. Ale dla mnie to oczywiste, że wchodząc do pomieszczenia, witam się z siostrą, a jeśli widzę, że dźwiga ciężki karton, pomagam. Księża nieraz zapominają, ile dobra mogą dostać od sióstr. Na przykład bardzo potrzebny „pierwiastek kobiecości”. Mam zaprzyjaźnioną siostrę nazaretankę. Kiedy przeżywam jakieś problemy z ludźmi, złe emocje, nie rozumiem, o co komuś chodzi, dzwonię do niej z prośbą, żeby spojrzała na sprawę kobiecym okiem. Mówię jej, że ktoś się w określony sposób zachował, a ona mi od razu tłumaczy: zrobił tak, bo to, bo tamto. To takie uzupełnianie się. A te wszystkie dekoracje, kwiaty, które siostry układają w kościołach – przecież to jest piękne! Kobieta częściej ma do tego zmysł. To skarb, jeśli w parafii są siostry, które podpowiedzą, żeby nie kupować czegoś, bo nie będzie pasowało kolorystycznie albo jest zwyczajnie brzydkie. Czasami nie myślimy o tym uzupełnianiu się. A szkoda.

Czasem Kościół sobie o tym przypomina. W lutym 2022 roku papież Franciszek w swoich comiesięcznych intencjach modlitewnych umieścił modlitwę za siostry zakonne.

Tak, bo drugiego lutego obchodzony jest Światowy Dzień Życia Konsekrowanego. To ważny gest papieża. Modlimy się często o powołania, ale rzadko za już powołane siostry, o ich wytrwałość i siłę. Świeccy zapominają, że ksiądz i siostra też potrzebują wsparcia i modlitwy.

Zapominamy również o ogromnym znaczeniu modlitwy sióstr w różnych intencjach. Zawsze kiedy miałem trudniejsze chwile i prosiłem jakąś siostrę o modlitwę, wiedziałem, że mam to zapewnione. W niektórych zakonach siostry przy wejściu do kaplicy mają umieszczoną tabliczkę z karteczkami, które przynoszą wierni. Są na nich zapisane prośby o modlitwy. Siostry modlą się w tych intencjach. To ich niezwykła rola. Pamiętam, że po prymicjach⁴⁵ odwiedziliśmy z kolegami z seminarium warszawskie klasztory klauzurowe – wizytki, karmelitanki, sakramentki – żeby podziękować za ich modlitwę. One się modlą o powołania, za kapłanów. Nie wiedzą, za kogo się modlą. Pojechaliśmy odprawić mszę, dać obrazki, żeby siostry zobaczyły, za kogo konkretnie się modliły, i dalej prosić o modlitwę. To miłe, jak któraś siostra mówi, że ma twój obrazek i się za ciebie modli. Szokiem było dla mnie, kiedy wspomniana zaprzyjaźniona siostra pojechała na rekolekcje do Kalisza, do jezuitów. Dostałem od niej SMS: „Dziwna sprawa, wchodzę do pokoju, otwieram szufladę w biurku, a tam Twój obrazek prymicyjny⁴⁶!”. Jakaś siostra modliła się za mnie w czasie swoich rekolekcji.

Wspierała księdza taka modlitwa?

Bardzo! Dlatego wzruszającym momentem było dla mnie, kiedy mogłem po raz pierwszy sprawować Eucharystię w kaplicy zaprzyjaźnionych sióstr. To był jeden z przełomowych momentów mojego życia kapłańskiego.

Obawiam się, że niewielu księży podchodzi do zakonnicy z taką estymą. Słyszcy się o trudnych relacjach między księżmi a zakonnicami służącymi na plebanii.

Myślę, że dobór charakterologiczny jest bardzo ważny. Trudnemu księdzu trzeba „dobrać” taką siostrę, która będzie umiała z nim pracować. Są też księża, którzy nie szanują sióstr, pomiatają nimi. Z takiej plebanii trzeba siostrę zabrać. Dobra przełożona tak postąpi, choćby kosztem finansów. W końcu znajdzie się inna parafia, jestem o tym przekonany.

Czy zakonnica często sama przeciwstawia się złemu traktowaniu?

To bywa trudniejsze. Pokutuje często przeświadczenie: siostry na danej parafii były od czterdziestu lat, to muszą trwać. Choćby za cenę własnego spokoju czy dobrostanu. Jako ksiądz mogę niekiedy odmówić pewnych obowiązków i zadań, a siostra nie może. Hipotetycznie mogę iść do biskupa, powiedzieć, że z kimś się nie dogaduję czy nie radzę sobie z pewnymi zadaniami, i prędzej czy później nastąpi przeniesienie.

Zakonnica pewnie usłyszy w analogicznej sytuacji, że dla dobra wspólnoty musi zostać, bo tej placówki nie można zamknąć, a jej nie można przenieść. To jest właśnie źle rozumiane posłuszeństwo: kiedy władze zakonne nie liczą się z tym, że siostra jest pomiataana przez nieobliczalnego księdza, i każą jej trwać. Siostra przez to jest sfrustrowana i też nie można się z nią dogadać. Znałem kiedyś taką zakrystiankę. Wcześniej pracowała jako katechetka i bardzo jej to odpowiadało. Służba w zakrystii była dla niej degradacją, a dodatkowo pracowała z księdzem,

który traktował ją oschle. On nie miał kultury, ona była „źle obsadzona” – trudna siostra, trudny ksiądz... Tarcia były nieuniknione.

Może to jest bardziej uniwersalna opowieść o relacjach zakonnice i księży. Trudno się tym dwóm grupom dogadać?

Ja się z zakonnice zawsze dogadywałem świetnie. Moje doświadczenia są takie, że do kleryków i księży siostry podchodzą z wielką, matczyną miłością. Dla mnie i dla moich kolegów w seminarium spotkane siostry były bardzo życzliwe, pomagały nam. A potem okazywało się, że ta, która najbardziej pomagała, najmocniej dostawała za to po uszach. Współsiostry potrafiły być zazdrosne, kiedy przyjeżdżaliśmy na kawę podziękować. Przełożona też była zazdrosna, że dana siostra potrafiła nam pomóc, miała do nas więcej serca. Nie wiem, może to zwykła ludzka zazdrość, a może kobiece niechęci? Mężczyźni chyba nie przejmowaliby się tak bardzo akurat tym zagadnieniem.

Skoro ma ksiądz bliskie relacje z siostrami zakonnice, to proszę opowiedzieć, jak wygląda kwestia dostępności terapii psychologicznej w klasztorach.

Terapia jest coraz powszechniejsza, siostry coraz częściej z niej korzystają. I dobrze. Słyszałem nawet o zgromadzeniach, w których siostry obowiązkowo przechodzą podstawową terapię. Tutaj wracamy do ogromnej roli formacji. Już na jej etapie należałoby sprawdzić, czy dziewczyna nie potrzebowałaby psychologicznego wsparcia. Jeżeli pochodzi z rodziny, w której był alkohol, przemoc – powinna przejść terapię.

To osobista opinia księdza?

Tak, ale ona wynika z doświadczenia moich spotkań z siostrami. Niezałatwione sprawy sprzed lat odbiją się później na kobiecie, która wybierze zakon jako swoją drogę życiową. Mądry spowiednik powinien umieć zaproponować przyszłej zakonnicy terapię, żeby pomóc jej uniknąć dramatów. Później może dojść do tarć między siostrami, do chorych wybuchów emocji, wynikających z problemów indywidualnych, które nie zostały rozeznane na początku formacji.

Wyobraźmy sobie, że przychodzi do księdza parafianka – dwudziestopięcioletka, po studiach – i mówi, że rozważa zakon. Co ksiądz na to?

Zadaję pierwsze pytanie, które brzmi: „Czy wiesz, co to jest zakon?”. I dalej: „Czy byłaś kiedyś w jakimś klasztorze? Obejrzałaś film i ci się podobało? Poczekajmy. A może jeździłaś na rekolekcje do sióstr?”. Tak? No to idziemy dalej, teraz modlitwa i kwestie „techniczne”: jaki zakon, jakie zgromadzenie wybrać? To jest pytanie o to, czy ta młoda kobieta wie, co chce w życiu robić. Pamiętam dziewczynę, która mnie raz spytała, jaki zakon powinna wybrać. Poradziłem, żeby to pytanie zadała nie mnie, tylko Panu Bogu. Wybór zgromadzenia jest bardzo istotny. Kiedyś byłem na mszy z siostrami habitowymi, a obok mnie stała jedna bezhabitowa. Patrzy na te siostry i mówi do mnie: „Wiesz, nie mogłabym czegoś takiego całe życie na głowie nosić”. To *à propos* zakonnego welonu. Jak ktoś nie cierpi koloru niebieskiego, to nie powinien wybierać zakonu, w którym są błękitne habitury. Można się śmiać, ale to wcale nie jest głupie. Potem pojawiają się kolejne oznaki: chęć pracy z dziećmi, potrzeba wyjazdu na misję, wybór życia zamkniętego. Trzeba ustalić, w jakiej duchowości kto się odnajduje – franciszkańska to ubóstwo, benedyktyńska – modlitwa i praca. No i w końcu pytanie o konkretny charyzmat zgromadzenia. Tutaj

trzeba poszukać, pojeździć na jedne, drugie, trzecie rekolekcje i posłuchać, w którą stronę prowadzi słowo Boże. Bywa też tak, że ktoś od razu wie, czuje, jakie zgromadzenie ma wybrać, i jest tego pewien. Powołanie to piękna i wielka tajemnica.

Po co iść do zakonu?

Mam dwie odpowiedzi: dla wygody i z biedy oraz z miłości do Chrystusa i z powołania.

Dla wygody?!

Przecież to może być całkiem wygodne życie. Jeżeli nie mamy wygórowanych oczekiwań i potrafimy się skupić na modlitwie, zakonne życie można przeżyć bardzo spokojnie. Wiele świętych kobiet przed wojną szło też do klasztoru z biedy. W klasztorze było się najedzonym i nie było zimno. Oczywiście delikatnie upraszczam, choć to bez wątplenia ważne aspekty. Jasne jest, że powodem pójścia do zakonu powinna być miłość Boga.

To piękne słowa, tylko co ksiądz powie na zarzuty byłych sióstr zakonnych – rozmawiałam z takimi – które nierzadko mówią, że zakon jest jak więzienie?

Trochę mnie drażnią takie wypowiedzi. To jak to? Siostra była tyle lat w formacji i się uwięziona nie czuła, a po latach jednak zmienia zdanie? A może przestało jej coś pasować, więc od razu atak: „Życie jak w więzieniu”? To tak jak kobieta, która rozstaje się z mężczyzną: „Bo mąż mnie nigdy nie kochał”. Serio nigdy? W dniu ślubu też nie? Przez dwadzieścia lat związku mąż źle cię traktował? To po co brałaś ślub?

Podobny schemat. Przecież z zakonu zawsze można odejść, można zrezygnować jeszcze przed ślubami! Po to jest kilkuletnia formacja, aspirat⁴⁷, postulat, nowicjat, śluby czasowe. Jest kilka lat, aby dobrze wybrać i rozeznąć.

Chyba zdaje sobie ksiądz sprawę, że to nie jest takie proste. Siostry bywają ofiarami przemocy psychicznej i fizycznej. Boją się.

Owszem, często słyszałem: „To jest jej krzyż”. To było złe pojmowanie przyjmowania cierpienia, zranienia, bólu. To prawda, że mamy swoje krzyże – relacje rodzinne, zakonne mogą nimi być – i trzeba ten krzyż kochać, przyjmować, nieść. Ale są granice. Poniżanie, manipulacja nie mogą mieć miejsca. To już nie jest krzyż, ja się nie mogę zgodzić na coś takiego, również z miłości do siebie, bo przecież we mnie też jest Duch Święty. Z miłości do drugiej osoby też powinienem jej zwrócić uwagę. Wspólnoty się tego boją. Nie widzimy, że siostra jest „bita”.

Dlaczego się boją?

Boją się postawić. Nie moja sprawa – to wygodne. Brakuje odwagi. Jednak to nie jest problem samych zakonów, tylko całego społeczeństwa. Schematy oparte na lęku, nieumiejętności postawienia się, braku reakcji na niesprawiedliwość są zakorzenione we wszystkich ludziach, nie tylko w zakonnicach. Jeśli coś nie działa w zakonie, to nigdy nie dzieje się tak ze względu na Chrystusa, to jest zawsze czynnik ludzki, który zawodzi – czyjeś chore ambicje albo oczekiwania. A zakonnice są nam w dzisiejszych czasach bardzo potrzebne. Bo – jak mówi Ewangelia o osobach duchownych – musimy być w świecie, ale nie być ze świata. Siostry są znakiem.

Znakiem czego?

Bożej obecności. Poprzez śluby, poświęcenie, modlitwę, wyrzeczenie się wielu atrybutów życia doczesnego, przez odmienny sposób zachowania i ubierania się pokazują, że można żyć inaczej, że najważniejsza nie jest pozycja, kariera, pieniądze, moda. Najważniejszy jest Bóg.

³⁹ Centrum Formacji Duchowej Salwatorianie Kraków w programie ma między innymi Szkołę Kierownictwa Duchowego czy Formację Duchownych i Konsekwowanych, więcej: <https://cfd.sds.pl/> (dostęp: 26.01.2023).

⁴⁰ Mowa o wspomnianym wcześniej Soborze Watykańskim II, który wprowadził zmiany w życiu zakonów poprzez dekret o odnowie życia zakonnego *Perfectae caritatis*. Więcej: <https://www.zyciezakonne.pl/opinie/sobor-watykanski-ii-a-zycie-zakonne-44107/> (dostęp: 26.01.2023).

⁴¹ Siostra Janina Kaczmarzyk ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej, znana między innymi z pielgrzymkowej przeróbki przeboju *Despacito*, poinformowała na swoim Facebooku i Instagramie, że kończy swój projekt muzyczny oraz że przechodzi ze stanu zakonnego w świecki, <https://stacja7.pl/z-kraju/siostra-janina-odeszla-ze-zgromadzenia-zakonnego/> (dostęp: 26.01.2023).

⁴² Więcej: <https://plejada.pl/newsy/cristina-scuccia-nie-jest-juz-zakonnica-zwycieczyni-the-voice-of-italy-wyglada/rl0hgn2> (dostęp: 26.01.2023).

⁴³ „Zakonnica, która na TikToku ukrywa się pod nickiem s.paula.csc, to siostra Paula, która od trzydziestu lat należy do zakonu Zgromadzenia Sióstr św. Katarzyny Dziewicy i Męczennicy, prowadzącego działalność apostolską i charytatywną. (...) Na nagraniach tańczy, śpiewa, reaguje na popularne telewizyjne programy czy też po prostu żartuje. Stara się także odpowiadać na nurtujące fanów pytania”, <https://rozrywka.radiozet.pl/plotki/Siostra-Paula-podbija-TikToka-polska-zakonnica-gwiazda-internetu> (dostęp: 26.01.2023).

44 Więcej: <https://misyjne.pl/rzecznik-praw-obywatelskich-odpowiada-na-list-siostr-elzbietanek/> (dostęp: 26.01.2023).

45 Prymicja to pierwsza msza sprawowana przez nowo wyświęconego kapłana.

46 Obrazek prymicyjny to pamiątkowy obrazek z religijnym nadrukiem i okolicznościowym cytatem, rozdawany podczas uroczystości prymicyjnych.

47 Okres kandydatury do zakonu, jeszcze przed postulatem.

**CHCIAŁABYM,
ŻEBY ZAKONY
ZNOWU BYŁY
ŻYCIODAJNE**

Przypominaj im, że powinni podporządkować się zwierzchnim władzom, słuchać ich i okazywać gotowość do wszelkiego dobrego czynu.

List do Tytusa 3, 1

Kiedyś siostra Nazaria, dziś Izabela Mościcka. Była zakonnica, która po osiemnastu latach odeszła ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu w Warszawie, popularnie zwanych nazaretankami.

Spotykamy się w gorący letni dzień w mieszkaniu, które wynajmuje ze znajomymi w Krakowie.

– Moim zdaniem powiedzenie, że siostry nie dogadują się w zakonach, bo dużo kobiet mieszka w jednym miejscu, jest stereotypem. Powtarzanym zresztą przez same siostry – tłumaczy Iza. – My teraz mieszkamy co prawda we trzy, ale są przecież takie wspólnoty, że siostry też mieszkają we trzy. Asia, z którą mieszkam, ma też doświadczenie mieszkania w różnych miejscach z większą liczbą kobiet. I co? I da się żyć. To, co siostry nazywają „problemami relacyjnymi” i co podają jako częstą przyczynę odejścia z zakonu, to tak naprawdę kwestie strukturalne, takie, które tkwią dużo głębiej, w systemie. System na ten moment działa tak, że odbiera ci życie. W zakonie nie możesz być jednostką. Jesteś masą. Mam na myśli to, że w zakonie twoje indywidualne potrzeby musisz podporządkować pod „dobro wspólne”. I ja to rozumiem, jeśli wypracowujemy jakieś kompromisy, ale nie, jeśli unieważniamy potrzeby, talenty i pragnienia konkretnej osoby.

By pomagać jednostkom – siostron, które stały się ofiarami przemocy, nie odnalazły się w klasztornej strukturze, zdecydowały się na odejście, ale nie potrafiły same zbudować nowego życia poza murami zgromadzenia – założyła Centrum Pomocy Siostron Zakonnym⁴⁸.

– Teraz pomagam w procesie wyjścia ze zgromadzenia dwunastu siostron. Zawsze kiedy ukazuje się ze mną jakiś wywiad, zgłaszają się kolejne – mówi Iza.

Jest bardzo aktywna w internecie. Udziela się w mediach społecznościowych, pisze artykuły, pracuje nad książką. W jednym z odcinków swojego autorskiego podcastu *Niezgodna* opowiada o eksklustracji, czyli czasowym zawieszeniu życia we wspólnocie zakonnej⁴⁹. Sama zdecydowała się na to rozwiązanie, zanim definitywnie opuściła zgromadzenie nazaretanek.

– Kiedy zaczęłam mówić w zgromadzeniu, że zastanawiam się nad takim rozwiązaniem, jedna siostra powiedziała: „Wiesz, eksklustracja to jest taki pierwszy krok do wyjścia”. „Ale dlaczego tak mówisz?” – zapytałam zdziwiona. „No bo siostry idą i nie wracają”. Teraz już to rozumiem – to oczywiste, że gdy siostry zobaczą, jak może wyglądać normalne życie, nie wracają do klasztoru. Z dwóch ostatnich nazaretanek, które miały ze mną kontakt – obie są teraz na eksklustracji – jedna dzwoni do mnie niedawno i mówi: „Wiesz, dopiero zaczynam rozumieć, co mówiłaś, mając na myśli wolność”. Tak to działa. Jesteś „w środku” i na sugestie, że zakon cię ogranicza, odpowiadasz: „No coś ty! Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz. Przecież jestem wolnym człowiekiem!”. Dopiero kiedy wychodzisz, dostrzegasz, w jakim ograniczeniu żyłaś.

Zastanawia się:

– Kiedy ja sama zrozumiałam, że tkwiłam w układzie przemocowym? Gdy trafiłam na spotkanie do Centrum Praw Kobiet. Współpracowałam

z nim trochę. Chodziłam na spotkania z dziewczynami, które wyszły z przemocowych związków. Słuchałam ich z ogromnym zaciekawieniem. Podczas jednego ze spotkań dotarło do mnie, jak wiele jest analogii między związkiem kobiety i mężczyzny, w którym jest przemoc, a życiem w zakonie i sytuacjami, z którymi ja się zetknęłam. Jeszcze w zakonie spotykały mnie różne nieprzyjemności, ale wtedy uważałam, że tak po prostu powinno być, że zakon zawsze tak wygląda. Dopiero będąc na zewnątrz, zrozumiałam, że mam dość, że doświadczam przemocy. Pamiętam jeden dzień, zwykły majowy dzień, kiedy byłam już poza zakonem. Wracałam sobie z pracy, poszłam na zakupy, kupiłam chleb, szłam ulicą, ptaszki śpiewały, słońce, piękna pogoda, aż tu dzwoni do mnie znajoma siostra z jakąś sprawą. I nadaje mi przez ten telefon oburzona na jakąś sytuację, która ją spotkała. Przerwałam jej i mówię: „Słuchaj, kiedy ostatnio byłaś szczęśliwa?”. „Nie pamiętam” – odpowiedziała zmieszana. „A sfrustrowana?” „Przed chwilą...” No właśnie... Kiedy się rozłączyła, pomyślałam sobie, że mam zupełnie na odwrót – dziś jestem szczęśliwa, a sfrustrowana byłam ostatni raz w zakonie.

Każda z byłych zakonnicek, z którymi się spotkałam, opowiadała mi o wydarzeniach z zakonnego życia przez kilka godzin. Za każdym razem pojawiała się we mnie myśl: „Trzeba zacząć mówić o tym głośno”. Może wtedy problem zacznie być zauważany w polskim Kościele⁵⁰

– napisała w jednym ze swoich artykułów. Pisze ich sporo, mówi głośno o nadużyciach, zbiera historie sióstr. Mnie przez kilka godzin opowiadała o swoich doświadczeniach.

*

Zastanawiam się, czy wiele sióstr korzysta z możliwości eksklustracji, jednak później decyduje się na pozostanie w zakonie.

U nazaretanek prowincji warszawskiej – bo o nich mam najbardziej rzetelną wiedzę – z eksklustracji wróciły dwie siostry. Jedna parę lat temu, a teraz niedawno druga. W ciągu ostatnich dziesięciu lat na eksklustrację szło średnio pięć sióstr na rok. Liczymy nawet cztery, niech będzie w sumie czterdzieści – no, to z tych czterdziestu wróciły dwie. Niewiele... Mam wrażenie, że nawet siostry, które porzucają zakon, nie potrafią stanąć w prawdzie i powiedzieć jasno, czego doświadczyły, tak jakby nadal próbowały coś obronić. Ja po trzech latach eksklustracji byłam już w pełni przekonana, że nie chcę dalej iść tą drogą.

Od jak dawna jesteś poza zakonem?

Od pięciu lat.

Wróciłabyś?

O nie! Decyzję o odejściu podjęłam bardzo świadomie. Idąc na eksklustrację, wychodziłam rozeznawać. W tym, żeby odejść, utwierdziłam się, kiedy pewnego razu szłam przez przejście dla pieszych i nagle doszło do mnie, że jeśli wrócę do klasztoru, to umrę.

Mocne słowa.

Naprawdę tak czułam. Jestem osobą wierzącą, więc powiedziałam sobie w duchu: „Boże, jeżeli mi powiesz, że moim powołaniem życiowym jest umrzeć – spoko. Ale nic mi takiego nie mówisz, wręcz zachęcasz w drugą stronę: że mam żyć!”. A tam wróciłabym tylko umierać.

Jak to rozumieć? Co zakon odbiera z życia?

Siłę. Pamiętam pewne rekolekcje, miałam tam przydzieloną osobę towarzyszącą, z którą każdego dnia prowadziło się rozmowy. Coś takiego jest dosyć powszechne podczas rozmaitych rekolekcji. I ta kobieta zasugerowała mi, że mam symptomy depresji. Przejęłam się tym i po jakimś czasie trafiłam do psychiatry, który powiedział mi, że nie, spokojnie, nie mam depresji. Po tym wszystkim rozmawiałam ze znajomym księdzem, który znał mnie jeszcze przed klasztorem, jest też psychologiem i dobrym obserwatorem, i mówi mi: „Jest różnica między depresją a frustracją. Przy depresji nie masz siły żyć, a przy frustracji masz siłę, tylko nie masz możliwości. I ciebie spotyka to drugie”. Masz pomysł, żeby na przykład zorganizować rekolekcje dla młodzieży. Ile pozwoleń musisz zdobyć! To nie jest tak, że masz jakiś plan, bierzesz i to robisz. Jak teraz mam potrzebę spotkać się z wolontariuszami naszego centrum, to siadam i organizuję spotkanie. Wymyślam miejsce, ustaliam czas. Nie muszę zdobywać stu pozwoleń, przekonywać, że nie chcę zrobić nic złego, wysłuchiwać po drodze uwag typu: „Ale ty przecież pracujesz w przedszkolu, a nie z młodzieżą, to po co chcesz to robić?”.

Jak twoim zdaniem wytrzymują inne siostry? Rozmawiałam z kilkoma – dzielnie kontynuują swoje dzieło. Siostra Anna Bałchan, dominikanki z Domu Chłopaków z Broniszewic mają swoje zdanie, robią swoje, jednak nie zrzucają habitu...

Często zastanawiam się, jak one do tego momentu doszły. I jak się tam utrzymują – co się za tym kryje? Mam szczerą nadzieję, że trafiają na dobrą przełożoną, która myśli sobie: „OK, dam im pole do działania, bo to kobiety, które mają konkretne talenty”. Ale też jestem w stanie sobie

wyobrazić, że to są akurat te siostry, które potrafiły się jakoś odnaleźć, pasowały do wspólnoty, dały się polubić. Mnie zakon ściągał w dół.

Zresztą robiłam wszystko, co tylko mogłam, żeby zostać w zakonie. Rozmawiałam ze wszystkimi możliwymi przełożonymi. Spotkanie z ówczesną przełożoną generalną to był gwóźdź do trumny. Ona jest Amerykanką, mieszka w Rzymie. Wcześniej widziałam ją może jeden raz w Polsce. Kiedy zaczęłam rozważać odejście, napisałam do niej, że jestem siostrą na eksklaustracji, szukam, chcę z nią porozmawiać. Napisałam, że wierzę w Boga i wierzę w posłuszeństwo, więc liczę, że ona, jako moja najwyższa przełożona, ma światło Ducha Świętego wobec mnie. Chcę, żeby mnie posłuchała i powiedziała mi, co słyszy. I ta rozmowa była straszna. Przełożona powiedziała mi wprost: „Albo wracasz i się dostosowujesz, albo odchodzisz”. Zamurowało mnie. Żadnej próby zrozumienia, głębszej refleksji, wysłuchania. Przeróżające.

Co ci nie pasowało w tym zakonnym systemie?

Wydaje mi się, że problem polega na tym, że zmieniają cię już podczas formacji. Wciąż wraca do mnie taka refleksja, że gdybym nie wyszła ze zgromadzenia, nie zobaczyłabym tego. Nie ma takiej możliwości, żebym będąc w środku, pomyślała: „Nie, tak się nie da żyć, zostawiam to”.

Jak się nie da żyć? Co jest tam nie do życia?

Kiedy patrzę na to dziś, będąc w tym punkcie, w którym jestem, to widzę, że żyje się w ogromnym napięciu, pod presją, w poczuciu, że cały czas coś jest nie tak. I że trzeba się wpisać w jakiś schemat, w jakieś oczekiwania. A przy tym nie ma jasnych zasad, nigdy nie jest powiedziane, jakie są te oczekiwania wobec ciebie.

Zanim odeszłam na eksklustrację, rozmawiałam jeszcze z moją przełożoną prowincjalną. Powiedziałam jej wprost, że potrzebuję więcej czasu na „pustynię”. Tak to sobie nazwałam. Chciałam na trochę odejść od obowiązków, od wspólnoty, żeby zrobić w sobie przestrzeń, żeby posłuchać Ducha Świętego, w którego wierzę. Myślałam, że będę mogła to, co się ze mną dzieje, rozeznawać w ramach zgromadzenia, nie na eksklustracji. Wiedziałam wprawdzie, że jestem niewygodna, więc brałam pod uwagę, że będzie można mnie łatwo wypchnąć z zakonu w ten sposób.

Zakony pozbywają się siostr, które zadają za dużo pytań?

Tak mi się wydaje. Śmiałam się potem w duchu, kiedy przygotowywałam maila o odejściu do swojej przełożonej, że ona go czyta i mówi: „Jest, tak! Wiedziałam!”.

I jak postąpiła twoja bezpośrednia przełożona?

Po cichu liczyłam, że dostanę jakąś inną propozycję. Myślałam, że może wyśle mnie do innego domu, do jakiejś pracy, da mi czas, powie: odpocznij, przemyśl to sobie, a ona od razu zaproponowała mi eksklustrację. Powiedziała mi, że to jest jedyne wyjście. Tylko dlatego się na tę eksklustrację zdecydowałam.

Pamiętam, jak rozmawiałam potem z bliską mi wtedy siostrą (cały czas jest mi bliska, choć zerwała ze mną kontakt po moim odejściu), która była akurat przełożoną w innym domu zakonnym. Chciałam jej opowiedzieć swoją wersję wydarzeń, podzielić się wątpliwościami. No więc relacjonuję jej to spotkanie z prowincjalną, a ona mnie pyta z wyrzutem: „Dlaczego sama nie zaproponowałaś przełożonej innego wyjścia?”. Zdziwiłam się: „Siostro, tyle razy słyszałam nawet od ciebie, że narzucam swoją wolę przełożonym. Że mam swoje pomysły i o nich mówię, a to powinno być

tak, że mówisz przełożonym o swojej potrzebie, a one wsłuchują się w Ducha Świętego i reagują. A teraz mi mówisz, że jednak powinnam wypowiedzieć swoją propozycję, a nie zdawać się na przełożoną? Ja się gubię, to są dla mnie niejasne zasady”. A ona na to: „Jakbyś rozumiała posłuszeństwo, tobyś wiedziała, jak kiedy trzeba postępować”.

To jest manipulacyjne podejście. Szczególnie na początku bycia w zakonie słyszysz ciągle, że ludzie, którzy nie żyją takim życiem, nigdy go nie rozumieją. Sugeruje ci się, że nie ma co o zakonie opowiadać osobom spoza niego, bo i tak nie zostaniesz zrozumiana. A jednocześnie cały czas jesteś wpędzana w poczucie winy – gdybyś rozumiała posłuszeństwo...

No właśnie, to przecież jeden z najważniejszych zakonnych ślubów, ale to, czym właściwie jest posłuszeństwo i komu masz go dotrzymać, jest trudne do uchwycenia.

Jest takie sformułowanie: „wola Boża”. Już po odejściu z zakonu napisałam o tym post na Instagramie i dostałam wiele wiadomości prywatnych od siostr, że nie mam racji, że obecnie nikt się do tego nie odwołuje. Ależ odwołuje się! Wola Boża bywa po prostu wykorzystywana przez przełożone do osiągnięcia swoich celów. Pamiętam, jak się razem z siostrami śmiałyśmy podczas wspólnej modlitwy brewiarzowej, kiedy padała intencja: „Módlmy się za siostry, które zmieniły wolę Bożą”... Wszystkie wiedziałyśmy, że to jest taki zręczny wytrych. Jedna z moich współsióstr, która odeszła z zakonu (czeka teraz na wszystkie ostateczne decyzje Ojca Świętego), mówiła mi, że doskonale pamięta, jak jeszcze przed ślubami wieczystymi, w junioracie, była na jakiejś placówce i było jej tam bardzo ciężko. Musiała wykonywać pracę fizyczną, w polu. A to była drobna dziewczyna, nosiła okulary, typ naukowy, w szkole świadectwa z wyróżnieniem. Nie znała się na uprawie roli, nie miała doświadczenia, to

nie było dla niej. Poprosiła o zmianę miejsca pobytu. Po jakimś czasie dostała telefon: „Dobrze, będzie zmiana, ale do miejsca, gdzie siostra była wcześniej. Wola Boża dla siostry to jest jechać właśnie tam”. Następnego dnia niespodzianka – kolejny telefon: „A jednak siostra pojedzie w inne miejsce”. Nie wytrzymała i zapytała wreszcie przełożonej: „A to Panu Bogu się przez noc zmieniło? Wczoraj inna wola Boża niż dziś?”. To są absurdalne sytuacje. To jest ten brak jasnych zasad, brak życia w prawdzie.

Zakazana kawa – historia siostry Kamili, dwadzieścia trzy lata we wspólnocie zakonnej⁵¹

Gdy wstąpiłam do zakonu, z jakichś dziwnych, nieznanym mi przyczyn kawa dla nowicjuszek była zakazana. Mogły ją pić jedynie siostry już po ślubach. Bardzo lubię kawę i przed klasztorem piłam ją często. Chociaż to były inne czasy i inaczej robiło się kawę.

Gdy rodzina dowiedziała się o tym, przysłała mi kawę w paczce, ale została ona zarekwirowana przez przełożoną. Zaczęłam po kryjomu podbierać kawę od tych sióstr, które mogły ją pić. To było jakieś szaleństwo. Czułam się jak przestępca. Jakbym kradła i pijąc kawę, robiła coś bardzo złego. Kiedy powiedziałam o tym na spowiedzi, spowiednik sam przyniósł mi kawę, żebym nie uważała się za złodzieja.

To trwało prawie dwa lata. I chociaż wiedziałam (i spowiednik mi to mówił), że nie robię nic złego, to jakiś stres we mnie został. Od mojego nowicjatu minęło dwadzieścia jeden lat, a ja wciąż mam jakieś dziwne poczucie winy.

Obecnie siostry mogą pić kawę, nawet te w nowicjacie. Ostatnio w miejscu, w którym jestem, pojawił się nawet ekspres do kawy. Ale ja wciąż nie rozumiem, czemu wcześniej to było takie zakazane.

Moim zdaniem jako siostry mamy prawo, żeby ktoś wyjaśniał nam takie ustalenia. Bardzo mnie boli, że tak nie jest. Mam nadzieję, że to będzie się zmieniać.

Powiedziałaś, że w zakonie już podczas formacji zmieniają ci myślenie. Masz na myśli jakąś indoktrynację? Czy przygotowywanie „bazy” pod to, żeby sobie wychować człowieka posłusznego?

Tak, można to tak nazwać, i myślę, że w dużej mierze robi się to nieświadomie, nie z premedytacją. Ja wstępowałam do zakonu po liceum i pamiętam, jedna z sióstr powiedziała mi, że to jest właśnie najlepszy czas, bo później już trudno zrezygnować ze swoich nawyków. Z obecnej perspektywy patrzę na siebie sprzed lat. W tak młodym wieku wchodzi się w coś jak w masło. Trochę jak w subkulturę. Bardzo ci zależy, żeby się dopasować. Chociaż... Mnie się zawsze wydawało, że się dopasowywałam, ale pamiętam, jak byłam w postulacie, pojechałam do domu rekolekcyjnego i siostry przyniosły mi ramę z okna (coś tam było akurat wyburzane), i mówią: „Masz, raz w życiu się zmieść w ramkach!” [śmiech]. I nawet po czasie mi mówiły, że ja rzeczywiście jakoś odstawałam od pozostałych, choć naprawdę bardzo chciałam się dostosować.

Czego oczekiwałaś, idąc do zakonu? Co zakon miał ci dać?

Myślę, że w gruncie rzeczy miałam bardzo mało oczekiwań. W szkole średniej mieszkałam przez cztery lata w internacie u sióstr – poniekąd wiedziałam więc, z czym to się je. Wewnętrznie, w sferze wiary, miałam po prostu przekonanie, że Pan Bóg mnie tam chce, że mnie do siebie zaprasza.

Zawsze byłaś wierząca, pochodziłaś z wierzącej rodziny?

Nawróciłam się, kiedy miałam piętnaście lat, podczas mszy na pielgrzymce do Częstochowy. Byłam tam ze względu na moją babcię, którą bardzo kochałam i chciałam ją tam zabrać, bo ona zawsze o tym mówiła. Na pielgrzymce jest codzienna msza święta i chodziłam do Komunii, nie będąc jednak w stanie łaski uświęcającej, jako że od kilku lat nie byłam u spowiedzi. Na ile byłam tego świadoma, dziś już do końca nie wiem, ale tak było. I tak niegodnie przyjmując Komunię, pamiętam, klęczałam sobie na jednej z mszy podczas uwielbienia i przeżyłam doświadczenie, które

mogłabym ubrać w takie słowa: „Boże, kur..., Ty jesteś!”. To było mocne doświadczenie boskiej obecności, tak pięknej... I to był moment, w którym zaczęłam szukać relacji z Bogiem. Zresztą do tej pory tak definiuję swoją wiarę: dla mnie wiara to jest relacja z osobą – Jezusem Chrystusem.

Kolejne mistyczne doznanie Jego obecności miałam podczas rekolekcji, na które pojechałam w liceum. Chodziłam do prywatnego liceum nazaretanek. Bardzo odpowiadał mi jego klimat: dziewczyny mieszkające wspólnie w internacie, wspierające się – na pewno było mi to potrzebne w tamtym momencie życia. No i podczas pierwszych rekolekcji, na które pojechałam do Zakopanego, była adoracja Najświętszego Sakramentu, na którą się spóźniłam. Nie chciałam wchodzić do ławek, żeby nikt mnie nie mierzył wzrokiem. Usiadłam sobie po prostu na końcu kościoła, na środku. I usłyszałam: „Zapraszam cię do Nazaretu”. Wiem, że brzmi to kosmicznie, ale naprawdę to usłyszałam, na własne uszy.

Posłuchałaś wezwania?

W pierwszym momencie pomyślałam, że to w ogóle nie jest dla mnie. Ale modliłam się, myślałam i coś w środku przekonywało mnie, żeby jednak spróbować. Instynktownie zaczęłam nawiązywać trochę bliższe relacje z siostrami. A później zaczęłam o tym rozmawiać. Miałam znajomą siostrę, niesamowitą osobę. Nawiasem mówiąc, ona też później odeszła ze zgromadzenia. Kolejna bardzo trudna historia wykorzystania umiejętności i zdolności – została po prostu zajęta w pracy. Nie dała rady znieść natłoku obowiązków, które siostry na nią nakładały. Ta siostra przekonywała mnie wtedy, żebym poszła najpierw na studia, a potem rozważyła zakon. Ale ja żyłam tymi swoimi mistycznymi doświadczeniami, przekonywałam ją, że przecież dostałam taki prezent, taki dar, dlatego miałabym się wstrzymać z rozpakowywaniem. Przez dwa lata

rozważałam swoją decyzję i ostatecznie wstąpiłam do nazaretanek. Rozstrzygającą kwestią były po prostu pieniądze. Za egzaminy na studia trzeba było płacić, a mnie nie było na to stać.

Cały czas wierzę, że mimo wszystko to była moja droga. Nie uważam, żeby krzywda, która mnie spotkała, była wymysłem Pana Boga.

Co cię właściwie spotkało? Miałaś w zakonie doświadczenie przemocy fizycznej?

Pobita nigdy nie zostałam. A wiem, szczególnie teraz, pomagając siostram, że zdarzają się takie bardzo grube sytuacje. W ubiegłym tygodniu miałam telefon od siostry, którą wspieram w odejściu z zakonu po prawie pięćdziesięciu latach. Ma sześćdziesiąt siedem lat i odchodzi. A właściwie ucieka po tym, jak została pobita.

Jak to możliwe, żeby zostać pobitą w klasztorze?!

To jest historia mobbingu ze strony przełożonej, który trwa już jakiś czas. Dużo by opowiadać. Czarę goryczy przelała sytuacja, w której ta siostra miała spotkanie z dziećmi, siedziała z nimi akurat w salce, kiedy przełożona wpadła i zaczęła na nią krzyczeć. Ta siostra chciała wyjść, żeby przynajmniej dzieci nie doświadczały tego krzyku. Widziała, że przełożona trzyma coś w dłoni. Kiedy chciała przejść, w drzwiach została tym czymś zdzielona po plecach. Skuliła się z bólu, po czym dostała jeszcze dwa razy. Wyczołgała się stamtąd i dosłownie uciekła – wzięła od siebie z pokoju dwie czy trzy rzeczy i poszła do najbliższej koleżanki, powiedziała, że już tam nie wróci. Teraz ja jej pomagam z formalnościami dotyczącymi odejścia. W międzyczasie trafiła do lekarza, ponieważ bardzo ją bolało miejsce po uderzeniu. Lekarz powiedział jej wprost: „Widać, że siostra sama sobie tego nie zrobiła”. Zaproponował, że napisze protokół

z obdukcji. Ona na to: „Nie, nie, nie, to jest moje zgromadzenie”. Jak mówiłam – nawet upokorzone, odchodzące siostry próbują coś obronić. Mądry lekarz dał jej zaświadczenie, że ból spowodowany zbiciem żeber powstał w wyniku zewnętrznych czynników. Sprawdzam właśnie, czy na podstawie takiego dokumentu można uzyskać formalną obdukcję.

Wstrząsające, ale też zastanawiające: jak bezpośrednia przemoc może trwać w zakonie wiele lat?

Moim zdaniem jest to powiązane z tym, o czym rozmawialiśmy w kontekście formacji. Widzę teraz, że kiedy działy się jakieś dziwne rzeczy podczas mojego pobytu w zakonie, kiedy świeciła mi myśl, że coś jest nie tak – nie było z kim tego omówić, skonfrontować. Na tych spotkaniach w Centrum Praw Kobiet pomyślałam, że jak jest sytuacja przemocy w związku, w małżeństwie, może się zdarzyć, że ktoś z boku to widzi. Jak facet dziewczynę pchnie na ścianę i ona nawet sobie pomyśli, że to nic takiego, ale opowie to koleżance, to może ta koleżanka jednak zwróci uwagę i pomoże. A w zakonie? Nie masz z kim porozmawiać, nikt nie wie. Do tego dochodzi przemoc ekonomiczna.

Mówi się, że zakony są biedne.

Zakony nie, siostry tak. Zrobiłam kiedyś taki eksperyment: chodziłam i pytałam siostry, czy uważają, że jak idą prosić o pieniądze na buty, to proszą o pieniądze swoje czy przełożonej? „To są pieniądze przełożonej, idzie się prosić przełożoną” – tak odpowiadały prawie wszystkie.

Przyjaźnię się z dominikanami. Oni mają trochę inną perspektywę, inaczej gospodarują pieniędzmi. I jeden mówi mi tak: „Zapraszam na rekolekcje małą siostrę Baranka [to jest też takie nowe zgromadzenie⁵²]. One żyją z żebrania. Wiem, że jak zapraszam taką siostrę, to muszę jej

wszystko opłacić. Ale jeśli zapraszam nazaretankę – patrzę: tu szkoła, tam przedszkole – to myślę, że siostry mają pieniądze, czyli nie muszę się troszczyć o to, żeby takiej siostrze zapłacić, żeby pojechała ze mną na rekolekcje”. A później się okazuje, że to tak wcale nie działa i że nazaretanka też może nie dostać pieniędzy, bo zgromadzenie ma jakieś pieniądze, ale to nie są pieniądze sióstr.

Przecież są przez nie zarobione.

No tak, ale wszystko idzie na jedno wspólne konto. Rozmawiałam o tym kiedyś z dziewczynami z Centrum Praw Kobiet – one w większości nie są wierzące, ta sytuacja jest im obca, ale mówiły, że są w stanie wyobrazić sobie taką komunę, gdzie ustala się razem zasady korzystania ze wspólnych pieniędzy; jak ktoś potrzebuje, to sobie z tego bierze. I taka jest idea. W praktyce jednak, jeśli potrzebujesz butów, idziesz i musisz poprosić o twoje pieniądze. Dla mnie to już jest przemocowe. A jeszcze jak przełożona da ci na zimowe buty sto pięćdziesiąt złotych... „Resztę niech sobie siostra dołoży”. U nazaretanek od niedawna tak jest – i wiem, że w zgromadzeniach się to praktykuje – że jest kieszonkowe, siostry coś dostają co miesiąc. Kiedy byłam w zgromadzeniu, chwilę przed ślubami wieczystymi – może w 2007, 2008 roku – pojawiło się kieszonkowe w wysokości pięćdziesięciu złotych miesięcznie i było powiedziane, że za te pieniądze musimy utrzymać telefon oraz kupić sobie kosmetyki i rajstopy. Zawsze się z tego śmiałam. Czyli to kieszonkowe to *de facto* nie było kieszonkowe. Jak chcesz iść do kina, nie masz pieniędzy, żeby kupić sobie bilet.

Większość problemów tkwi głęboko w systemie organizacji życia zakonnego.

Co masz na myśli?

Kolejny przykład, z innej dziedziny niż finanse. Pamiętam sytuację pewnej siostry, mniej więcej pięćdziesięcioletniej, czyli osoby w słusznym wieku, dojrzałej kobiety, która przeżyła już w zakonie wiele lat. Miała mamę, może nie mocno chorującą, ale po prostu już starszą panią. Przyszła kiedyś i mówi: „Tak sobie pomyślałam, potrzebuję pojechać do mamy, odwiedzić ją”. „No to spoko, idź do przełożonej”. Poszła, a przełożona jej mówi: „Siostrzo, podejmij decyzję. To jest twoja mama, twoja sytuacja, ty zdecyduj”. Nie była w stanie. Po tylu latach zdawania się na przełożoną była bezsilna. Nie pojechała do mamy. Gdyby przełożona jej powiedziała: jedź, toby pojechała. Wraca wspomniany przeze mnie motyw braku jasnych reguł. Twoje życie równa się widzimi się przełożonej.

Wiele sióstr twierdzi, że teraz w zakonach przyszedł czas na tak zwane posłuszeństwo dialogowane, że nie jest już tak jak kiedyś. Często gdy siostry proszą, to dostają zgody na różne swoje działania. Na przykład w kwestii studiów – możesz poprosić i dostaniesz pozwolenie na studiowanie.

Zapewniam cię, że jest mnóstwo zakonów, w których siostry nadal nie studiują. O studia się nie pyta. Do tego, żebyś studiowała, możesz najwyżej zostać wybrana.

Ale ty przecież w zakonie studiowałaś?

Tak, ja poszłam na studia w zakonie. Jednak wcześniej przez cztery lata pracowałam w przedszkolu bez studiów. Była to dla mnie bardzo niekomfortowa sytuacja. Pracowałam trzy lata w jednej i rok w drugiej placówce. Do jednej z tych placówek – prywatnej, w której nie trzeba aż

tylu uprawnień co w publicznej – zostałam wysłana wkrótce po ślubach; wiele z nas wtedy wysłano do przedszkola, jako „zapchajdziury”. Nazaretanki ogólnie prowadzą dużo szkół i przedszkoli, w Polsce zajmują się w dużej mierze edukacją. Szłam do tego przedszkola z naiwnym nastawieniem, że będę odkrywać swój charyzmat. Okazało się, że tak naprawdę jechałam tam do kuchni. Nikt mi o tym wcześniej nie powiedział. Pracowałam w kuchence przy przedszkolu. Na szczęście miałam oficjalne zatrudnienie jako pomoc nauczyciela i dyrektorka nie chciała mi go zmieniać, dlatego później brała mnie również do pomocy przy dzieciach. Ogólnie jednak pracowałam w tej kuchni, a tylko na dwie godziny wychodziłam do dzieci.

W pewnym momencie dyrektorka zauważyła, że mam dużo lepsze podejście do dzieci niż siostra, która była wtedy nauczycielką. Zostałam więc spytana, czy zgodzę się na taki układ, że się z tą siostrą zamienimy. Oczywiście chciałam pomóc, a poza tym widziałam w tym szansę także dla siebie. Liczyłam, że jeśli się wykażę, pozwolą mi na dłużej pracować z dziećmi, a chciałam tego, bo bardzo mi się to spodobało. Weszłam więc w taki układ, że pracowałam bez studiów. Robiłam w tej grupie wszystko, włącznie z wypełnianiem dokumentacji – tylko podpisywała się ta druga siostra. „System” działał przez dwa lata, aż doszło do wizytacji z kuratorium. Byłam kompletnie zagubiona. Zapytałam dyrektorkę placówki, jakim imieniem mam się posługiwać: swoim czy tej drugiej siostry. Powiedziała, że jeśli będziemy używać imion zakonnych, to kuratorka się nie zorientuje. Byłam tym strasznie spięta, dużo mnie to kosztowało. Były tam z nami jeszcze cztery inne siostry. Kompletnie nie rozumiały, co się ze mną dzieje, nie pojmowały tego napięcia, im ta sytuacja nie przeszkadzała. Kiedy spotkałam się z moją przełożoną w zakonie, próbowałam z nią rozmawiać, wyjaśnić, jak to jest, że nie

przestrzegamy przepisów – zajmuję się dziećmi, robię robotę innej siostry, a nie mam do tego formalnych uprawnień! Przełożona próbowała mi wytłumaczyć, że władza nie jest po stronie sióstr. „Jezu, to przecież nie PRL!” – myślałam.

Chciałam iść na studia, ale znów mi się to nie udało. Choć byłam już wpisana nawet na listę sióstr dopuszczonych do studiów! Okazało się jednak, że miała do nas w przedszkolu dołączyć jeszcze jedna siostra. Dyrektorka powiedziała, że przyjmie ją pod warunkiem, że ja pójdę na studia, żeby nie mieć dwóch pracownic bez studiów. Jednak po rozmowie z moją przełożoną, podczas której wyraziłam swoje wątpliwości i obawę o nieprzestrzeganie prawa, ona wycofała tamtą siostrę i dała na tę placówkę inną, po studiach. A mnie na studia nie wysłała.

To jak w końcu trafiłaś na uczelnię?

Poszłam na studia po ślubach wieczystych, bo trafiłam do pracy do placówki publicznej. A tam są takie wymogi, że musisz mieć studia. Nie było innego wyjścia. Tym razem siostry po prostu musiały mnie wysłać.

Rewizja życia – historia siostry Weroniki, dwadzieścia pięć lat w zgromadzeniu zakonnym⁵³

Rewizja życia to takie zakonne „ćwiczenie”. W różnych zakonach wygląda różnie. Ja najmocniej pamiętam tę rewizję z nowicjatu. Było nas wtedy dwadzieścia sióstr. Jedna z nas siadała w środku koła. Na polecenie Siostry Mistrzynie każda z dwudziestu sióstr tej, która była w środku, musiała powiedzieć trzy uwagi albo jej jakieś złe cechy. Te cechy nie mogły się powtarzać. Dwadzieścia razy trzy...

Dobrych cech nie można było mówić. Mistrzynie uważała, że chwalić kogoś to „szuć diabłem”. Tłumaczyła nam, że to dla naszej pokory, żebyśmy wiedziały, co mamy w sobie poprawić.

Wtedy myślałam, że to tak musi być. Dziś wiem, że to było okrutne i bardzo mnie to poraniło.

Dziś chcę to w sobie zmieniać. Wiem, że jestem wartościowa, i nawet tych sześćdziesiąt złych zdań, które o sobie usłyszałam, nie niszczy mojej wartości.

Z jakimi problemami zgłaszają się do ciebie siostry, odkąd prowadzisz Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym?

Z doświadczeniem przemocy, przeróżnej. Z nadużyciami władzy. Większość z nich odzywa się dopiero w momencie, w którym myśli już o odejściu z zakonu. Czasem tak jest, że mówię: „Słuchaj, jest coś takiego jak eksklustracja, czy nie myślałaś o tym?”. Są siostry, które w ogóle nie wiedzą, że coś takiego istnieje. Moim zdaniem to karygodne. Teoretycznie w każdej konstytucji zakonnej powinien być zapis na ten temat.

Procedury odejścia są nieznane?

Tak. One nie są skomplikowane, ale właśnie nie są znane. Nikomu raczej nie zależy na zaznajamianiu z nimi sióstr.

Spodziewam się, że trzeba uzyskać zgodę na odejście prosto z Watykanu?

Ostatecznie, żeby odejść, tak, ale najczęściej pisze się po prostu przez przełożonego własnego zgromadzenia. Jeśli więc jakaś siostra myśli o tym, żeby odejść, bo doświadczyła przemocy ze strony przełożonych, to jedyną drogą, jaka jest, jest pójście do tych przełożonych i spytanie, jak się odchodzi. Albo jak się idzie na eksklustrację. Musisz iść do osoby, która stosowała wobec ciebie przemoc. Absurd.

Czy często siostry doświadczają przemocy ze strony innych sióstr, nie od przełożonych?

Zdarza się to, jednak najczęściej w jakiś sposób przemoc wiąże się z władzą.

Jak pomagasz siostrom, które do ciebie przychodzą?

To są bardzo różne sprawy. Kiedyś jechałam do Warszawy pomóc jednej dziewczynie robić zakupy, nauczyć ją podstawowych czynności, na przykład korzystania z karty bankowej. Z inną z kolei, która tutaj do mnie przyjechała, chodziłyśmy po sklepach, żeby sobie poprzymierzała ciuchy, zobaczyła, w czym jak się czuje. To też jest spora bariera. Faceci częściej zdejmują habit. Dla kobiety zdjęcie habitu jest większym problemem. Ale zawsze, od pierwszego maila, który rozpoczyna wszystkie procedury związane z odejściem, pierwsze, co dziewczyny robią, to zdejmują habit i wysyłają mi zdjęcie, jak bez niego wyglądają.

Z tego, co mówisz, wynika, że ten habit gra ogromną psychologiczną rolę.

Owszem. Przychodzi mi do głowy kilka sytuacji, które to dobrze obrazują. Miałam na przykład koleżankę z liceum, dwa lata ode mnie młodszą, która była dla mnie jak siostra; zaprzyjaźniłam się też z całą jej rodziną. Kiedy się spotykałyśmy, gdy ja już rozpoczęłam swoją drogę zakonną, to – podobnie jak w czasach licealnych – wyskakiwałyśmy czasem do McDonalda. Mnie habit nie przeszkadzał w tym, żeby to robić. Ona też wstąpiła do zgromadzenia i dwa lata po mnie włożyła habit. Na wakacjach byłam u niej w domu rodzinnym i pierwsze, co zaproponowałam, to tradycyjne pójście do „Maka”. „Absolutnie! Już nie!” – powiedziała. Zdziwiona zapytałam: „Ale jak to nie? Przecież chodziłyśmy tyle lat!”. Nic nie odpowiedziała.

Pamiętam też akcję z basenem. Ja na basen chodziłam. Dostałam oczywiście wszystkie pozwolenia. Stwierdziłam, że nie będę się z tym kryła. Byłam wtedy we wspólnocie dziewięcioosobowej, wszystkie siostry wiedziały, że chodzę na basen, nie było to żadną tajemnicą. Pewnego razu siedzieliśmy przy stole z siostrami, przy posiłku. Była z nami też dyrektorka przedszkola, w którym pracowałyśmy. Zapowiedziała, że w poniedziałek o osiemnastej chce zrobić z nami spotkanie, na co ja mówię: „Przepraszam, ale nie mogę, bo co tydzień o tej porze jestem na basenie”. Przy stole zapadła cisza. Wkurzyłam się i mówię: „Halo! Siostry! Nie mówię, że przespałam się z facetem, tylko że chodzę na basen! Wszystkie wiecie!”. Wywiązała się z tego dyskusja. Zadziwiające było, gdy siostry młodsze ode mnie mówiły, że nie wyobrażają sobie chodzenia na basen, bo musiałyby zdjąć habit.

Zawsze mi się wydawało, że jednak w klasztorze, w klauzurze, w środku można chodzić bez habitu, żeby trochę „wyluzować”.

Ależ nie! Zawsze w habicie! Ta sytuacja z basenem to jest dla mnie mocny przykład tego, co już nieraz wcześniej zauważałam, że to nie jest kwestia pokoleniowa: że starsze siostry są bardziej konserwatywne, młodsze mniej. Te młodsze też wchodziły w te wszystkie absurdalne zasady, nierzadko bardzo gorliwie. Gdy pracowałam w przedszkolu, siostry miały do dyspozycji duży, przestronny klasztor. My jednak we cztery czy pięć, które tam bezpośrednio pracowałyśmy, mieszkaliśmy w niewielkiej przestrzeni nad przedszkolem – był tam pokój, wąski korytarz. No i ja chodziłam tam bez habitu, sprzątałam bez habitu, wiadomo – było mi po prostu wygodniej. Jedna z sióstr nie mogła tego przeboleć. Ostentacyjnie mówiła do mnie „proszę pani”, kiedy widziała mnie bez habitu. Jak się do niej pukało

i siedziała w habicie, ale bez welonu, to nie otworzyła, dopóki tego welonu nie założyła. Wiele sióstr tak ma.

Kiedy pracowałam w Polskim Radiu po zapanowaniu „dobrej zmiany”, wielu kolegów autocenzurowało swoje materiały. Jeszcze nikt im niczego nie narzucał, nikt niczego od nich nie oczekiwał, ale sami z lęku kasowali pewne treści, które mogły być niewygodne dla nowej władzy. Czy to podobny mechanizm?

Tak, coś podobnego dzieje się moim zdaniem w formacji. Do końca nie rozumiem dlaczego. Kiedy wybuchła ta sprawa dominikańska, z Pawłem M., który we Wrocławiu dopuszczał się dużych nadużyć we wspólnocie⁵⁴, okazało się, że tak naprawdę on z tej wspólnoty zrobił sektę. Zaczęli się wtedy wypowiadać jezuici i jeden z nich napisał tekst, w którym porównał działania Pawła M. do działań w sekcie. Czytałam to i pomyślałam, że przecież to jest toczka w toczkę to, co dzieje się w formacji zakonnej! Tylko wiesz, ja nie mam z tym żadnej siły przebicia. Napisałam nawet maila do autora – to był ojciec Jacek Prusak⁵⁵: zatrzymajmy się nad tym i zastanówmy się, dlaczego tak wygląda formacja w zgromadzeniach żeńskich. Albo mi powiedzcie, że to musi tak wyglądać, i wytłumaczcie dlaczego – albo zobaczmy, że z tymi metodami jest coś nie tak. Podejmijmy na ten temat jakąś refleksję, zacznijmy dyskusję! Nie dostałam niestety odpowiedzi. Zwróć uwagę na taką choćby podstawową rzecz: ojciec Prusak wskazuje, że w sekcie są pewne etapy wtajemniczenia. Jak wchodzisz, to zaczynają ci ograniczać kontakt z bliskimi, a potem ta nowa grupa staje się twoją nową rodziną. Puściłam to na swojego Instagrama i dziewczyny, które mają doświadczenie życia zakonnego na różnych etapach, zaczęły pisać: „Przecież tak właśnie jest w formacji”.

Miałam jeszcze jedną myśl. Jeśli przychodzi do ciebie koleżanka i mówi: „Wiesz, znalazłam taką fajną grupę ludzi, mieszkają w środku lasu, od dzisiaj z nimi zamieszkam, nie będę miała z tobą kontaktu, bo nie możemy tam mieć telefonów, możesz do mnie przyjeżdżać tylko raz w miesiącu w czwartek, bo takie są zasady, rozumiesz”, to nie mówisz jej: „Aha, fajnie, takie życie przyjęłaś”, tylko pytasz: „*Hello*, co się dzieje?!”. A przychodzi koleżanka i mówi: „Wybieram się do zakonu, od dzisiaj nie będzie ze mną kontaktu...” – i dalej wszystko to samo, ale sam fakt, że chodzi o zakon, zamyka temat. W ludziach, także w Kościele, nie pojawia się pytanie, dlaczego odcina się te dziewczyny od świata. „Aha, skoro to jest zakon, to tak jest, one nie mogą mieć kontaktu ze światem zewnętrznym”. Koniec i kropka. Tylko właściwie w imię czego?

Ale przecież nie od początku to cię zastanawiało. Jak wyglądał twój początek w zakonie? Po ilu latach złożyłaś śluby wieczyste?

Normalnie, przeciętnie – po dziewięciu. Rok postulatu, dwa lata nowicjatu, pięć lat junioratu...

A jak jest „nienormalnie”? Można złożyć śluby później?

Można, to się zdarza. Mam nadzieję, że dziś jest z tym mniejszy problem niż w moich czasach. Dziś mówi się sporo o indywidualnym podejściu do formacji. Wtedy to był rodzaj straszaka: zachowuj się odpowiednio, bo nie dopuszczą cię do ślubów.

Za karę? Że nie wypełniasz jakichś założeń?

Siostry pisały rodzaj opinii, na podstawie której można było zostać albo nie zostać dopuszczoną do ślubów wieczystych. Zdarzały się tam bzdety

w stylu: „Jest niemiła dla starszych sióstr”. We wspólnocie, gdzie była jedna emerytka! To też obrazuje absurdalną sytuację.

**Jak wspominasz swoją formację? Czego cię uczono, a czego oduczano?
Dlaczego twoim zdaniem formacja zbliża zakon do sekty?**

Pamiętaj, proszę, o tym, że tymi porównaniami czy refleksjami dzielę się dziś, z całym swoim bagażem doświadczeń i przemyśleń. Formację zaczynałam, mając dziewiętnaście lat, i nawet jeśli to, co się działo, budziło wtedy moje pytania, myślałam, że to ze mną coś jest nie tak. W końcu wchodziłam w system, który teoretycznie dobrze funkcjonował od lat. Wierzyłam moim formatorcom, że lepiej niż ja wiedzą, jaka ma być „dobra siostra”. I to jest chyba pierwszy punkt, który jest dla mnie niepokojący i przypominający sektę: przekonanie, że ktoś lepiej niż ja wie, jaka powinnam być, jakie mam dary i talenty, a w czym niedomagam. Odtąd to ktoś z zewnątrz ma mnie kształtować. Oduczono mnie ufać własnej intuicji.

Pod dużym znakiem zapytania stawiam dziś aspekt ograniczania kontaktów z rodziną i dotychczasowymi znajomymi. Zresztą na początku mojej formacji też było to trudne. Pamiętam, jak po kilku miesiącach przyjechały mnie odwiedzić moje przyjaciółki. To był w sumie ostatni moment, bo później przychodzi czas, że przez rok nikt z przyjaciół nie może do ciebie przyjechać. To były dziewczyny, z którymi mieszkałam w internacie. Były dla mnie jak moje rodzone siostry. Myślę, że ta nasza więź była widoczna. Na pewno zobaczyła ją moja formatorka. Powiedziała mi wtedy, że życzy mi takich przyjaźni w klasztorze, bo ta więź już jest skończona. One będą żyły innym życiem, przestaną mnie rozumieć i przyjaźń się skończy. Do dziś bardzo się cieszę, że dziewczyny mimo tylu lat i ograniczonej możliwości kontaktu ze mną nie zerwały relacji.

Czyli już na etapie formacji można doświadczyć manipulacji?

To nie jest tylko moje doświadczenie. Niedawno skontaktowała się ze mną na Instagramie pewna postulanka. Pytała, jakie są procedury odejścia z postulatu. To jest przecież pierwszy etap formacji, więc napisałam jej: „Nie ma żadnych procedur, pakujesz się i wyjeżdżasz”. Zaczęłyśmy rozmawiać. Nie była w stanie wyjechać, bo jej mistrzyni powiedziała, że musi poczekać na przełożoną, że to nie jest takie proste. Wbiły ją w poczucie winy z tego powodu, że chce odejść. Zapytała mnie: „A może powinnam zmienić wspólnotę?”. Mówię jej więc: „Być może, ale zobacz, w jakim stanie jesteś już teraz, po roku...”. „Nie po roku, po siedmiu miesiącach”. Boże, co się dzieje w tym zakonie, że człowiek po zaledwie siedmiu miesiącach traci poczucie wolności? Nie rozumie, że może się zwyczajnie spakować i wyjść?!

Może to jest jednak kwestia pewnej dojrzałości. Może to dobre rozwiązanie, żeby do zakonów przyjmować nieco starsze osoby?

Wydaje się to sensowne. Na przykład dominikanie nie przyjmują już zaraz po maturze. Przeciwnie niż kiedyś, wręcz zachęcają: „Idź najpierw na studia, zastanów się i wróć”. Nie ma oczywiście jednego idealnego momentu, nie jest powiedziane, że, dajmy na to, trzy lata po maturze jest idealnie, ale chodzi o to, żeby zostawić jakąś przestrzeń na ukształtowanie się człowieka. Dziś się o tym myśli, zastanawia, szuka rozwiązań.

Mam wrażenie, że w tobie decyzja o odejściu z zakonu kielkowała przez kilka lat.

Coraz więcej rzeczy stawało się dla mnie kompletnie niezrozumiałych. Postanowiłam na przykład zrobić projekt na YouTube. Współpracowałam

wtedy z siostrą odpowiedzialną za duszpasterstwo młodzieży, a ona była dobrą dyplomatką, więc ustaliłyśmy, że ona uzyska wszystkie pozwolenia, ja mogę robić resztę. No i rzeczywiście, przygotowaliśmy fajny materiał. Chodziło o wypromowanie naszego zgromadzenia, pokazanie, czym się zajmujemy, jakie wyznajemy wartości. To był akurat moment, kiedy dominikanie zaczęli szerzej działać w internecie, rozwijali projekt *Chlebak*⁵⁶, a potem wyszło z tego dominikanie.pl. Trochę z nimi rozmawiałam i nabrałam takiej chęci: kurczę, wejdźmy na tego YouTube'a jako zgromadzenie, zróbmy coś, to nasze działania pójdą w świat. Zaprosiłyśmy kilka sióstr. Ja, chcąc się otworzyć na siostry, powiedziałam: „Liczy się wszystko, co nagracie”. Dałam tylko kilka wskazówek technicznych, ale nie zamierzałam niczego dyktować – co kto ma robić czy mówić do kamery; co chcecie, to mówicie, jak najwięcej sióstr, nagrywamy i puszczone do internetu. I tak zrobiłyśmy. Później włączyły się w to inne prowincje nazaretanek. Zahaczyło nawet o Afrykę! Superprojekt, wydawało się, że jest genialny, że siostry się pobudziły, chcą coś robić, opowiadać o sobie, swojej miłości do Boga, swojej służbie, i jeszcze na dodatek wyszła z tego międzynarodowa współpraca. Ekstra! Tak mi się przynajmniej wydawało... Tydzień po premierze akcji w sieci było zebranie przełożonych, na którym przełożona prowincjalna powiedziała do sióstr, że my to zrobiłyśmy bez pozwolenia, że to było karygodne i w ogóle ona się teraz zastanawia, co zrobić ze wszystkimi siostrami, które wzięły w tym udział.

Mówiłaś przecież, że miałyście wszystkie zgody. Dlaczego je odwołano?

Nie wiem. Może za dobrze nam poszło i przełożona bała się, że będziemy gwiazdami? Może dlatego, że jej akurat nie było na żadnym filmiku? Ale też myślę, że ze względu na mnie. Ona mnie po prostu nie lubiła. Trudno

dziś o tym dywagować. Skrzydła mi wtedy opadły zupełnie. Robisz coś z zapalem, widzisz, ile jest wyświetleń, ludzie sobie to udostępniają, posyłają dalej, a tu taki komentarz. Dlaczego taki Szustak może sobie mówić w internecie różne rzeczy i nagrywać to, na co ma ochotę, a taka siostra Iksińska nie?

Nie wiem... Może to jakiś element patriarchy, pewnej nierówności w podejściu do kobiet i mężczyzn w Kościele?

Moim zdaniem siostry same sobie to robią. To nie księża czy zakonnicy, to nie żaden patriarchat. Jak opowiedziałam dominikanom, że moja przełożona zasugerowała mi potem, że powinnam była każdy filmik wysyłać do zatwierdzenia, to mnie wyśmiali.

Co przelało twoją czarę goryczy?

Doszłam do specyficznego momentu. Przez ileś lat było we mnie poczucie, że szukam czegoś więcej. Długo nie byłam w stanie tego nazwać. Z czasem udawało mi się to coraz lepiej uchwycić. Nie było mi łatwo, bo zakon był całym moim światem. Spójrz nawet na moje imię zakonne: Nazaria, od Nazaretu. Kompletnie zatraciłam się w tym charyzmacie, bo charyzmat naszego zgromadzenia jest wspaniały. Zawsze uważałam, że nasza założycielka, siostra Franciszka Siedliska⁵⁷, to była genialna kobieta. To była babka, która pod koniec dziewiętnastego wieku założyła we Włoszech polskie zgromadzenie; miała dwadzieścia cztery siostry. Po pewnym czasie zaczęła też otwierać domy na ziemiach polskich, a także w Londynie i Paryżu. Usłyszała, że w Ameryce potrzebna jest praca z imigrantami, powiedziała: „Dobra, dzielę zgromadzenie na pół” – i wysłała tam połowę tych sióstr. Siostra prowincjalna miała wtedy dwadzieścia pięć lat! Franciszka pływała do nich przez ocean, adoptowała też czarnoskórą

dziewczynkę i wozila ją ze sobą. Była na tyle bystra, że jak siostry pojechały do Ameryki zajmować się dziećmi imigrantów przy fabrykach, to od razu uczyły je języka angielskiego. Trzeba być dalekowzrocznym... Szczerze ją podziwiam.

Mimo tej fascynacji odeszłaś z zakonu. Jak wygląda ten proces?

Przy odejściu z zakonu sporo można załatwić mailowo, ale finalnie i tak musisz poskładać wszystkie podpisy w obecności przełożonych, z którymi miałaś trudną relację. Jakiś czas po tym gdy przedłożyłam wszystkie papiery potrzebne do odejścia, przyszedł mail, że w zgromadzeniu czekają na mnie dokumenty. Nie było nawet napisane jakie. Domyśliłam się, że ze Stolicy Apostolskiej – indult sekularyzacyjny⁵⁸. Musiałam zatem stawić się w zgromadzeniu. Spodziewałam się, że to nie będzie przyjemne spotkanie, bo miałam doświadczenia z poprzednich lat podpisywania dokumentów eksklustracyjnych. Zawsze te spotkania były trudne. Nie wiedziałam, co tym razem mi wyciągną.

Jak to „co ci wyciągną”?

Kiedy na przykład zaczynałam drugi rok eksklustracji i poszłam podpisać dokumenty w tej sprawie, siostry powiedziały mi coś w tym stylu, że oceniam innych, a powinnam dojrzeć do wolności – wolności od oceniania innych sióstr. To nie było życzliwe ani pełne zrozumienia spotkanie. Raczej podszyte pretensjami. Poza tym wiedziałam, że mam podpisać dokumenty, których wcześniej nie widziałam na oczy, i że będą mi towarzyszyć emocje. Uznałam więc, że dobrze będzie mieć obok siebie kogoś, kto na chłodno, spokojnie oceni sytuację. Nie chciałam być sama. Poprosiłam o pomoc swoją koleżankę Asię, z którą teraz mieszkam.

Pojechałyśmy do zgromadzenia. Nie uprzedziłam, że jadę ze świadkiem. Można mi to zarzucić, ale nie uważałam wtedy, żeby informowanie kogokolwiek było potrzebne. Wchodzimy z Asią na teren klasztoru, a siostra, która jest na furcie, mówi do mnie: „Wejdz, poczekaj na prowincjalną tutaj, a pani [do mojej koleżanki] tutaj” – i wskazała nam różne miejsca. Mówię więc: „Nie, przyszłyśmy razem”. „Ale z prowincjalną umawiałaś się sama”. Wydaje mi się, że kiedy poszła zawołać przełożoną prowincjalną, to uprzedziła ją, że przyszłyśmy we dwie. Ze strony zgromadzenia przy podpisywaniu takich dokumentów zawsze są obecne dwie siostry. Przyszły do nas od razu z agresją. To było dosłownie tak: siedziałyśmy w pomieszczeniu, one weszły, wstałyśmy, one mówią: „Absolutnie nie zgadzamy się na żadnego świadka, nie ma takiego zwyczaju, siostra podpisuje dokumenty sama; jeżeli siostra się na to zgadza, to jesteśmy w drugim pokoju” – i wyszły. Ja w tym momencie byłam już gotowa zrezygnować. Asia przekonała mnie jednak, żeby z nimi pertraktować. Główny argument, którym siostry próbowały nas przekonać, to były względy RODO. Asia zapytała: „Siostro, ale o jakie konkretnie przepisy chodzi? Bo ja pracuję z projektami unijnymi. Nie widzę tu problemu z RODO”. „To nie chodzi o RODO unijne, tylko RODO zakonne!” – powiedziała stanowczo prowincjalna. To spotkanie było dla mnie strasznym upokorzeniem. Pamiętam, jak jedna z sióstr zaczęła do Asi krzyczeć i fizycznie na nią napierać. My obydwie jesteśmy raczej spokojne, cały czas próbowałyśmy tonować, argumentować, naprawdę byłyśmy gotowe iść na ustępstwa, Asia nawet zaproponowała, że może wyjść w chwili odczytywania danych, których nie może usłyszeć... W pewnym momencie siostra mówi: „A jak by się pani czuła, jakbym to ja przyjechała do pani...” – i zaczęła wyciągać jakieś brudy. Mówię więc: „Siostro, myślałam, że przyjechałam tu podpisać dokumenty, a nie wyciągać brudy!

Zwykła, prosta procedura: siadamy, podpisujemy. Asia ze mną mieszka, nie mam przed nią tajemnic”. Potem się śmiałyśmy, że trzeba było powiedzieć: „To jest moja partnerka”...

Widziałam, że siostry nie mają argumentów; mogą mnie tylko straszyć. Między innymi padły słowa w stylu: „Jak siostra tego nie podpisze i będzie chciała wejść w związek małżeński, to nie może”. Mówię, że potrzebuję osoby, która będzie przy mnie w momencie podpisywania. „To my tutaj będziemy podpisywać, pani może być w drugim pokoju, jak będziemy siostrę krzywdzić, to siostra zawoła tę panią”. Później dopiero wpadłyśmy na to, że Asia mogła też podpisać zobowiązanie, że tych danych nie ujawni. Niesamowite jest dla mnie to, jak duże poczucie bezkarności mają siostry. Przecież nie wiedziały, czy nie przyprowadziłam ze sobą jakiejś dziennikarki albo prawniczki, czy potajemnie nie nagrywamy tej rozmowy. Zero instynktu samozachowawczego.

Czy podpisałaś w końcu te dokumenty?

Nie. Przełożona powiedziała, że nie zgodzi się na świadka, nie ma takiej możliwości. Ja też nie chciałam odpuścić. Powiedziałam: „Dobrze, siostro, zatem bardzo proszę, żeby siostra mi to dała na piśmie, że ja tu byłam, chciałam podpisać dokumenty, a siostra się nie zgodziła”. „Ale ja się zgadzam, tylko nie pod takimi warunkami”. „Dobrze, dokładnie to, co siostra mi mówi, proszę, żeby siostra mi napisała”. Siostry spojrzały na siebie i poszły, żeby to napisać. Siedzimy z Asią, czekamy, w końcu dotarło do mnie, że coś za długo ich nie ma. „Dzwonią do prawnika?” – rzuciłam. No i rzeczywiście, przyszły i oznajmiły, że niczego nie napiszą. Pewnie z kimś się skomunikowały i ten ktoś dał im taką radę. Powiedziały, że dają mi ostatnią szansę, mogę to podpisać na ich warunkach albo w ogóle. Ja na to, że w takim razie nie podpisuję w ogóle.

Tamten moment był dla mnie najważniejszy, jeśli chodzi o decyzję, że w przyszłości chcę pomagać innym zakonnicom. Ta pogarda, której doświadczyłyśmy, była dojmująca. Pamiętam, jak siostry mówiły do Asi: „Pani to niech się nie odzywa, pani nic nie wie! Co pani się zna na życiu zakonnym?”. Kiedy ochłonęłam, zaczęłam szukać prawników kanonicznych, kogoś, kto mógłby mi podpowiedzieć, co dalej. Zadzwoiłam do Fundacji Świętego Józefa⁵⁹. Udało mi się skontaktować z prawniczką, która powiedziała, co mogę zrobić, wyjaśniła procedury. Wymieniłyśmy z prowincjalną pisma i po jakimś czasie znów dostałam maila ze zgromadzenia: „Zapraszam na Czerniakowską”. I znów nic więcej. A pytałam pisemnie, czy mogę mieć świadka czy nie, pisałam, że chcę się pojawić z drugą osobą, prosiłam o udostępnienie tych dokumentów wcześniej. W tych sprawach nie dostałam żadnej odpowiedzi. Ostatecznie pewien ksiądz pracujący w sądzie biskupim wziął to niejako na siebie – został naszym pośrednikiem. Ta cała sytuacja uzmysłowiła mi, jak koszmarne muszą się czuć osoby zakonne, które szukają pomocy w odejściu. Poczucie winy, upodlenie, przemoc, zero zrozumienia.

Niedawno rozmawiałam z dziewczyną, teraz już po wszystkich procesach związanych z odejściem, która zadzwoniła do mnie z oddziału zamkniętego, gdzie trafiła po próbie samobójczej. Po pewnym czasie powiedziała mi, że najtrudniejsze są dla niej telefony przełożonej. Mówię: „To nie odbieraj”. „To ja mogę nie odebrać?” Takie to jest silne w człowieku! Zobowiązanie, wręcz poddanie władzy zakonnej.

No właśnie – „władza”. Dużo mówisz o nadużyciach władzy. Z czego one wynikają?

To największy problem w zakonach. W minioną niedzielę byłam na modlitwie za zranionych w Kościele. Po modlitwie odbyło się bardzo

ciekawe spotkanie z jezuitą ojcem Adamem Żakiem. Ojciec opowiadał, że robiąc różne badania, zauważył, że wzrost nadużyć wiąże się z władzą. W Polsce to jest kwestia głównie lat osiemdziesiątych, kiedy Kościół stał się autorytetem – zyskał władzę i wpływy. Myślę, że te roczniki przełożonych z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – patrząc po nazaretankach, bo nie mam dużego wglądu, jak to jest w innych zgromadzeniach – to są trudne charaktery. Kobiety w bardzo różnych, dziwnych układach, często niedojrzałe, po dziwnej formacji, wychowaniu. U nazaretanek w prowincji warszawskiej nadużycia i przemocowe zachowania dotyczyły bardzo konkretnych osób – przełożonych i mistrzyń nowicjatu. Wydaje mi się, że gdy one zaczynały, to był czas, kiedy zakonnice generalnie marginalizowano, dlatego później chciały się odbić, udowodnić, że coś znaczą. Szkoda, że kosztem innych.

Często odwołujesz się w tej rozmowie do zakonów męskich. Mówisz z pewnym podziwem czy zainteresowaniem o dominikanach, o jezuitach. Czy w zakonach męskich, które znasz, inaczej podchodzi się do rozwoju duchowego, do członków wspólnoty?

Owszem, mam przyjaciela u wspomnianych dominikanów i też nieraz się zastanawiamy nad takimi aspektami. W porównaniu z modelem, który ja poznałam, ci bracia w ogóle inaczej patrzą na życie. W moim zakonie na początku formacji, jeśli jest jakiś temat, dajmy na to – ślub czystości, i siostra nowicjuszka ma lekcję z mistrzynią, to mistrzyni mówi: „Ślub czystości to jest to i to, musisz wiedzieć to i to. Napisz sobie na ręce, zapamiętaj, już wiesz, załatwione”. A taki chłopak w męskim zakonie? Ktoś do niego przychodzi i mówi: „Jeśli chodzi o ślub czystości, to ten autor napisał tak, ten napisał tak, a tamten jeszcze tak. Poczytaj sobie i wywnioskuj”. Dla mnie to jest kolosalna różnica. Wśród sióstr nie ma

otwartości na dyskusję, na różne spojrzenia, nie ma pytania, czy prawdziwe posłuszeństwo polega na tym, że muszę spełniać każde życzenie przełożonej. Masz schemat, zasadę, wzór – zastosuj się i nie dyskutuj.

Muszę przyznać, że dopiero będąc poza zakonem, zaczęłam rozumieć śluby. Co ja do tej pory wiedziałam na temat ślubów? Złożyłam śluby wieczyste – siostry pewnie by powiedziały, że właśnie dlatego odeszłam, że nie wiedziałam, co ślubuję. Może nie wiedziałam, tylko brałam za pewnik, co mi mówiono? Czystość – że nie współżyciesz z mężczyzną i że masz niepodzielne serce dla Jezusa. Coś nam mówili, że to nie jest miłość do, tylko wolność od czy coś takiego – dużo bzdur. Nie masz szansy zrozumieć, jak to się ma ogólnie do życia. Posłuszeństwo – że słuchasz się przełożonej, bo przez przełożoną mówi Pan Bóg. Gorzej, jeśli trafisz na mściwą i małostkową przełożoną... Ubóstwo – że nie masz pieniędzy, nie masz rzeczy do własnej dyspozycji, w każdym momencie możesz oddać to, co posiadasz. A ja wyszłam z zakonu i sobie myślę: „Kurka, to nie o to chodzi!”. Dla mnie w tym momencie ubóstwo to jest prostota – żyję prostym życiem. Zarabiam miesięcznie tysiąc osiemset złotych (na pół etatu w przedszkolu), sprzęt potrzebny mi do pracy dostałam, jest skromny, podstawowy. Ubóstwo znaczy, że nie potrzebuję dużo do życia. A nie że oddaję komuś moje pieniądze...

Jaki jest teraz twój cel? Co chcesz osiągnąć?

Walczę o stworzenie jasnych procedur zgłaszania nadużyć w zakonach żeńskich. Z tego, co wiem, takich procedur nie ma. Mam przeciek, że podobno w 2017 roku w Rzymie Kongregacja do spraw Życia Konsekrowanego przygotowała takie procedury, ale do Polski to na pewno nie dotarło. Chciałabym, żeby były i żeby zwykła, przeciętna siostra mogła mieć do nich dostęp. Jak trafiasz do korporacji, to zostajesz

poinformowana, co robić, gdyby coś działo się nie tak, wiesz, do kogo się zgłosić, co możesz wskazać jako nadużycie. W zakonie też powinno tak być. Ale to pierwszy krok. Chciałam – cały czas chcę – działać szerzej.

Co to znaczy: szerzej?

Moim marzeniem jest pójście do wykluczonych w Kościele. Stworzenie dla nich domu.

Kim są wykluczeni w Kościele?

Ekksiostry, eksksięża, osoby homoseksualne, osoby w drugich związkach, żyjące bez ślubu... Jest duża potrzeba wsparcia takich ludzi, a to są peryferia Kościoła. Dla mnie bardzo dużym wstrząsem były świadectwa ludzi pod hasztagiem #teżodchodzę. Wielu z tych ludzi jak najbardziej rozumiem. Pamiętam, że właśnie wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że jestem na tej granicy: jedną nogą tu, a drugą tu. Że jak ktoś mi opowiada, dlaczego odchodzi z Kościoła, to ja często te same rzeczy, zarzuty mogę przypisać do zakonu. Powiedzieć: „Rozumiem cię, ja też tego nie wytrzymałam”. A jednocześnie w Kościele zostają. Bo przecież to są osoby wykluczone, ale nie przez Boga. Bóg nikogo nie odrzuca.

A gdybym cię dziś zapytała: po co właściwie iść do zakonu?

To nie wiem, co odpowiedzieć. Zmagam się z tym pytaniem, bo są dziewczyny, które myślą o zakonie i odzywają się do mnie. Miałam kilka takich rozmów. I mam dylemat, bo słyszę w nich autentyczne, szczere pragnienie życia z Jezusem. Wiem, że to jest prawdziwe, i nie jestem w stanie powiedzieć: „Nie rób tego”. A z drugiej strony, mam obawę, że pójdą do miejsca, gdzie zostaną skrzywdzone.

Czy jest coś dobrego, co mimo wszystko dał ci pobyt w zakonie?

Często słyszę to pytanie. Nie wiem, czy tak jest u ciebie, lecz mam wrażenie, że wielu zadających je chciałoby jakoś zrównoważyć trudności, o których mówię. Ale ja o tych trudnościach nie mówię na zasadzie: wszędzie są rzeczy dobre i złe, a ja mam ochotę punktować tylko te złe. Chcę o nich mówić głośno, bo mam wrażenie, że nie mówimy o nich we wspólnocie Kościoła. Jeśli temat się gdzieś pojawia, to po to, żeby wywołać jakiś chwilowy skandal. Chcę mówić o nieprawidłowościach w zakonach, bo uważam, że tylko jeśli zobaczymy objawy choroby, będziemy mogli postawić diagnozę, a później próbować zastosować konkretne leczenie.

Rozumiem. Pytam cię o dobre momenty, bo siostry, które są w klasztorach, często komentując odejścia i krytyczne wypowiedzi takich osób jak ty, mówią: „No, ale jak? To te siostry nie wiedziały, na co się piszą? Pamiętają tylko te złe chwile? Czyżby tych dobrych wcale przez te wszystkie lata nie było?”.

Ależ oczywiście, że były. Rozmawiałyśmy o formacji zakonnej i chcę powiedzieć, że miałam fantastyczną grupę rocznikową. I dalej wspominam moje współsiostry z ogromnym sentymentem, choć wiem, że teraz żarliwie modlą się o moje nawrócenie, bo są przerażone, że zbłądziłam. Byłyśmy kiedyś jak dobrze zgrany zespół. Ale nie taki, gdzie wszystko jest idealnie. Właśnie te różnice i zmaganie się z nimi mocno mnie ukształtowały. Ważne, że starałyśmy się żyć w dialogu. Zależało nam na tym, żeby się poznawać i lepiej rozumieć. A poza tym mam poczucie, że w tym dialogu i innych naszych działaniach zależało nam na dobru współsiostry. Dbałyśmy o siebie, po prostu. To nie był frazes.

Myślę przy tym, że dobre rzeczy, których doświadczyłam w zakonie, mogły się wydarzyć gdziekolwiek indziej. Dlatego z samym zakonem ich nie utożsamiam. Do najwspanialszych rzeczy zaliczam mieszkanie z Jezusem pod jednym dachem. Chodzi mi o to, że za ścianą miałam kaplicę, tak na wyciągnięcie ręki, bez szukania otwartego kościoła w odpowiednich godzinach. Kolejną ważną rzeczą dla mnie była przestrzeń rekolekcji. Czas, kiedy dostawałam konkretne narzędzia (jak medytacja, czytanie Słowa), które pomagały mi w szukaniu i kształtowaniu siebie. Ale naprawdę mam poczucie, że to mogło się wydarzyć gdziekolwiek indziej, bo to był wybór mojego serca. Po głębokie doświadczenie Jezusa nie trzeba wcale iść do zakonu.

To czego byś sobie życzyła w kontekście współczesnych zakonów?

Chciałabym, żeby zakony znowu były życiodajne.

A kiedyś były?

Tak, myślę, że tak. Jakiś czas temu odbyła się międzynarodowa konferencja o nazwie – w tłumaczeniu na polski – „Szesnaście dni przeciwko przemocy ze względu na płeć”, zorganizowana przez pewną niemiecką fundację. Wypowiadało się tam wiele sióstr zakonnych z różnych części świata. Wiem od znajomych, że organizatorki wydarzenia odezwały się też do polskich zakonnicek, do konsulty⁶⁰, z propozycją zaproszenia na konferencję. Usłyszały, że w Polsce nie ma problemu przemocy w zakonach. Szesnaście dni i codziennie mówiono na temat przemocy w zakonach na świecie. To było bardzo ciekawe i mocne, bo występujące siostry z różnych krajów, między innymi z Indii, Niemiec, Włoch, to są zazwyczaj naukowczynie. W naszym centrum próbujemy tłumaczyć trochę materiałów z tej konferencji na język polski. Bardzo ciekawe było, kiedy pewna siostra

powiedziała: „Mamy nadzieję, że nasza działalność będzie się szerzyć globalnie i zachęci siostry zakonne do mówienia głośno o nadużyciach oraz sprawi, że życie zakonne znów stanie się prawdziwie życiodajną drogą”. Te słowa mi towarzyszą. Ja się pod tym podpisuję.

*

Czy środowisko zakonnice widzi problemy, które opisuje Izabela Mościcka? Ciekawego wywiadu na ten temat udzieliła w 2016 roku urszulanka siostra Jolanta Olech, przez lata przewodnicząca Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych. Jako najczęstsze przyczyny odejścia sióstr siostra Olech podawała osobiste kryzysy, niewłaściwe rozeznanie powołania do życia w klasztorze, a także lęki, ambicje i rozczarowanie wobec oczekiwań, z jakimi siostra przychodziła do zakonu. „Często dochodzi do jakiegoś zmęczenia, nudy, zniechęcenia (dziś modne jest słowo »wypalenie«), człowiek się opuszcza, modlitwa oraz cała zakonna codzienność już nie smakują” – tłumaczyła siostra Olech, wskazując również na potrzebę budowania związków damsko-męskich, a także damsko-damskich przez zakonnice, które porzucają habit. Pytana o to, czy winę za odejścia sióstr z zakonu ponoszą despotyczne przełożone, odpowiadała:

Z całą pewnością są przełożeni o autorytarnych osobowościach, ale schemat, że tak dzieje się regularnie, jest prymitywnym uproszczeniem. W klasztorach nie ma tak dużo, jak się niektórym wydaje, miejsca na kultywowanie postaw i działań autorytarnych. Przełożone też mają przełożone, kompetencje, prawo, którego nie mogą bezkarnie przekraczać, a ewentualna ofiara przełożonych – ma drogę szukania pomocy aż do Stolicy Apostolskiej. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie ma problemów w tej dziedzinie mogących prowadzić do dramatu odejścia, ale

przestrzegałabym przed demonizowaniem roli przełożonych w klasztorach, i w ogóle sprawy posłuszeństwa. (...) Nie jest tak, że to przełożone są jedynie winne kryzysowi powodującemu odejście siostry. Tak jak bajką o żelaznym wilku jest twierdzenie, że posłuszeństwo w zakonie jest takim urządzeniem, które jest w stanie złamać i zgębić każdego człowieka. To nieprawda, w dzisiejszych czasach dziesięć razy pyta się siostrę, czy chce i czy jest gotowa podjąć konkretne zadania. Są sytuacje nadzwyczajne, że ktoś tego nie zrobi, ale to wyjątki⁶¹.

⁴⁸ <https://pomocdlasiostr.pl/> (dostęp: 5.01.2023).

⁴⁹ <https://open.spotify.com/episode/1XQevRpjBbVsTtHpmx0Tjd> (dostęp: 5.01.2023).

⁵⁰ <https://magazynkontakt.pl/bolesna-prawda-zakonow-zenskich/> (dostęp: 8.01.2023).

⁵¹ Ta i inne historie sióstr zakonnych znajdują się na stronach internetowych Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym, <https://pomocdlasiostr.pl/zakazana-kawa/> (dostęp: 6.01.2023).

⁵² <https://wspolnotabaranka.org/male-siostry-baranka/> (dostęp: 8.01.2023).

⁵³ <https://pomocdlasiostr.pl/rewizja-zycia/> (dostęp: 6.01.2023).

⁵⁴ Dominikanin Paweł M. został skazany na cztery lata więzienia za gwałt na siostrze zakonnej. Wyrok nie jest prawomocny. Równoległe do sprawy toczy się postępowanie kanoniczne. O wyroku w sprawie poinformował w mediach społecznościowych Tomasz Terlikowski, który kierował pracami powołanej przez dominikanów niezależnej komisji badającej sprawę zakonnika. „To kolejny ważny krok w drodze przywracania elementarnej sprawiedliwości” – ocenił. Według ekspertów prowadzona przez Pawła M. w latach 1996–2000 wrocławska Wspólnota Świętego Dominika była oparta na mechanizmie psychomanipulacji. Dochodziło w niej do przemocy fizycznej i nadużyć seksualnych, miała też wszystkie cechy sekty, https://www.rmfm24.pl/regiony/wroclaw/news-dominikanin-pawel-m-ktory-stworzyl-sekte-zostal-skazany-za-g,nId,6303998#crp_state=1 (dostęp: 7.01.2023).

⁵⁵ Rozmowa z jezuitą ojcem Jackiem Prusakiem, <https://deon.pl/kosciol/jacek-prusak-sj-pawel-m-jest-geniuszem-za-rozmowa,1478144> (dostęp: 7.01.2023).

⁵⁶ <https://dominikanie.pl/video/chlebak/> (dostęp: 7.01.2023).

⁵⁷ Więcej: <https://www.nazaretanki.org/bl-franciszka-siedliska> (dostęp: 7.01.2023).

⁵⁸ Indult sekularyzacyjny prawnie udzielony i przyjęty przez osobę odchodzącą z instytutu zakonnego zawiera dyspensę od wszystkich złożonych ślubów oraz obowiązków wynikających z dyspensy. W instytucie zakonnym na prawie papieskim indult sekularyzacyjny może wystawić Stolica Apostolska, a na prawie diecezjalnym – również biskup diecezji, na której terenie znajduje się dom zakonny ubiegającego się, <https://www.nm-adwokat.pl/przeszkoda-profesji-zakonnej.html> (dostęp: 8.01.2023).

⁵⁹ Misją Fundacji Świętego Józefa Konferencji Episkopatu Polski jest ochrona dzieci i młodzieży we wspólnocie Kościoła katolickiego oraz budowanie efektywnych struktur pomocy wspierających uzdrowienie osób zranionych i zapobieganie kolejnym przestępstwom wykorzystania seksualnego, <https://fsj.org.pl/> (dostęp: 8.01.2023).

⁶⁰ Rada przedstawicielek wyższych przełożonych zakonów i zgromadzeń żeńskich.

⁶¹ Wywiad dla Katolickiej Agencji Informacyjnej z siostrą Jolantą Olech, urszulanką ze Zgromadzenia Serca Jezusa Konającego, wieloletnią przełożoną generalną, obecnie sekretarzem Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych, https://www.zyciezakonne.pl/opinie/wywiady/wywiad-jak-odchodza-zakonnice-56808/?fbclid=IwAR0G-ZD5mnuy_UOi2NeimPec9UDaS78OIUSnempzR6-J9OeJiIFyU9SOkAQ (dostęp: 8.01.2023).

**NIE CZUJEMY SIĘ
SUPERMENKAMI**

Żarki-Letnisko – niewielka miejscowość położona w gminie Poraj niedaleko Częstochowy. Dookoła malownicze tereny, piękne lasy. To rejon, który – jak czytam w Wikipedii – od lat sześćdziesiątych słynie z dobroczynnych właściwości żywic sosnowych, stosowanych wspomagająco w leczeniu astmy i chorób płuc.

Gdy wysiadam z samochodu po prawie trzygodzinnej podróży z Warszawy, rzeczywiście jakoś lżej oddycham, patrząc na drewniany dom przy ulicy Grzybowej 26.

Przez furtkę wchodzi ubrana w świecki strój kobieta. Otwiera jej zakonnica, w której habicie majestatycznie powiewa brązowy szkaplerz karmelitanek.

– Dobrze pani trafiła, to tutaj, zapraszamy – dostrzega mnie i prowadzi do ogrodu.

To siostra Augusta, jedna z założycielek Wspólnoty Sióstr Karmel Ducha Świętego. Stowarzyszenie formalnie istnieje pod jurysdykcją arcybiskupa metropolity częstochowskiego Wacława Depo od drugiego lutego 2015 roku. Jednak historia wspólnoty zaczęła się już dziesięć lat temu, za sprawą pięciu sióstr, które odeszły ze Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus.

To nie było tak, że miałyśmy pomysł na to, by powstała nowa wspólnota. W zgromadzeniu, w którym byłyśmy, poprosiłyśmy o możliwość tworzenia domu modlitw. Mogłyby w nim zamieszkać siostry, które taką wspólnotę chciałyby tworzyć. Byłaby to wspólnota szczególnie oddana modlitwie, która nie podejmowałaby takiego apostołstwa na zewnątrz jak katecheza czy posługa w parafii, bardziej byłaby nastawiona na to, żeby towarzyszyć innym na drodze modlitwy, przyjmować rekolektantów na indywidualne prowadzenie. (...) ostatecznie decyzja była taka, że jeżeli w taki sposób pragniemy żyć, to jest to

znak, że Duch Święty chce, żeby powstała nowa wspólnota w Kościele. Dlatego miałyśmy taki wybór: albo zostajemy i żyjemy jak do tej pory, albo wychodzimy, żeby tworzyć nową wspólnotę⁶²

– czytam wypowiedź jednej z sióstr w rozmowie zamieszczonej na stronie internetowej wspólnoty.

Budynki chowają się w zieleni lasu i pięknego, wypielęgnowanego ogrodu. Siostry skrupulatnie relacjonują etapy jego powstawania. Moją uwagę zwracają małe drewniane domki, których jest kilka. To przystosowane do osobistych rozmów „jeden na jeden” gabinety. Kojarzą mi się z pokojami terapeutycznymi.

– My mówimy raczej: rozmównica. Niektórzy twierdzą, że to wygląda jak sauna – śmieje się siostra Augusta. – Zbudowałyśmy te domki same. Chcemy mieć tu warunki do swobodnej rozmowy z uczestnikami rekolekcji, z gośćmi i z młodszymi siostrami. Odpowiednią przestrzeń do indywidualnego bycia z drugim człowiekiem.

Siadamy przy wspólnym stole w najstarszym z domów, w których mieszkają siostry. Każda ma swój pokój – swoją celę, modlą się w kaplicy, posiłki jedzą wspólnie, razem gotują, sprzątaj. We wspólnocie jest dziewięć sióstr, ja poznaję sześć: trzy z grona założycielek – siostry Augustę, Jonatanę i Walterię – oraz trzy w formacji początkowej: siostry Marię, Patrycję i Karolinę.

– Zgodziłyśmy się na tę rozmowę, bo zaintrygował nas temat książki – tłumaczy siostra Augusta. – Chcemy mówić dobrze o posłuszeństwie.

Pierwszy wątek związany z posłuszeństwem, który nasuwa się w rozmowie z siostrami ze Wspólnoty Karmel Ducha Świętego, to ich... nie-posłuszeństwo, bo przecież odeszły ze zgromadzenia, gdzie złożyły śluby.

O tym odejściu oraz o swoim obecnym statusie siostry opowiadają oszczędnie. Nazywają się wspólnotą, bo do formalnego uznania ich za instytut życia zakonnego droga daleka. Złożyły biskupowi wszystkie potrzebne do tego dokumenty. Wiedzą, że biskup przychylił się do ich prośby i wysłał ich wnioszek do Watykanu. Kiedy odpowiedź? Nie wiadomo.

– Traktujemy naszą wspólnotę jako kontynuację naszego wcześniejszego życia powołaniem. Mamy wieloletnie doświadczenie życia zakonnego – tłumaczy siostra Augusta. – Nie musimy być uznane za założycielki. Oцени to historia.

Pytam, czy ich przełożonym w poprzednim zgromadzeniu nie było trudno zaakceptować ich decyzji o odejściu.

– Na pewno nie było to łatwe – wspomina siostra Augusta. – Po ludzku mógł się pojawić jakiś żal: ktoś odchodzi, to znaczy, że w jakiś sposób mnie ocenia, to, czym żył dotychczas, uznaje za niewystarczające. Ale my nie odchodziłyśmy przeciwko komuś, tylko dla kogoś – dla Boga i dla wierności pragnieniom, które w nas trwały i które odczytywałyśmy jako odpowiedź Ducha Świętego na współczesne potrzeby człowieka. Jesteśmy siostrami i próbujemy żyć zgodnie ze swoim sumieniem. W historii Kościoła zdarzało się i wciąż się zdarza, że dla kogoś, kto jest przełożonym, czyje decyzje wpływają na twoje życie, słuchanie Boga nie jest pierwszą motywacją. Sprawdza się jednak to, że Bóg się o nas troszczy. Nawet gdy jesteś posłuszna komuś takiemu, Bóg jest większy od niego. Zatroszczy się i wyciągnie dobro z całej sytuacji. W naszym przypadku obie strony – i nasze były władze, i my – były przekonane, że rozeznają wolę Bożą i idą za nią. Wielu nie wierzyło, że uda nam się założyć wspólnotę. Nierzadko, gdy komuś o niej opowiadałyśmy, padało pytanie: „Jaki ksiądz was

założył?”. A kiedy mówiłyśmy, że to nie żaden ksiądz, tylko my same, pięć zakonnic, kończyła się rozmowa.

– Obecnie mówi się dużo o klerykalizmie, o patriarchalizmie w Kościele – zauważam.

– Tak – odpowiada siostra Jonatana. – Mam wrażenie, że wciąż zapomina się o czymś, co się działo od pierwszych wieków chrześcijaństwa: o wymianie między kobietami a mężczyznami w Kościele. Możemy wzajemnie od siebie czerpać, wchodzić w dialog.

– „Kobietą i mężczyzną stworzył ich Bóg”, a nie mężczyzną, potem długo, długo nic, i dopiero: kobietą – wtrąca siostra Augusta.

– My doświadczamy tej wymiany darów między kobietami konsekrowanymi a mężczyznami – kontynuuje siostra Jonatana. – Korzystamy z towarzyszenia naszych księży diecezjalnych, jezuitów, dominikanów, franciszkanów i same posługujemy w towarzyszeniu młodym klerykom albo młodym kapłanom, a także mężom i samotnym mężczyznom. Księża powinni nabywać wrażliwości na sprawy kobiet, uczyć się otwarcia. Bo jak potem mają towarzyszyć kobietom w konfesjonale, jeśli nie traktują ich z szacunkiem, zrozumieniem i z otwartością, tylko z lękiem?

Czy siostry mają poczucie tworzenia czegoś wyjątkowego? Czy ich otwartość i zaproszenie do dialogu dla wszystkich, którzy chcą go podjąć, to opowieść o odnowie Kościoła? Odnowie, której sprawczyniami są kobiety...?

Siostra Augusta:

– Nie czujemy się supermenkami, nie mamy misji odnowy. Raczej mamy nadzieję, że robimy to, czego chce od nas Bóg. Bardzo nas cieszy, jeśli znajdujemy potwierdzenie tego w słowach kolejnych papieży. Cieszymy się, że wpisujemy się w to, co Kościół chce dać światu.

Siostra Walteria:

– Benedykt XVI mówił o tym, że potrzebujemy wysp, na których będzie autentyczne życie duchowe, życie modlitwy i wiary. Od wielu lat czujemy, że takie jest właśnie nasze powołanie: tworzenie tych wysp, tak próbujemy żyć w naszej wspólnocie.

Siostra Jonatana:

– Nasze działanie jest w pewien sposób pionierskie. Nazwałabym je przecieraniem szlaków w Kościele przez kobiety, które mają w sobie geniusz towarzyszenia aż na krańce ludzkich dusz. Mamy do tego zdolności, potencjał, my, kobiety – takie jest nasze przekonanie, z całą pokorą i skromnością. Wiemy, w co Bóg nas wyposażył, i chcemy tym obdarować cały świat. Tylko że ten cały świat jest w jednostce, w indywidualnym człowieku. Odejście z poprzedniego zgromadzenia jest dla nas wiernością Chrystusowi. W takim kontekście można mówić o odnowie i o nieustannym wsłuchiwaniu się w znaki czasu, rozpoznawaniu ich.

Inspirację do działania siostry znajdują u świętej Teresy z Ávili – hiszpańskiej mistyczki, reformatorki zakonu karmelitańskiego.

– Teresa podkreślała rolę małych wspólnot i zawsze chciała, żeby były one czymś, co zadowoli Boga – tłumaczy siostra Walteria. – Chcemy być tym małym „czymś” [hiszp. *algo*], co Bogu się podoba, aby mieć udział w leczeniu ran świata, jak pisał generał zakonu karmelitańskiego ojciec Saverio Cannistrà. Oczywiście życie we wspólnocie nie jest proste, jest to droga radości, ale i trudów. Niektórym wydaje się, że żyjąc w ten sposób, coś tracimy, a my zyskujemy po stokroć więcej. Podkreślała to Teresa, mówił to Jezus. Kiedy w Ewangelii Piotr pyta: „My, którzy opuściliśmy wszystko – co otrzymamy?”, Jezus odpowiada: „Stokroć więcej

otrzymacie, już w tym życiu”⁶³. My też czujemy, że każdy nasz trud Bóg wynagradza po stokroć.

W swoich opowieściach siostry wielokrotnie odnoszą się do nauczania papieży. Wymieniają Jana Pawła II, Benedykta XVI, Franciszka, nazywając ich nauczanie swoim kompasem.

Siostra Augusta:

– Ludzie dziwią się, kiedy cytujemy na przykład papieża Benedykta; słyszymy: „Naprawdę to jego słowa, on tak powiedział?”. Media przedstawiają go i interpretują jego przesłanie w konkretny sposób, niekoniecznie zgodny z tym, co naprawdę można znaleźć w jego pismach. Podobnie jest z Janem Pawłem II czy Franciszkiem.

Siostra Jonatana:

– To Benedykt XVI powiedział, że chrześcijaństwo jest terapeutyczne poprzez bezinteresowne słuchanie. Jego słowa są dla nas prorocze. Możemy wręcz powiedzieć, że Benedykt XVI to jest nasz mistrz i nauczyciel wiary. I to też się wpisuje w tajemnicę posłuszeństwa Kościołowi – tak, jesteśmy posłuszne pasterzom Kościoła. W tym, że jesteśmy posłuszne Piotrowi naszych czasów, czyli papieżowi, jesteśmy posłuszne Chrystusowi. On ukierunkowuje nasze życie.

Siostra Maria:

– To, co mnie mocno dotknęło w słowach Benedykta, to przesłanie jeszcze z lat osiemdziesiątych. Ratzinger mówił wówczas o przyszłym człowieku – czyli o nas dziś – że to będzie człowiek bardzo rozwinięty w swojej samowystarczalności, a jednocześnie niewyobrażalnie samotny. Prorokował, że będziemy poszukiwać wspólnot, czyli miejsc, w których pocujemy się jak w domu. Przecież to właśnie dzieje się z nami teraz! Ludzie, którzy odwiedzają nasz dom, mówią właśnie tak: „Czujemy się tutaj jak w domu”. Ja ich rozumiem, bo gdy tu przyjechałam, też się tak

poczułam, niemal od razu, od przejścia przez ten próg. Mogę tu usiąść ze wszystkimi przy jednym stole. Każdy jest tu przyjęty, chciany, nikt nikogo nie ocenia. Mówiąc w uproszczeniu, wywodzę się z pokolenia singli – ludzi, którzy chcieli podbijać świat, mieli świetne mieszkania, oczywiście na kredyt, fajną pracę, mogli sobie kupić to czy tamto, mieli mnóstwo przyjaciół. Ale przy tym wszystkim byli ogromnie samotni i smutni, odczuwali pustkę duchową. To doświadczenie jest mi bliskie. Wierzę, że ta wspólnota może dać ludziom zaspokojenie pewnych braków. Moje pokolenie uznało, że możemy wiele rzeczy osiągnąć sami, w ten sposób odwróciliśmy się od relacji i od zależności. Dla mnie życie we wspólnocie jest przypomnieniem, jak bardzo jesteśmy zależni od siebie. Zrozumiałam, że można daleko postąpić w niezależności, ale w ten sposób traci się to, co najważniejsze – miłość wzajemną, braterstwo, bliskie, a więc życiodajne, relacje.

Dla wątpiących w to, dlaczego otwarte i światłe kobiety wybierają życie poddane rygorowi, zasadom, ślubom, wyrzeczeniom, siostry mają bardzo prostą odpowiedź.

Siostra Augusta:

– Bez wiary w Boga nie da się tego zrozumieć. Często, gdy mowa o posłuszeństwie zakonnym, skupiamy się na tym, że siostra musi pytać o pozwolenie na kupienie butów, ma powiedziane, jakiego garnka użyć do gotowania, gdzie ma siedzieć i jak chodzić ubrana, musi pytać, czy może wyjść z domu. Robi się wtedy wielkie oczy i uznaje to za nieludzkie. Zapomina się, że każde życie jest pełne podporządkowania: i w rodzinie, i w pracy. W posłuszeństwie zakonnym istotą nie są sprawy, które wymieniłam. One dają codzienne ćwiczenie umiejętności podporządkowania się, są kwestią organizacji codziennego życia. Istotą posłuszeństwa jest natomiast słuchanie i wypełnianie woli Bożej, która jest

Miłością. Szukamy jej, słuchając Boga na modlitwie i słuchając siebie nawzajem. W codzienności rytm ten wyznacza nam plan dnia. W nadzwyczajnych chwilach, wymagających ważnych decyzji, spotykamy się, rozmawiamy i poświęcamy więcej czasu na modlitwę. Życie zakonne ma wymiar proroczy, w tym sensie, że mamy prorokować każdemu ochrzczoneму, co jest w życiu najważniejsze. Swoim życiem wspólnoty mają wołać: najważniejsza jest modlitwa (miłość Boga) i relacje z ludźmi (miłość bliźniego)! Do takiego posłuszeństwa powołany jest każdy ochrzczone, a nawet więcej, każdy człowiek. Jeśli moje codzienne podporządkowanie planowi, wydarzeniom, innym ludziom nie wynika z wiary i miłości Boga i człowieka, to wcześniej czy później zacznie mnie denerwować i wypalać. Najpierw będą mnie drażnić szczegóły, potem większe wymagania, aż w końcu zacznę w posłuszeństwie widzieć absurd – tak jak postrzegają to nieraz obserwatorzy z zewnątrz, niekoniecznie patrzący na życie zakonne przez pryzmat wiary. W najgłębszym rozumieniu posłuszeństwo jest naśladowaniem Jezusa, który był posłuszny Bogu. Robieniem tego, co Boga zadowoli – właśnie tak, jak mówiła święta Teresa.

Siostra Jonatana:

– Żeby głęboko wejść w posłuszeństwo Bogu, muszę uznać, że Bóg mówi do mnie przez drugiego człowieka, każdego, który tu przyjeżdża, ale przede wszystkim przez siostry, z którymi buduję wspólnotę. Bóg działa w drugim, który jest inny ode mnie. Temu innemu muszę się pozwolić zakwestionować, żeby być blisko Boga. Posłuszeństwo rozumiem jako dawanie posłuchu każdemu „innemu”. Rozeznaję, czy przez niego Bóg czegoś ode mnie nie wymaga. Gdy moje siostry zadają mi jakieś pytanie, pochylam się nad nim, bo dla mnie to również oznacza rozwój. Chcę być w permanentnej formacji.

Siostra Walteria:

– To jest podobne do procesu kształcenia słuchu. Musisz wykonać milion ćwiczeń, żeby usłyszeć prawdziwy, czysty dźwięk. To nie działa tak, że nie ćwiczysz się w słuchaniu, a nagle doskonale słyszysz. Jeśli nie nasłuchujesz Boga we wszystkim, w małych sprawach, nie usłyszysz, gdy do ciebie przemówi w wielkiej chwili. Potrzeba lat praktyki.

No właśnie – lata praktyki... A jak czują się te, które w zakonie żyją nie od kilkunastu, lecz od dwóch, trzech, pięciu lat? W czasie formacji mogą w każdej chwili zrezygnować i bez konsekwencji wyjść ze wspólnoty, mówiąc: „To nie dla mnie”. Co je tu trzyma?

Kiedy zostaję sam na sam z młodszymi siostrami, przebywającymi jeszcze w formacji, wciąż nie mogę się powstrzymać od pytań, dlaczego bystre, otwarte dziewczyny w moim wieku decydują się odejść od świata zewnętrznego i dobrowolnie poddać się wymaganiom zakonnego życia. Wśród moich rozmówczyń są dwie byłe nauczycielki i psycholożka. Dopytuję, skąd taki wybór, by zawierzyć swoje życie Jezusowi, rezygnując jednocześnie ze związku, z relacji z przyjaciółmi, z pracy, z wygodnego mieszkania, z wizji założenia rodziny.

Siostra Karolina:

– Zanim wstąpiłam do wspólnoty, rozeznawałam drogę swojego powołania. Przez rok jeździłam do różnych miejsc, poznawałam rozmaite charyzmaty. Na początku szukałam w kręgach dominikańskich, bo do nich było mi najbliżej. Rzuciłam pracę, mimo że wciąż nie wiedziałam, do jakiej wspólnoty mam iść. Przyjechałam na kolejną rozmowę z siostrą Augustą i pomyślałam: „Jejku, to jest chyba to! Chyba to jest Karmel Ducha Świętego!”. Poczułam, że moje serce chce tu zostać. Szukałam w innych miejscach i cieszę się z tego, bo moje powołanie weryfikowało się podczas tego roku i dziś jestem pewna swojego wyboru.

Siostra Patrycja:

– Początkowo chciałam iść do misjonarek miłości, czyli kalkutanek – to radykalna wspólnota, ale bardzo mnie do niej ciągnęło. Posługiwałam wśród ubogich, chciałam pomagać osobom bezdomnym. Pojechałam do sióstr w Katowicach na dwa tygodnie na tak zwane *come and see*. Mogłam w tym czasie zobaczyć, jak i czym żyją. Myślałam też o dominikankach. Okazało się jednak, że to nie są „te” miejsca. Na drodze poszukiwań i rozeznawania ostatecznie trafiłam do Karmelu. Noszę w sobie przeświadczenie, że pragnienie, które ma wobec mnie Bóg, połączyło się z moim wewnętrznym pragnieniem pełnienia Jego woli. Bóg znalazł dla mnie dom.

Siostra Maria:

– Ja raczej rozeznawałam, czym w ogóle jest powołanie, droga życia zakonnego, i przyglądałam się kilku miejscom pod tym kątem. Czułam, że moje powołanie nie polega tylko na wezwaniu do pójścia za Jezusem, ale też od razu do konkretnej wspólnoty.

Historia życia siostry Marii wydaje mi się zaskakująca. Zanim wybrała – jak mówi – drogę życia zakonnego, była psychoterapeutką i psycholożką chrześcijańską. Zajmowała się indywidualną psychoterapią, pod szyldem „Żyj po Bożemu” prowadziła warsztaty, spotkania, organizowała konferencje, we współpracy z dominikanami miała na You-Tubie serię wykładów. Pierwszy odcinek, zatytułowany *Wezwani do życia w prawdzie*, ma ponad sześćdziesiąt tysięcy wyświetleń. Psycholożka w zakonie? – dziwię się, lecz siostry Augusta i Jonatana przekonują mnie, że jej obecność w takim miejscu nie powinna zaskakiwać.

– Są siostry, które w swojej posłudze wykorzystują wykształcenie nie tylko teologiczne, ale i psychologiczne. My też jesteśmy po studiach podyplomowych z antropologii i psychologii. Ceny sobie wiedzę zdobytą

u jezuitów. Wiedza teologiczna i psychologiczna są jak najbardziej do pogodzenia, gdy ta ostatnia poważnie traktuje antropologię chrześcijańską.

– Kiedy zdecydowałam się na zakon, od niewierzących rówieśników słyszałam pytanie, jak mogę zostawić wszystko, co mam – przyznaje siostra Maria. – W tej reakcji był duży nacisk na to, co się posiada – ludziom trudno było pojąć, jak mogę zostawić to, co osiągnęłam i czego się dorobiłam. Z kolei moi wierzący znajomi reagowali pozytywnie, niektórzy wręcz twierdzili, iż wiedzieli, że „tak się to skończy”. Była radość, dzielenie mojego entuzjazmu, dopytywanie, zaciekawienie. Dla mnie Wspólnota Karmel Ducha Świętego okazała się puzzlem dopełniającym układankę mojego życia. Wszystko się wyjaśniło i zwięźzło, a jednocześnie zaczęła się zupełnie nowa przygoda.

Patrzę na spokojne i uśmiechnięte twarze trzech pięknych, inteligentnych dziewczyn. Oczywiście wydawałaby się dla nich droga budowania relacji z drugą osobą. Związek? Ślub? Bliskość mężczyzny? Czy w zakonnej codzienności odczuwają ich brak?

Siostra Maria:

– To koszt, który się ponosi, nie da się tego ukryć. Wstępując do zakonu, rezygnuję z wymiaru *stricte* ludzkiego, cielesnego, z bliskości fizycznej i emocjonalnej z mężczyzną. Pewnie każda z nas musi sama określić, na ile to jest dla niej brak. Ja go na co dzień nie odczuwam. Sporadycznie przychodzi jakaś myśl, refleksja. Nigdy nie może być tak, że kobieta idzie do zakonu, bo ma awersję do mężczyzn. To żadna motywacja. Mamy dyspozycje do relacji, mamy potrzeby bliskości, macierzyństwa. To w nas jest, mamy taką zdolność, w związku z czym możemy doświadczać pewnego braku. Ale my go podnosimy z poziomu ludzkiego do poziomu nadprzyrodzonego, do Jezusa, i prędzej czy później ten brak zostaje zaspokojony. To Jezus jest naszym Oblubieńcem, tym, komu jesteśmy

oddane. Uczymy się znosić różne ludzkie niedostatki i wnosimy je w relację z Nim. Jeśli wiem, że oddaję mój brak Chrystusowi, przestaje on być dojmujący.

Siostra Karolina:

– Mam doświadczenie relacji z mężczyzną i pamiętam dobrze, że jest ona w pewien sposób ograniczona. Jest satysfakcjonująca, oczywiście, wypełnia pewne braki, ale tylko do określonego punktu. Jeśli czasem przychodzi mi myśl, jak fajnie byłoby iść z kimś na randkę, wtedy mam w pamięci, że to jest cudowne, ale dla mnie niewystarczające. I z radością wchodzę w codzienność, która czasami jest trudem. Jeśli podejmiesz decyzję, że wybierasz takie życie ze względu na jakieś dobro, ze względu na Chrystusa, to nie żyjesz tęsknotą za czymś, co utraciłaś. Dokonując wyboru, zyskujemy wolność, cały czas poznajemy Jezusa i mówimy: „To Ciebie wybieram, Ciebie kocham, dla Ciebie tu jestem”. Jest wiele momentów w codzienności, w których odnawiamy tę miłość i w niej się utwierdzamy. Nie ma zbyt wiele czasu, by zastanawiać się nad brakiem, chociaż prawdą jest, że może się on czasem pojawić, na przykład w kwestii macierzyństwa. Ale weźmy pielęgniarkę, która jest singielką, żyje sama, bo zdecydowała się oddać całe swoje życie pacjentom. Ona nie żyje tęsknotą, nie żyje w zawieszeniu, co jest biedą naszych czasów – bycie singlem i ogniskowanie się cały czas na braku relacji. To odbiera szczęście. Ona jest szczęśliwa, bo wybrała oddanie swojego życia innym. Tak jak my.

– Znasz jakąś szczęśliwą singielkę? – pyta mnie zaczepnie siostra Patrycja. – Ale tak naprawdę szczęśliwą i spełnioną? Ja nie znam. To jest cierpienie moich przyjaciółek i koleżanek, które nie są szczęśliwe. W tym cały problem. Rozumiem, jeśli któraś samotność wybiera. Albo jeśli zakłada, że czeka na męża, bo wie, że chce go mieć – wtedy jest cierpienie, ale i oczekiwanie. Są jednak osoby, które w ogóle nie wiedzą, dlaczego są

same, tułają się, są nieszczęśliwe. Są blisko Boga, więc mogłyby wybrać i życie zakonne, i małżeństwo – tylko nie są w stanie tego rozeznąć. To cały wielki temat: rozeznawanie powołania. Powołanie da się rozeznąć, tylko trzeba podjąć intensywną modlitwę, pracę nad sobą i otworzyć się na towarzyszenie duchowe.

A co na to mówią bliscy? W dzisiejszych czasach – czasach wielu możliwości rozwoju, również duchowego – pójście tak kategoryczną drogą jak zakon może być trudne do zrozumienia chociażby dla rodziców moich rozmówczyń. „Rodzice widzą, że jestem szczęśliwa, i to jest dla nich najważniejsze” – siostry powtarzają to zdanie niemal chórem, choć u każdej rozmowa z rodzicami i ich przyzwyczajanie się do wizji córki w zakonie wyglądały nieco inaczej.

Siostra Patrycja:

– Tata powiedział tylko, że za rok wrócę. Kiedy minął rok, powiedział: „Już nie wróci”. Dla rodziców to było ciężkie przeżycie, jednak w pewnym momencie zaakceptowali moją decyzję. Mama zawsze podkreśla, że moje szczęście jest jej szczęściem, a tata uspokoił się, kiedy zobaczył, że odnalazłam spokój. Po dziesięciu latach tułania się, wyjazdów, prób zobaczył, że jest miejsce, z którego nie wracam, którego nie zmieniam, stałe, bliskie mi – to był dla niego sygnał, że jego dziecko znalazło swoje miejsce, i teraz się z tego cieszy.

Siostra Karolina:

– Moi rodzice najpierw byli zatrwożeni, bo nie wiedzieli do końca, o co mi chodzi. Później się oswoili z moją decyzją, zobaczyli, w jak bezpiecznym miejscu jestem, poznali siostry. Myślę, że po okresie ich zmagania się z rzeczywistością mogę teraz powiedzieć, że są ze mnie dumni. Szczególnie mój tata. Ciekawa jest też reakcja moich znajomych z pracy, szczególnie tych niewierzących. Wiele osób było pozytywnie

poruszonych moim wstąpieniem do zakonu. Do tej pory wyrażają zaniepokojenie. Zakon to jest jakieś wyłamane się z konwencji. Jego wybór stawia pytania, może trochę inspiruje. Zaczęłam zauważać, że wielu osobom, z którymi wcześniej nie miałam bliskiego kontaktu, jest dziś do mnie bliżej. Coś ich wewnętrznie porusza, chcieliby mieć odpowiedzi na pewne pytania i być może oczekują, że znajdą je w moim wyborze.

Kiedy o reakcji rodziców zaczyna opowiadać siostra Maria, sypią się żarty.

– Jeśli chcę się dowiedzieć, co u mojej mamy, pytam siostry! Regularnie nas odwiedza, nie tyle ze względu na mnie, ile sama dla siebie. Nieraz mówi, że bardzo korzysta, będąc tutaj, mogąc się tu modlić. Ale nie zawsze było jej łatwo. Po początkowym entuzjazmie przyszedł moment trwogi. Dopiero gdy wypowiedziała wszystkie swoje wątpliwości, zaczęła tu bywać, poznała bliżej siostry. Przyjechała raz, drugi, trzeci i zakochała się w tym miejscu. Jeśli rodzice mają w sobie dość otwartości i nie narzucają dziecku swojego planu, przyjmą jego decyzję, widząc, że dziecko jest szczęśliwe. Tak się stało z moją mamą.

Pytam siostry o ich obecność w mediach społecznościowych. Są młode, łatwo im zrozumieć specyfikę dzisiejszego świata, w którym chcemy mieć szybki dostęp do różnych informacji, a opowiadanie o życiu zakonnym w sieci może nie tylko przysporzyć siostronom zainteresowania, ale również pomóc im znaleźć wsparcie finansowe, co dla zakonu utrzymującego się z jałmużny wydaje się niezwykle istotne.

– Czasem wrzucamy coś na YouTube'a, o TikToku na razie nie myślimy, chociaż wiemy, że Facebook jest dla emerytów, a TikTok dla młodych – śmieje się siostra Patrycja. – Okazuje się jednak, że nasz tryb życia nie pozwala nam na zbytne angażowanie się w tworzenie treści. Plan dnia mamy ogromnie wypełniony. Priorytetem jest dla nas bycie na

wspólnych modlitwach, w tym na dwóch godzinach modlitwy wewnętrznej, plus posługa w domu, czyli przyjmowanie rekolektantów, gości, gotowanie, głoszenie – jeździmy na spotkania, konferencje. Z zewnątrz może się wydawać, że nic nie robimy, ale naprawdę w naszym planie nie ma gdzie szpilki wsadzić!

Podczas rozmowy z siostrami ze Wspólnoty Karmelu Ducha Świętego niejednokrotnie łapię się na wspomnieniu słów Izy Mościckiej, niegdyś siostry Nazarii. Jej wielkim marzeniem jest, by – jak mówi – zakony znowu były życiodajne. Tej życiodajności zdaje się nie brakować w Żarkach-Letnisku.

Siostra Augusta:

– Życiodajność znajduje się w kontemplacji i w szczerych relacjach. Żeby być otwartym i gościnnym, żeby móc słuchać innych, musimy pielęgnować życie we wspólnocie. Dla nas pierwszym zadaniem jest więc inwestycja w relacje między nami. Bez tego ani rusz. Modlitwa, relacja z Bogiem i relacje między sobą – to musi być szczere i głębokie. Dzielenie życia, wzajemne słuchanie się, wzajemne przyjmowanie, zwyczaje, których być może nie ma już w wielu rodzinach: wspólne posiłki, rozmowy, wspólne oglądanie filmu i rozmowa o nim, wspólne wyprawy, wzajemne dopingowanie się – to wszystko jest bardzo istotne. Towarzystwo sobie nawzajem w szczerości i życzliwym zaangażowaniu przekłada się na codzienne życie. Do tego dochodzi modlitwa, czyli żywa, zaangażowana relacja z Bogiem. Dopiero to może zaowocować tym, że będę w stanie przyjąć kogoś z zewnątrz. Być może tego brakuje we współczesnych wspólnotach zakonnych? Wiele zgromadzeń jest nastawionych od razu na apostołstwo, na prowadzenie dzieł. A żeby robić to mądrze i z pożytkiem dla ludzi, trzeba zacząć od siebie, od relacji wewnątrz wspólnoty.

⁶² <https://karmelduchaswietego.pl/2017/09/11/wywiad-ktory-ukazal-sie-w-ogniu-jezusa/>
(dostęp: 8.07.2023).

⁶³ Zob. Mt 19, 27–20.

**O CO MAM SIĘ
AWANTUROWAĆ?**

A jeśli wejdę tam i nie wyjdę? No nie, to absurd! Ale przecież mówi się o klasztornych celach, a to jest stary zakon ze średniowiecznymi korzeniami. A jeśli będą mnie nawracać na siłę? Może będzie mrocznie i przygnębiająco, a do tego dziwnie niezręcznie, jeśli nie będę uczestniczyła we wszystkich modlitwach? No i ciekawe, jak wygląda klasztorna furta. Pewnie jest wielka, przytłaczająca, a zamyka się ją na trzeszczący przy przekręcaniu mosiężny klucz?

Z zestawem takich myśli jadę do Żarnowca, gdzie od 1946 roku w klasztorze mieszkają mniszki benedyktyнки. Początki żarnowieckiego klasztoru sięgają o wiele dalej – w 1240 roku oliwscy cystersi zaczęli tam budować „siedzibę mniszek blisko jeziora”, jak pisano w dokumentach z tamtego czasu⁶⁴.

Jadę tam na spotkanie z uważaną przez wielu – nie tylko przez zakonnice – za postać kultową siostrą Małgorzatą Borkowską. Na wywiad zgadza się zaskakująco szybko. Mailujemy, co też przyprawia mnie o lekkie zakłopotanie. O przeszło osiemdziesięcioletniej mniszce z zakonu klauzurowego miałam chyba – jak widać, niesłusznie – nieco mniej nowoczesne wyobrażenia.

To, co istotnie na początku przytłacza wielkością, to nie klasztor, lecz kościół pod wezwaniem Zwiastowania Pana w Żarnowcu. Dojeżdżam na miejsce po południu, kiedy promienie zachodzącego niechętnie słońca usilnie próbują rozjaśnić malownicze witraże wysoko w oknach. U jego podnóży cicho przycupnął cmentarz. Rozglądam się za mityczną klasztorną furta. Gdzie jest przepastny budynek klasztoru? Czyżby GPS źle mnie poprowadził? Sprawdzam kilkakrotnie – jestem na miejscu. Spaceruję dookoła kościoła. Mijam budynki parafialne, idę w stronę niewielkiej bramy, schowanej w cieniu budzącej respekt kościelnej bryły. Na tabliczce

napis, który nie pozostawia wątpliwości, że to tędy wchodzi się na teren opactwa Benedyktynek w Żarnowcu. Okoliczności zbijają mnie nieco z tropu. To gdzie ta furta? Gdzie wielkie drzwi, mosiężny klucz i posępna zakonnica, jak cerber pilnująca, kto przekracza próg portalu do alternatywnej rzeczywistości? Nie ma ani siostry, ani klucza, jest zwykła klamka. Drzwi otwierają się bez problemu. Wchodzę na dziedziniec, po którym nie przechadza się... nikt. Jak to? A może jest zamknięte? Ale klasztor!? Przecież tutaj jest ktoś chyba przez dwadzieścia cztery godziny na dobę...?

Rozmyślenia przerywa swoim dźwięcznym głosem siostra Weronika, która opiekuje się domem gości. To z nią ustalałam możliwość spędzenia kilku dni w Żarnowcu.

– O! Przyjechała pani! Dzień dobry! Zaraz dam pani komplet kluczy i wszystko opowiem – rzuca w przelocie.

To starsza osoba, ale jej zwinne, energiczne ruchy sprawiają, że wiek nie gra roli. Po dłuższym przebywaniu w jej towarzystwie orientuję się, że ma problemy z chodzeniem, które jednak skutecznie maskuje uśmiechem i potokiem wypowiedzianych słów. Znika na moment za drzwiami, które okazują się wejściem do klasztoru – oczywiście tylko do jego części wydzielonej dla odwiedzających; napis „Klauzura” jasno pokazuje, dokąd wstęp mają tylko mieszkanki tego miejsca.

– Tu ma pani wejście do kaplicy, tu do domu gości, to jest klucz do pani pokoju – referuje bez zająknięcia siostra Weronika. – Za godzinę jest kolacja, zapraszamy.

– Jak to? Jeszcze mnie siostry nakarmią?

– A jak to pani sobie inaczej wyobrażała? No przecież jak pani jedzie do kogoś do domu w odwiedziny, to też pani dadzą jeść – śmieje się siostra,

szybko wracając jednak do konkretów. – Dobra, lecę, bo mam dużo do zrobienia. Udanego pobytu!

Ilekcio w ciągu tych kilku dni, kiedy jestem w Żarnowcu, wpadam na siostrę Weronikę, „ma coś do zrobienia”. Zawsze uśmiechnięta, gotowa do pomocy, ale też non stop zarobiona.

Na odchodne siostra Weronika wręcza mi rozkład dnia, w którym oczywiście pierwsze skrzypce odgrywają nabożeństwa w kaplicy sióstr, o każdej porze – od rana do wieczora. Na mszę idę raz. Nazajutrz rano. Po śniadaniu siadam przy pokrytym koronkowym obrusikiem stole w pokoju, w którym zakonnice wychodzące z klauzury mogą przyjmować gości. To tu spędzam dwa kolejne dni na rozmowach z siostrą Małgorzatą Borkowską.

*

Byłam dziś rano na mszy w kaplicy u sióstr. Zostało mi w głowie powtarzane w kazaniu zdanie Jezusa: „Jestem cichy i pokornego serca”. Zastanawiam się, czy to jest właśnie kwintesencja życia zakonnego – żeby być cichym i pokornego serca. A może czasami trzeba być jednak głośnym?

To jest przede wszystkim kwintesencja całego życia chrześcijańskiego. W jakim sensie? W takim, że człowiek cichy i pokorny nie będzie robił awantury o byle co. Zrobi ją tylko wtedy, kiedy naprawdę potrzeba. A nie będzie swojego „ja” pielęgnował kosztem cudzego ani wystawiał na wierzch. Nie będzie się o drobiazgi awanturował. Całe życie chrześcijańskie jest w tym.

A co to znaczy: „awanturować się, kiedy trzeba”? Skąd wiadomo, kiedy trzeba?

Po to w końcu każdemu z nas Pan Bóg dał sumienie. Człowiek wie, własne sumienie mu mówi, że to a to jest dobre, to a to jest obojętne – może być tak, może być inaczej, nieważne – a to a to może się okazać złe, i wtedy jest okazja, żeby się awanturować. Ale dopiero wtedy.

Mam wrażenie, że siostra potrafiła się awanturować przez swoje życie zakonne.

Chyba bierze pani pod uwagę głównie *Oślicę*..⁶⁵, bo takich większych awantur oprócz tego nie było.

Przez kilkanaście wieków zakonnice słuchały kazań, konferencji, rekolekcji, pouczeń, a zawsze w pokornym milczeniu, jak te nieme bydłatka: cokolwiek im mówiono, umiały tylko potakiwać. Czasami się któraś wyłamała, ale bardzo rzadko! Założenie ze strony kaznodziejów było niewątpliwie takie, że zawsze, w każdej sprawie i każdych okolicznościach, oni wiedzą lepiej; zakonnice zaś nauczyły się to akceptować, najpierw dlatego, że potrzebują celebransa i muszą przyjmować jego warunki; a potem już z tradycji i przyzwyczajenia. To była forma pokory, której od nich oczekiwano.

(...)

Kiedy przez długie lata oprowadzałam wycieczki po naszym kościele i skarbcu, księży przychodzących w cywilu rozpoznawałyśmy bezbłędnie po tym, że zadawali wprawdzie pytania, ale odpowiedzi nie słuchali; albo zaczęli od razu mówić o czymś innym, albo odpowiadali sobie głośno sami. Po prostu nie mieściło im się w głowie, żeby zakonnica mogła coś takiego wiedzieć, czego inni nie wiedzą. Natomiast zakładali bez zmrużenia oka, że wiedzy, której oni nam udzielają, znikąd dotąd mieć nie mogliśmy.

(...)

Krótko mówiąc, zakonnica w przekonaniu szeregowego kaznodziei jest GŁUPIA. I to się samo przez się rozumie: gdyby głupia nie była, toby zakonnica nie została. A skoro została, to jej psi obowiązek ścierać pył z podłogi przed godnością kapłana, i do niczego innego potrzebna nie jest. Ten sam kapłan, który (obserwowałam to w niejednym wydaniu) rozpląwał się w mokrą plamę przed

każdą panią profesor – zakonnice traktował jak niższy rodzaj służby. Nie wstydził się przed nimi ani wybuchów gniewu, ani wymagań co do standardu usług (np. połysku butów) wydzwigniętych niemal na poziom niedosiężny. Tak samo jak nie wstydziłby się tego przed psem i kanarkiem... Jest to częste zjawisko, że człowiek dzieli bliźnich na takich, na których opinii mu zależy, i takich, na których nie; otóż zakonnice w oczach kleru diecezjalnego dawno już wylądowały w tej drugiej grupie i chociaż czasem robi się wyjątki (jeśli zakonnica ma jakiś tytuł, np. hrabianki, profesora lub przełożonej), na ogół ta zasada trwa. Wypływa na pewno w jakiejś mierze z nieznamomości istoty życia zakonnego, tak powszechnej wśród księży diecezjalnych. Z próżnego i Salomon nie należy.

(...)

Teraz chciałabym (po ponad półwiecznym doświadczeniu odbioru kazań) raz wreszcie odezwać się i przedstawić możliwie systematycznie nasz, a częściowo zapewne swój własny punkt widzenia. Rozumiem doskonale, że mój głos może w wielu P.T. duchownych panów wywołać reakcje dokładnie taką samą jak reakcja Balaama na odezwanie się oślicy⁶⁶. Od zdumienia, przez oburzenie, aż do użycia jakiegoś rodzaju kija włącznie! Ale inni może byliby wdzięczni za uświadomienie im, że jakiś punkt widzenia różny od ich własnego w ogóle istnieje; nawet jeśli to niezbyt miłe dowiedzieć się, że ktoś przez całe lata patrzył na nas, i nawet coś o nas myślał... i jeszcze w dodatku nie zawsze bezkrytycznie⁶⁷.

Niektórzy kaznodzieje uważają zakonnice za głupie. Może to jest kwesta patriarchatu, który dotyka siostry?

Nie wydaje mi się, żeby w Kościele panował jakiś straszliwy patriarchat. Natomiast co czasami mnie bolało – i co wypunktowałam w *Oślicy*... – to sposób wykonywania tego urzędu przez niektórych – podkreślam trzy razy: niektórych – księży. I tych niektórych księży troszkę obśmiałam publicznie. Ale jest przecież mnóstwo księży, którzy pracują bardzo dobrze, są życzliwi i wyrozumiali. Na końcu wstępu do *Oślicy*... jest takie zdanie: „Oczywiście ci księża, którzy nie znajdują tu swojego portretu, powinni wiedzieć, jak bardzo im za to jesteśmy wdzięczne...”.

Ja się śmiałam tylko z tych, którym się wydaje, że nikt nie wie niczego lepiej niż oni i że ktokolwiek ich słucha, będzie na pewno słuchał z rozdziawioną gębą i weźmie to wszystko za najwyższe objawienie mądrości. Nie atakowałam struktury, atakowałam konkretne zachowanie niektórych ludzi.

***Oślica...* bez wątpienia wywołała sporą dyskusję. Zakonnica, która ciętym językiem, w błyskotliwy sposób krytykuje księży – kto by pomyślał! Jak siostra przyjęła sukces tej książki?**

Z pewnym zdziwieniem. Zdziwiłam się – widocznie byłam za głupia, żeby to przewidzieć – że nie spadły na mnie żadne gromy, tylko zaproszenia, żeby mówić do księży.

Czyli siostra była przygotowana raczej na gromy?

Tak. Powiedzmy, że parę listów dostałam, w których mnie do bram Hadesu odsyłano, ale niewiele – i, z jednym wyjątkiem, anonimowych. Nawet jeśli przypadkiem było nazwisko, to bez podania adresu. Bali się oślicy, żeby im nie zaryczała czegoś w odpowiedzi!

Co było impulsem do napisania *Oślicy*...?

Napisałam ją po prostu, żeby się uśmieć.

Z księży?

No z księży, a jak się podstawiają, to czemu nie? Niech się nie podstawiają, jak są tacy ważni, żeby się z nich nie można było śmiać.

Księża chyba nierzadko tak mają, że nie tolerują, żeby się z nich śmiać...

Każdy człowiek tak ma – potrafi się śmiać z innych, a z siebie nie zawsze. A już broń Boże, żeby się inni z niego śmiali.

Śmiech przyniósł efekty?

Tak, to działa! Był pewien biskup, który przyjeżdżał do nas na odpusty we wcześniejszych latach, głosił kazania i widać było, że mówi o wszystkim i o niczym. Nagle, jak *Oślica...* wyszła, to dopiero się przygotował! Sam o tym potem powiedział: zrozumiał, że kazanie musi być jednak przygotowane, że słuchacze nie śpią i nie przyjmują wszystkiego bezkrytycznie, tylko siedzą i myślą, słuchając.

Satysfakcja dla siostry?

Owszem, niejaka satysfakcja. Jednak nie robię z tego żadnej wielkiej sprawy.

Bo siostra chyba starannie pielęgnuje w sobie dystans do świata. Stąd też siostry humor.

Poczucie humoru to jest poczucie proporcji. Jak człowiek ma poczucie proporcji, to rzeczy dysproporcjonalne rażą go, ale w ten sposób, że wywołują śmiech. Bo się to uważa za zabawne – coś do czegoś aż tak nie pasuje, że zaczynamy się śmiać. I dobrze. W ten sposób człowiek dostrzega dysproporcje także w swoich sprawach – i nie bierze ich zbyt poważnie, jeśli nie musi. Ja dużo rzeczy biorę na humor, widzi pani, i to są skutki! Po prostu dużo rzeczy, które inaczej byłyby ciężkie, raniące, przykre, da się

wziąć na humor. Parskniesz kłopotowi w nos śmiechem – i po kłopotcie!
A przynajmniej po ciężkim przeżywaniu go bez potrzeby.

**Życie w zakonie, a już na pewno życie w zakonie klauzurowym,
z humorem się raczej nie kojarzy...**

No, to już nie moja wina, co się komu z czym kojarzy. Co ludzie myślą o zakonnicach? Czarne, obce jakieś, niedostępne... To jest właśnie ksenofobia, proszę pani, czyli strach przed czymś, co jest nieznanne: „Ja tam nie mieszkam i nie wpuszczą mnie, hm... Podejrzane, niedobrze, coś tam musi być źle. Dlaczego nie wpuszczają?”. A ile się można uśmieć w życiu zakonnym, to trzeba być w środku, żeby wiedzieć. U nas w zgromadzeniu można się śmiać z siebie wzajemnie i dużo na tym, że tak powiem, zyskujemy. I nieraz jak któraś jakieś głupstwo zrobi, sama to pierwsza opowiada, żeby się wszyscy pośmiali.

Życie zakonne kojarzy się z powagą, ale również z ograniczeniem wolności – zamknięty klasztor, nie można wyjść, o pozwolenie trzeba pytać przełożoną...

Na ogół ludziom świeckim wolność nie kojarzy się z życiem zakonnym, oczywiście, ale to głównie dlatego, że zapominają, jak często w normalnym, codziennym życiu, wszędzie: w klasztorze, w rodzinie, w biurze, podejmuje się decyzje. Najprostsze decyzje. Idzie pani do restauracji, bierze pani kartę, wybiera coś z menu i przynoszą to pani – no to zajada pani ze smakiem, skoro to pani wybrała, ale nie siedzi pani nad talerzem, który stygnie, i nie myśli o tym wszystkim, czego nie wybrała. Tych ciągłych decyzji pełne jest nasze życie. Na długo albo na krótko, na jakiś czas albo na zawsze. Co by pani powiedziała, gdyby pani mąż nie zajmował się żoną, którą ma, tylko wciąż myślał o tych wszystkich,

z którymi się nie ożenił? Jeżeli wybrałam jakiś rodzaj życia, to był mój wybór i chcę tak właśnie żyć, zamiast wciąż myśleć o tym wszystkim, czego mi w tej sytuacji „nie wolno”. Każdy wybór czegoś jest zarazem odrzuceniem czegoś innego; i bierze się rzecz od strony tego, co wybieram, a nie tego, co z konieczności odrzucam.

Druga sprawa to zakonna zależność. U nas niewątpliwie – tak jak w każdym normalnym zakładzie pracy – jest jakaś organizacja, jakiś wspólny ład, i na czele tego stoi przełożona, tak samo jak na czele fabryki czy biura stoi dyrektor. Układa to naszą wzajemną współpracę. No więc dobrze: przełożona wydaje mi polecenie i świeckiemu kojarzy się to tylko z niewolą. A ja wiem, że teraz od mojej decyzji – od mojej wolności – zależy, czy ja to polecenie spełniam, czy nie. Oczywiście jeżeli nie spełnię, to coś zawiedzie w tej naszej współpracy i skutki tego mogą być przykre dla całości. Ale ja nadal jestem wolna. Człowiek jest zawsze wolny, w każdej chwili swojego życia. I ma możliwość decydowania: tak, nie albo jeszcze inaczej. Chodzi o to, żeby tę swoją wolność umieć wykorzystać na dobre, a nie traktować jej w ten sposób: jestem wolna, to mogę robić wszystko, co mi się akurat podoba albo i nie podoba, albo co mi akurat wpadnie do głowy, nie pytając o nic. To nie jest żadna wolność; to właśnie jest zniewolenie!

Rozmawiałam z kilkoma siostrami, które twierdzą, że śluby posłuszeństwa bywają dla nich trudne.

Dla kobiet tak, u mężczyzn jest inaczej.

A dlaczego?

Po prostu tak jest. Cała literatura monastyczna pełna jest ostrzegania mnichów przed kobietą, ale nie ma ostrzegania mnichów przed samowolą,

a w każdym razie takich wątków jest bardzo niewiele. Widać, gdzie leży problem, gdzie kogo boli.

Kiedyś robiłam takie „kaznodziejskie” zestawienie: świat nie po to istnieje, żeby pan X miał gdzie zrobić majątek, ksiądz Y miał gdzie zrobić karierę, pani Z miała gdzie osiągnąć powodzenie, a siostra Ż miała gdzie udowodnić, że ma rację. To jest właśnie to. Kobieta – a już zwłaszcza kobieta zakonna – lubi mieć rację. Dlatego posłuszeństwo to jest dla nas najtrudniejszy element. To jednak nie znaczy, że niemożliwy. Powiedziałabym, że ten element przychodzi nam z największym wysiłkiem.

Wyobrażam sobie, że owo zakonne posłuszeństwo to jest przede wszystkim posłuszeństwo wobec Pana Boga, a dopiero później wykonywanie poleceń przełożonej.

Tak, oczywiście. I widzi pani: jeżeli ja rzeczywiście chcę być posłuszna dla Pana Boga, to wiem, po co mam być posłuszna w domu. Wtedy nie sprowadzam tego tylko do gładkiego funkcjonowania instytucji, które też jest potrzebne – żeby wszystko działało: jedna siostra ugotuje, druga siostra upierze, trzecia siostra posprząta. Każda pani domu wie, ile w nim jest do zrobienia. Choćby miała tylko trzy pokoiki albo jeszcze mniej, to wie, gdzie trzeba co umyć, że szyby już niemyte od trzech tygodni, i tak dalej – wie, ile potrzeba roboty. Często nie wie tego jej mąż, lecz ona wie. Żeby to wszystko szło dobrze w takiej ogromnej chałupie jak nasza, przy takiej liczbie ludzi do wykarmienia i obsłużenia, rzeczywiście jest potrzeba jakiejś organizacji, i to możliwie sprawnej. Ale to jest wtórny aspekt naszego życia, a człowiek przychodzi do klasztoru przede wszystkim właśnie po posłuszeństwo.

Jako to?

Żyć w czystości można i w świecie. Żyć w ubóstwie można i w świecie, czasami nawet nie ma wyboru. Natomiast w świecie nie ma właściwie kogo słuchać tak dla Boga. Dlatego my sobie ustanawiamy tę – powiedzmy – radość.

Oczywiście przełożona także jest człowiekiem, gdyby więc wydawała rzeczywiście złe zarządzenia, po to jest nasze sumienie, żeby ich nie słuchać. Ale to są bardzo rzadkie wypadki i jeżeli coś takiego się zdarzy, i zaraz świat nagłośni, to nie znaczy, że wszystkie zakonnice tak żyją.

A może za mało się siostry chwala tym, jak żyją, i dlatego ludzie na zewnątrz budują sobie nie do końca prawdziwe wyobrażenia?

Proszę pani, dobra mniszka to jest taka mniszka, której naprawdę zależy na tym, żeby Bóg był znany i wielbiony. To jest wszystko! Jej celem nie jest chwalenie się.

To jest kwestia po prostu słabego zrozumienia i powiedziałabym, że jest ono raczej jednostronne. Dlaczego? Dlatego, że my wszystkie przyszłyśmy ze świeckich rodzin i znamy rodziny, znamy życie w świecie, zwłaszcza teraz, kiedy ludzie przychodzą do klasztorów najczęściej już po pewnym okresie zawodowego życia. Zakonnice były już wplecione we wszystkie te współzależności w społeczeństwie i wiedzą, jak to jest. My to znamy. A z kolei ludzie z zewnątrz nie znają naszego życia. Co sobie czasami o nas wyobrażają... Najwięcej z powieści. To już Sienkiewicz prawie wszystkie bohaterki odsyłał do klasztoru, kiedy tylko narzeczony zaginął. Jak się odnalazł, no to już w porządku, z powrotem się wracało i szło za niego [śmiech]. Pójście do klasztoru to było coś w rodzaju dozwolonego samobójstwa.

Kiedyś może i tak, dziś coraz częściej opinia publiczna buduje sobie wyobrażenie o życiu zakonnym na podstawie medialnych doniesień. A w tych nie brakuje informacji o patologiach.

No oczywiście, ale czy nie widzi pani, że istnieje tu pewna nierówność? Jeżeli coś się stanie w jakimś klasztorze, to od razu słyszymy na przykład z ust jakiegoś autorytetu kościelnego, że „to w ogóle nie jest praca dla zakonnicy”⁶⁸.

Chodzi siostrze o sprawę zakonnicy z domu pomocy społecznej w Jordanowie⁶⁹?

Tak. „To w ogóle nie jest praca dla zakonnicy” – cóż za absurdalne skwitowanie tematu! Jak się coś takiego zdarza w zwykłej szkole, to nikt nie mówi, że „to w ogóle nie jest praca dla świeckich”.

W mediach pojawia się też coraz więcej informacji o siostrach, które z zakonów odchodzą, bo spotykają się z przemocą psychiczną, fizyczną. Są i takie, które porównują zakon do sekty.

Ja bym się z tym zgodziła, z pewną przydawką: źle postawiony zakon przypomina sektę – to na pewno tak. A nie samo życie zakonne jako takie.

Co to znaczy: „źle postawiony zakon”?

To znaczy taki, gdzie wybrano – nawet z najlepszymi chęciami – przełożoną, która się okazała niewłaściwa; to się też może zdarzyć. Może być właśnie manipulantka. Potem bardzo trudno jest taką usunąć. To się może zdarzyć, na pewno, tylko że to nie jest natura życia zakonnego. To jest żalosne wypaczenie idei życia zakonnego. I rozumiem, że jeżeli ktoś

nie miał do czynienia z niczym lepszym, gotów jest uogólniać to na wszystkie zakony.

To już nie uogólniajmy, ale porozmawiajmy jeszcze o posłuszeństwie.

Każdy akt posłuszeństwa jest jednocześnie aktem mojej wolnej woli. Mogę posłuchać albo nie. Posłuszeństwo to jest więc wybór dokonywany przeze mnie, wolny wybór pójścia za tym zdaniem, które – jak uważam – przyszło do mnie od Boga.

Sporo się ostatnio mówi o „patoposłuszeństwie”. Niedawno ukazała się książka eksperta edukacyjnego Mikołaja Marcelli pod takim tytułem. Jako matka obserwuję dyskusje, chociażby internetowe, o tym, żeby nie mówić do dzieci: „Bądź grzeczny”, tylko właśnie wychowywać je do kontestacji, do nie-grzeczności.

Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Grzeczność kojarzy się wielu ludziom z ulizanym fajłapą – nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby ten ktoś wychował się na osobę, która rozumie prawa innych osób. Bo ten niegrzeczny to nie rozumie niczego oprócz własnego prawa. No, a jak z takim żyć?

Była w jednym zakonie taka sytuacja, że siostrę, która miała trudności, posłano na psychoterapię i tam właśnie ktoś ją nauczył, że wszystko to, co czuje, musi z siebie wyrzucić. Przyszła i przy pierwszej okazji krzyknęła innej siostrze: „Ja siostry nienawidzę!”. Może to było szczere, ale na litość boską, czyż ona uwzględniła prawa tamtej siostry choćby do jakiegoś kulturalnego wspólnego bycia?! Czy liczę się tylko ja i moje prawo? Konieczność wykrzyczenia tego, co myślę – kogo to, psiakość, interesuje?

Sugeruje siostra, że pójście drogą zakonną wymaga wyrzeczenia się swoich uczuć?

Pójście każdą drogą, kiedy się ma sumienie, jest połączone z koniecznością kontroli swoich emocji. Każdą drogą człowieka, który ma sumienie, w tym także chrześcijanina, w tym także zakonnika. Jeśli pani nie ma sumienia, robi pani tylko to, co jest pani prawem według pani uznania. Ale z takim podejściem nie byłaby pani w stanie żyć w żadnej społeczności.

To jak sobie radzić z uczuciami?

Dajmy na to, że powstaje we mnie gniew i teraz jest pytanie – co ja z tym uczuciem zrobię. To jest istotne! Mogę to uspokoić, psychoterapeuta może powiedzieć: stłamsić, ale nie chodzi o stłamszenie. Chodzi o uspokojenie, o wytłumaczenie sobie, że to ja w tej chwili wpadam w gniew, a nie cała rzeczywistość jest tak straszna, że ja muszę zacząć grzeszyć. Bo przecież grzeszy się myślą, mową i uczynkiem. Jeżeli więc tego nie zdołałam opanować i coś mówię, to już wtedy jest mowa. Jeżeli na dodatek rzucam się na kogoś z pięściami, to już jest uczynek. Na przykładzie gniewu można prześledzić całą historię, jak on narasta, przenikając do coraz wyższych warstw mojego postępowania, zachowania, mojej psychiki. Liczy się to, co z daną emocją zrobię. Jeżeli wytłumaczę sobie, że to było moje uczucie i że ono się składa z dwóch rzeczy: realnego bodźca i mojej reakcji, to jakoś łatwiej mi będzie opanować tę moją reakcję. Po co? Nie po to, żeby się stłamsić, żeby się upokarzać, nie wiadomo co jeszcze, ale po to, żeby nie zadać bólu bliźniemu.

Jeżeli reakcja wyjdzie całkowicie spod kontroli, to może być zwyczajny wypadek hysterii, tak jak histerię rozumiano w dziewiętnastowiecznych powieściach. Kocham Jane Austen! Baba rzuca się na kanapę, wrzeszczy

i macha wszystkimi czterema kończynami. No i jest chora, nieszczęśliwa, coś ją strasznego spotkało, niech się teraz wszyscy dookoła niej kręcą. Traktowano to naprawdę jako chorobę i ratowano taką biedaczkę. Dziś by może powiedziano: asertywność...

Siostra znowu żartuje...

Owszem, bo moim zdaniem żaden człowiek nie wytrzymałby i nie zostałby zdrowy nerwowo bez poczucia humoru.

Czy swoje początki w zakonie wspomina siostra z uśmiechem? Wstąpiła siostra...

... w 1964 roku, czyli za rok będzie okrągła rocznica – sześćdziesiąt lat.

Kawał czasu! Jak zmieniło się przez te lata życie zakonne? Co jest dziś łatwiejsze niż kiedyś, co trudniejsze, a co niezmiennie?

To nie jest język, którego my używamy. Nie chodzi o to, co jest łatwiejsze czy trudniejsze. Bo przede wszystkim czym to mierzyć i u kogo? Przecież w naszej wspólnocie może być pięć rozmaitych skal mierzenia trudności.

Albo szesnaście, jeśli jest szesnaście siostr tak jak tutaj...

Co dla kogo jest trudne, a co komu łatwiej wychodzi? Są ludzie, którym łatwo jest wstać wcześnie, ale też idą wcześnie spać, i są tacy, którzy woleliby spać do południa, za to potem do północy „markują”. A są tacy, którym wszystko jedno, dostosują się tak czy inaczej. Jeżeli się przychodzi z taką czy inną naturą – już wprawdzie dziedziczną, bo co dany człowiek winien – do klasztoru, to potem niejedna ma pewne trudności, których

sąsiadka z drugiej celi nie ma. No to co tu jest łatwe, co jest trudne i dla kogo?

Zatem nie pytam, z czym trudniej, z czym łatwiej, ale: co się zmieniło?

Zmieniają się, owszem, pewne rzeczy drugorzędne. Pierwszorzędną rzeczą jest, żebyśmy mogły spełnić w tym domu, do którego przyszłyśmy, pragnienie naszego serca, czyli oddania naszego życia Bogu. I za to jestem wdzięczna, że tyle lat życia pozwolił mi Pan Bóg spędzić w swoim domu. A warunki – to są rzeczy zmienne. Kiedy tu przyszłam, prowadziłyśmy kilkunastohektarowe gospodarstwo rolne i latem prowadziłyśmy stołówkę dla wszystkich letników ze wsi. Miałyśmy więc zwykle sto kilkadziesiąt osób na obiedzie, nie licząc nas samych. I to był spory wysiłek. Latem kto nie był w polu, był przy kuchni. Miałyśmy taki standard: jedno wiadro kartofli na jedną godzinę na jedną osobę do obrania. To było tempo! Jak się siedziało trzy godziny, można było obrać trzy wiadra.

Czyli na początku doświadczyła siostra bardzo wymagającej pracy fizycznej.

Owszem, tak. Ale jednocześnie gdybym chciała innych warunków pracy, tobym wybrała inny klasztor, prawda? Wybór przecież miałam.

Przyszła tu siostra od razu po maturze?

Nie, miałam dwadzieścia pięć lat.

To było powołanie?

To było to, co ja chciałam zrobić ze swoim życiem. Kiedy odkryłam, że taka możliwość jest, to już nie chciałam niczego innego.

Rodzice cieszyli się, gdy siostra wstąpiła do klasztoru?

O, nie! Ale bardzo szybko im ten sprzeciw przeszedł.

A dlaczego się pojawił?

Dlatego że oni – jak wszyscy prawie ludzie świeccy – kojarzyli klasztor z jakimś ponurym niemalże obozem pracy. I czego ta głupia chce się tam pchać, skoro ma tyle innych możliwości?! Poza tym ojciec powiedział: „Nie chcesz z nami mieszkać, to ja cię też nie chcę”. Zerwał ze mną kontakty. Mama nie zerwała. Nawet tu przyjechała, zanim jeszcze zostałam przyjęta do środka, ale cierpiała nad tym moim – jak to nazywała – odejściem. Babcia, która była bardzo dramatycznego usposobienia, też nie zerwała kontaktu, bo gdyby do mnie nie pisała, jakżeby mi mogła tłumaczyć, jak źle zrobiłam?

Czy straciła siostra kontakt z tatą na zawsze?

Ależ skąd! Wstąpiłam tutaj w końcu listopada. Któregoś dnia, wiosną, ojciec mówi do mamy: „Wiesz, babcia (właśnie ta dramatyczna, o której mówiłam) ma tyle roboty, tak dużo pracuje, to może by potrzebowała wypoczynku?”. „No, na pewno”. „To może by pojechała wypocząć do Żarnowca?” Mama już wiedziała, o co chodzi, ale ćśśś, udaje, że nie wie. „No tak, dobrze by było”. „To pewno trzeba ją tam odwiedzić”. „Jasne, przecież nie będzie jechać pociągiem. Możesz ją odwiedzić”. „Ale ja tam nie wejdę! Ja tylko babcię zostawię na progu”. „Dobrze”. Byłam wtedy postulantką i jeszcze robiłam z doskoku trzeci rok teologii na KUL-u, i akurat miały być wkrótce moje obłóczyny, czyli wejście do nowicjatu. Wróciłam z sesji egzaminacyjnej, jechałam nocą przez Siedlce pociągiem, byłam strasznie śpiąca, więc jak tylko przyjechałam do klasztoru, poszłam

spać. A tu oni przyjeżdżają. Tata dzwoni do drzwi, babcia mówi: „Tylko stąd nie odchodź, bo gdyby nikt nie otworzył, to co? Ty pojedziesz, a ja tu zostanę!”. „No dobrze, to nie odejdę”. No i dzwonią, dzwonią, na furkę wybiega akurat moja mistrzyni i mówi: „Aaa, do Ani⁷⁰? Proszę bardzo, proszę, zaraz ją zbudzę, bo śpi”. Tata zbaraniał. Jak to, w klasztorze, w biały dzień, śpi? Zamiast modlić się czy pokutować? Tak zbaraniał, że dał się wprowadzić do środka. A jak już się drzwi zamknęły, to trudno było odchodzić... No i od tego czasu już byliśmy w zgodzie. A mama to nawet potrafiła po moich obłóczynach napisać, że tak jak przedtem modliła się cały czas – bo moja mama była bardzo pobożna – żebym jednak się wstrzymała i wróciła, tak teraz zaczęła się modlić, żebym wytrzymała, i że ta moja decyzja jest radością jej życia.

I wie pani, co się okazało? Że to ja dałam im dom, do którego mogli przyjeżdżać wypoczywać. Przyjeżdżali tutaj co rok, nawet po parę razy w roku, jak tylko mogli, zwłaszcza kiedy już byli na emeryturze, i byli tu szczęśliwi.

A siostra jest szczęśliwa?

Dobrze, że mnie pani nie zapytała, czy jestem spełniona. To teraz bardzo modne! Szczęśliwa jestem na pewno, tak. Jestem u siebie, na swoim miejscu – dokładnie tam, dokąd zostałam „zaplanowana” i powołana. Proszę pamiętać, że powołanie to nie jest upodobanie, suma zdolności, jak – powiedzmy – kiedy mówimy o powołaniu nauczycielskim czy lekarskim. Powołanie zakonne zakłada wołającego i wołanego. Jeżeli więc jestem przekonana – a jestem, po tylu latach tym bardziej – że to był autentyczny głos Boży, który mnie wezwał do takiego właśnie sposobu wielbienia Go, no to jak mogę nie być wdzięczna, szczęśliwa, radosna, że to już tyle lat trwa i mogę tutaj żyć?

To nie znaczy, że wszystko jest zawsze łatwe. Widzi pani – to znów nie jest żadne odkrycie i wcale nie tylko moja sprawa – każdy, kto pożyje ileś lat w zakonie, spotyka się z tym, jak to Lewis mówił, prawem falowania⁷¹: że raz jest łatwiej, raz jest trudniej. I te okresy trudności człowiek powoli identyfikuje z własnymi trudnościami. Nie z tym, że otoczenie jest winne, tylko że to mnie nie stać na to, żeby dorosnąć do własnych marzeń i własnych planów. Te okresy trudności, a przynajmniej jakiejś suszy uczuciowej, kompletnej suszy, bywają o wiele dłuższe niż te okresy, kiedy człowiekowi nagle „zaskoczy”. Są czasem drogowskazy na drodze. Ale drogowskazy są potrzebne wtedy, kiedy droga się rozwidła; jak idzie prosto, nie są potrzebne. Wtedy człowiek drepcze, jak potrafi – i dobrze!

A co siostrze pomaga w tym „dreptaniu”?

Nie wiem, co mi pomaga.

Pytam przecież o to, czy siostrę prowadzi miłość do Boga.

Przepraszam, ale ja jestem typem zdecydowanie nieuczuciowym.

Nie wierzę!

Może pani nie wierzyć, lecz to jest fakt. Mój ojciec był synem luteranina i kalwinistki, ja jestem straszny kundel ekumeniczny [*śmiech*], z moich czworga dziadków każde było z innego Kościoła: drugi dziadek był katolik, żonaty z prawosławną. Ale mój ojciec bardzo wcześnie zobojętniał kompletnie na wszystko i po prostu żył w tym świecie. W drugiej połowie życia – a nie żył długo, sześćdziesiąt kilka lat tylko – coś mu zaczęło szmerać w sercu i głowie, ale ojciec był taki, że im głębiej coś przeżywał, tym mniej o tym mówił. No i kiedyś pamiętam, tu za ścianą, rozmowę.

Ojciec mówi do mnie: „Córeczko, ja bym bardzo chciał uwierzyć, ale nic nie czuję”. Ja zdumiona: „Tato, ja też nic nie czuję!”. „Jak to, nic?” „No nic”. „Nie będziemy o tym mówić więcej”. To znaczyło, że ta sprawa zapadła mu tak głęboko, że tylko milczenie może tam sięgnąć. Minęło jeszcze trochę czasu i ojciec, bez żadnej formalnej konwersji, ale ponieważ uwierzył w realną obecność Chrystusa w Eucharystii katolickiej, przeprosił Pana Boga po kalwińsku za swoje grzechy i „posznurował” do Komunii na mszy razem z mamą (katoliczką). To było krótko, chyba niecały rok przed jego śmiercią, tak że już żadnych dalszych kroków w stronę konwersji nie zdążył zrobić, ale był przez te ostatnie miesiące wielkim, szczęśliwym wyznawcą Chrystusa. I dlatego ja na jego grobie – tu, na naszym cmentarzu – napisałam: „Znalazłem Tego, którego szukała dusza moja”.

Mówię więc pani to samo, co jemu wtedy powiedziałam: ja nic nie czuję, nie mogę powiedzieć, że odczułam. Czasami czuję radość, kiedy mi w głowie coś „zaskoczy”. Wierzę, ale nie jestem typem, który by czuł religijne sprawy. Najważniejsze jest dla mnie to, co wiemy z Pisma Świętego o Trójcy Świętej. Dlatego że to jest rzeczywistość *par excellence*. Rzeczywistość, z której każda inna rzeczywistość – jako stworzenie – pochodzi. Relacje między Osobami Trójcy Świętej są źródłem naszego istnienia i w końcu cel naszego istnienia jest tam, a nie w zrobieniu kariery, kupieniu samochodu, udowodnieniu swojej racji czy czymś jeszcze. I pani językiem mówiąc, to mi pomaga.

Swego czasu była siostra mistrzynią nowicjatu w opactwie w Staniątkach. Jak prawidłowo powinna przebiegać formacja zakonna, mądre przygotowanie do złożenia ślubów wieczystych, w tym ślubów posłuszeństwa?

Przede wszystkim trzeba sprawdzić, czy dana osoba, która chce zostać zakonnica, rzeczywiście – jak to mówi święty Benedykt – szuka Boga, czy dla Niego przyszła. A bywają bardzo różne motywacje. Jakaś kobieta – bardzo elegancka pani – kiedyś mnie zapytała: „Proszę siostry, a co by siostra powiedziała, gdyby osoba skrzywdzona przez życie przyszła szukać pociechy w życiu zakonnym?”. Odpowiedziałam na to: „Proszę pani, powiedziałałabym, że to jest pomyłka w adresie. Jej potrzebne jest sanatorium, a nie klasztor”. W sanatorium taka osoba byłaby w centrum uwagi obsługi, lekarzy, i wszyscy by się troszczyli o to, żeby ją leczyć. A tutaj musiałaby przede wszystkim z siebie dawać. Po to się przychodzi do zakonu, a nie po to, żeby patrzeć, jak mi tu będzie. To jedno.

Czyli nie szukamy pociechy w klasztorze?

No nie, broń cię Panie Boże! Zawsze doprowadza mnie do szału ta fraza: „Schroniła się w klasztorze”. Wilki ją goniły czy co?

Druga sprawa. To było właśnie w Staniątkach: zgłosiła się do nas kandydatka – trzeba przyznać – „przedatowana”...

To ile miała lat? Trzydzieści?

Raczej z sześćdziesiąt.

Zwyczajowo nie bierze się chyba takich kandydatek do klasztoru?

W naszych klasztorach można, przynajmniej spróbować. No więc rozmawiamy z nią, matka ksieni⁷² i ja w roli mistrzyni nowicjatu. A ona zupełnie nie potrafi powiedzieć dlaczego; ona po prostu bardzo prosi, chce. Matka pyta: „Pani pewnie lubi się modlić?”. „O tak, bardzo lubię”. Rozmowa się jednak nie klei. W końcu matka mówi (a był wtedy listopad):

„Proszę pani, to może pani by przyjechała w grudniu na jakieś dwa tygodnie...” – a ona oburzona: „Ale ja już chcę wstąpić!”. „Tak się nie robi, przecież my się musimy poznać, pani musi poznać nas, my panią...” „No to co ja mam zrobić, kiedy u mnie w domu tak trudno w piecu palić?”

Motywacje bywają różne i jeżeli ktoś wstąpi z niewłaściwą, to może być bieda. Dobrze jest wykryć ją odpowiednio wcześniej i powiedzieć: „Kochanie, gdzie indziej lepiej ci będzie”.

Dziś coraz trudniej o nowe powołania, więc pewnie łatwiej o przyjmowanie przypadkowych osób?

Takie „łapanie” kogo popadnie jest dzikim błędem, bo nie może człowiek człowiekowi dać Bożego powołania. Siostry czynne mają jednak jakieś usprawiedliwienie, dlatego że dzieła raz zapoczątkowane powinny trwać, bo mnóstwo ludzi jest od tego zależnych: jest iluś pacjentów w szpitalu, a tu coraz mniej pielęgniarek; jest ileś dzieci...

... a coraz mniej nauczycielek, zgromadzenie ma misję edukacyjną, a siostr jest coraz mniej.

No właśnie, i dlatego czasem robi się takie założenia: przyjmujemy, a nuż coś z tego wyjdzie, lepiej spróbować. Wmawianie komuś powołania to jest jednak zbrodnia. To się odbije zarówno na tym wciągniętym, jak i na samym zgromadzeniu. My jako zakon, który nie prowadzi żadnego konkretnego dzieła, nie mamy tego problemu, bo od nas nikt *de facto* nie jest uzależniony.

Ja się przez prawie całe swoje zakonne życie zajmowałam przede wszystkim historią zakonu. I owszem, bywają czasy szczególnie trudne, ubogie, kiedy ludzie przestają patrzeć, kogo przyjmują, i to się zawsze źle kończy. Niech pani weźmie na przykład wiek czternasty. Swego czasu

siedziałam bardzo szczegółowo w dziejach cystersów. Badałam protokoły z kapituł generalnych ich zakonu – to się na ogół odbywało w Clairvaux albo Cîteaux. No i właśnie w wieku czternastym okazuje się, że prawie nikt już tam nie wstępuje, więc bierze się każdego, kto przychodzi. Skończyło się bardzo źle, bo ci, których wzięto, a wcale tam nie powinni byli być, żyli potem głównie w karczmie, a w klasztorze pojawiali się sporadycznie.

Jaka zdaniem siostry jest zatem dobra, sensowna motywacja pójścia do zakonu?

Ona jest u człowieka, który nie pyta, co tu się je, jak długo się tu śpi, co się tu robi, tylko po prostu chce oddać swoje życie Bogu i szczegóły go nie obchodzą. To rokuje dobrze.

I to właśnie trzeba stwierdzić w trakcie formacji, a potem pomóc się mądrze rozwinąć. W jaki sposób? Przez odpowiednią wiedzę, tę teologiczną. Bo nie można żyć dla Pana Boga, a mieć o Nim pojęcie jak, przepraszam, o misiu z przedszkola. Potrzebne jest też wyraźne określenie, co kandydatka będzie musiała ślubować, jeżeli chce złożyć śluby, do czego się zobowiąże. Oczywiście jest mnóstwo innych rzeczy, których trzeba ją uczyć, choćby śpiewu kościelnego – jeżeli dobrze pójdzie, to i muzyki, bo bywają niektóre kandydatki bardzo uzdolnione, i to jest bardzo cenne. Nie wiem, czy pani wie, że w siedemnastym i osiemnastym wieku, kiedy wymagano posagów do klasztoru, jedna klasa społeczna była z posagów zwolniona: to były córki organistów. Zakładano, że tata nauczył je rzemiosła i to jest już odpowiedni posag.

W dzisiejszych czasach życie zakonne nie kojarzy się z posagiem, raczej z daleko idącym wyrzeczeniem się dóbr doczesnych, co nie jest w modzie. Nie martwi siostry kryzys powołań?

Z moich wieloletnich studiów nad historią życia zakonnego wyniosłam przekonanie, że szukanie Boga jest wieczne i nieskończone i będzie zawsze. Natomiast nie ma żadnej gwarancji przetrwania ani danego zakonu, ani poszczególnych klasztorów. Panu Bogu jedynie wiadomo, który kiedy ma powstać, a który kiedy zginąć. Z tego czerpię duży spokój, dlatego że to falowanie było zawsze. Były okresy, kiedy ludzie cisnęli się do klasztorów dosłownie drzwiami i oknami, a były takie, że mijały lata całe, zanim ktokolwiek się zjawił. Tak zawsze było i prawdopodobnie zawsze będzie, bo niby jak może być inaczej? Czekam spokojnie na rozwój wypadków i myślę, że jedyne w tej chwili, co jest ważne, to żeby nie zatracić swojego powołania. Żeby robić spokojnie to, co do nas należy. A choćbyśmy miały być ostatnie, wszystko jedno – Pan Bóg sobie znajdzie czcicieli.

A co do was należy? Jaka jest rola sióstr?

My jesteśmy po to, żeby przypominać ludziom, że Bóg istnieje. I im bardziej radykalny jest nasz wybór, tym bardziej czytelne to nasze przypomnienie.

***À propos* radykalnego wyboru. W książce *Białe i bure. Historia życia monastycznego w dużym skrócie* napisała siostra rozdział o wprowadzeniu przez Sobór Watykański II w latach sześćdziesiątych Dekretu o przystosowanej odnowie życia zakonnego. Cytując słowa siostry: „Najogólniej biorąc, chodziło o to, żeby cały katolicki świat zakonny przemyślał i odnowił swoje pierwotne charyzmaty; trzeba było ponownie zrozumieć istotę życia zakonnego w ogóle, a własnego instytutu w szczególności, w razie potrzeby oczyścić ją z niepotrzebnych komplikacji i zastosować tu i teraz”. Może „tu**

i teraz” wymaga bardziej liberalnego, a nie radykalnego podejścia do życia w zakonie?

To jednak nie znaczy, żeby miał się zmienić cel życia zakonnego i jego struktura. Struktura wspólnoty musi pozostać strukturą wspólnoty, bo inaczej się rozpadnie. Cel życia musi być skierowany ku Bogu, bo inaczej nie będzie miało żadnego sensu. Ludzie się teraz bardzo często chwytają zewnętrznych spraw. Zdaje im się, że jakbyśmy habity pozdejnowały, to już wszystko będzie dobrze. Mnie jest wszystko jedno, co na sobie noszę, ale jedna rzecz jest istotna: strój zakonnicy powinien być jednakowy. Nie żeby jedna chodziła w „wypimpiszonych” szatkach, a inna w szmatach, których by i żebrak nie chciał, bo taka jest jej idea ubóstwa – tego nie wolno. Ale skoro ten nasz obecny strój jest wygodny, jednolity i tradycyjny, to po co go zmieniać? Dla samej zmiany? To nie ma większego sensu.

Opowiem pani jeden przykład. Zaraz po soborze w jakimś holenderskim klasztorze zrobiono taki eksperyment: „No, teraz to my będziemy żyć inaczej”! Klauzury żadnej, habitu żadnego, stół – jak kto chce, niekoniecznie wspólny; trwało to może pół roku. Te siostry chciały być zakonnice, myślały tylko, że to będzie dobry sposób. Ale się okazało, że dom był jak zarwańska ulica, każdy po nim chodził, ciszy żadnej; modlitwa zagubiona w tym kompletnie, żadnego wspólnego życia; jednym słowem – jedno nic. Przywróciły klauzurę, z powrotem powkładały habity i wprowadziły wspólne życie, wspólny stół, wspólne zarobki i tak dalej.

Opisuje siostra ten przykład również w książce *Białe i bure*. Ale – jak siostra pisze – bywają i założenia warte weryfikacji: „Pewien zakon miał od średniowiecza przepis, że należy nosić koszule wełniane jako

najtańsze; i aż do naszych czasów trzymał się tego wiernie, mimo że już od dawna tańsza była bawełna”.

Na koniec: jak siostra odbiera trwającą od kilku lat dyskusję o kryzysie w polskim Kościele?

Pytanie, co rozumiemy przez Kościół. Niekoniecznie hierarchię, ale całość, prawda? Również nie samych świeckich, tylko cały lud Boży, który jest miejscem naszego kontaktu z Bogiem – przez sakramenty. I dlatego mnie to naprawdę specjalnie nie przejmuje – to znaczy boli, lecz nie przejmuje – że wybuchają różne afery wewnątrz Kościoła. Nie szukam w Kościele ani nieomylnych przywódców (wystarczy mi zupełnie nieomylność dogmatyczna), ani wspaniałych, porywających mówców. Ja tam szukam kontaktu z Bogiem przez sakramenty, bo według mnie rolą Kościoła jest szafarstwo sakramentów. I to znajduję. Więc o co mam się awanturować?

*

W wielu momentach naszej rozmowy siostra Małgorzata podkreśla, że to, co trzyma ją, a także inne żarnowieckie zakonnice w formie, to umiejętność śmiania się z siebie samych. Wyjeżdżając z opactwa, głównie podśmiewam się z samej siebie, przypominając sobie swoje wyobrażenia o tym miejscu i porównując je z rzeczywistością, którą zastałam. Nie było ani prastarej furty, ani posępnych zakonnice. Były wspólne posiłki w refektarzu, zwiedzanie skarbcza, a przede wszystkim trudny do uchwycenia spokój. Każdy z pokoi w domu gości ma swojego patrona. Mnie „trafił się” pokój świętego Benedykta – jasne, w końcu klasztor Benedyktynek. Nie ma przypadku. W środku było dokładnie tak jak u mojej babci w starym domu w Raciążu – koronkowe obrusiki, skrzypiąca podłoga, starodawne filiżanki i szafy trzeszczące podczas otwierania. Ale to wszystko nie było ani

przytłaczające, ani odpychające – przeciwnie, na swój sposób urocze i „domowe”. Kiedy parę dni później, już w Warszawie, spotkałam się ze znajomym na kawie, po kilkunastu minutach rozmowy popatrzył na mnie bacznie i zapytał: „Coś się u ciebie zmieniło? Jesteś taka spokojna”. Może to była właśnie namiastka tego spokoju, jaki niektórym udaje się odnaleźć w zakonnym życiu. Spokoju, który sprawia, że klasztorne „więzienie” – widziane w ten sposób przez ludzi spoza tego świata – staje się wewnętrzną wolnością, z której nie chce się rezygnować?

Nie wiem. Pytam. Pod koniec zbierania materiałów do tej książki zadaje sobie nie mniej, lecz może nawet więcej pytań niż na początku drogi. Czym dla kobiety może być wybór tak kategoriyczny, jakim bez wątpienia jest życie zakonne? Odpowiedzi szukam u cenionej psycholożki, która swoje zawodowe życie poświęciła kobietom. Niekoniecznie tym w habitach.

⁶⁴ <https://www.benedyktynki-zarnowiec.pl/historia/> (dostęp: 31.01.2023).

⁶⁵ Mowa o wydanej w 2018 roku książce *Oślica Balaama. Apel do duchownych panów*, w której siostra Małgorzata z dużym poczuciem humoru i dystansem, jednocześnie konkretnie i nierzadko surowo, punktuje wpadki i przywary księży, szczególnie w kontekście głośzonych przez nich kazań.

⁶⁶ Zob. Księga Liczb, rozdział 22.

⁶⁷ Małgorzata Borkowska OSB, *Oślica Balaama. Apel do duchownych panów*, Tyniec Wydawnictwo Benedyktyńskie, Kraków 2018, fragmenty wstępu i rozdziału *Zakonnica w oczach kaznodziei*.

⁶⁸ Mowa o jezuitcie ojcu Jacku Prusaku, który w wywiadzie dla natemat.pl udzielonym po nagłośnieniu sprawy znęcania się siostr nad podopiecznymi w jednym z domów pomocy społecznej w Małopolsce (patrz przypis niżej) powiedział: „Najczęściej zakonnice nie są przygotowane profesjonalnie do prowadzenia takich ośrodków i traktują to jako przejaw

swojego powołania”, <https://natemat.pl/419356,sprawa-dps-w-jordanowie-ks-jacek-prusak-komentuje-zarzuty-wobec-zakonnic> (dostęp: 14.01.2023).

⁶⁹ Sprawę znęcania się sióstr prezentek nad podopiecznymi prowadzonego przez nie domu pomocy społecznej w Jordanowie w czerwcu 2022 roku nagłośnili dziennikarze Wirtualnej Polski Szymon Jadczyk i Dariusz Faron. Więcej: <https://wiadomosci.wp.pl/pieklo-u-zakonnic-bicie-wiazanie-zamykanie-w-klatce-horror-dzieci-w-dps-pod-krakowem-6778332058069696a> (dostęp: 15.01.2023).

⁷⁰ Imię z chrztu, Małgorzata to imię zakonne.

⁷¹ Więcej w książce C.S. Lewisa *Listy starego diabła do młodego*.

⁷² Ksieni – przełożona opactwa benedyktynek.

**MOJE SERCE
JEST PRZY
KOBIECIACH**

– Staram się zrozumieć kobiety, które wyrzekają się rodziny, macierzyństwa, doczesnego życia i poświęcają się zakonowi. Wierzę, że każda historia zakonnicy jest osobna, indywidualna. Jeśli miałabym zatem zrozumieć konkretną kobietę, musiałabym z nią porozmawiać, użyć psychoterapeutycznego instrumentarium, żeby przyjrzeć się temu konkretnemu wyborowi. Sądzę, że za decyzją o pójściu do zakonu kryje się bardzo wiele rzeczy. Motywacja jest złożona. Począwszy od wyboru do czegoś, na ucieczce od czegoś kończąc – mówi Justyna Dąbrowska, psycholożka, psychoterapeutka, autorka książek.

Na rozmowę umawiamy się w kawiarni Młodsza Siostra na warszawskim Powiślu.

– Ciekawa zbieżność z naszym tematem. – Uśmiecham się i pytam.

*

Czy zakon kojarzy ci się z siostrzeństwem?

No, nie wiem... Tam bardzo ważne jest posłuszeństwo, a ono wyklucza siostrzeństwo, oparte na relacji partnerskiej, w której masz wybór, wpływ. W siostrzeństwie jesteś blisko z jedną lub drugą kobietą, czasami pojawia się rywalizacja, ale jest też otwarta komunikacja, w której zawsze możesz powiedzieć, że ktoś cię dzisiaj na przykład wkurza. Wydaje mi się, że tego może w zakonie brakować. Tam trudno o otwartą komunikację, bo to jest struktura hierarchiczna. Instytucje hierarchiczne i sposób funkcjonowania ludzi w nich są akurat dobrze przebadane. Wiemy, że bycie w hierarchii staje na drodze realizacji różnych naszych potrzeb, na przykład potrzeby autonomii. Każdy z nas ma potrzebę autonomii i przynależności jednocześnie – w różnych proporcjach, zależnie od danej relacji i od momentu w życiu. Czasem chcemy być z kimś trochę bliżej, innym razem

dalej. Obie te potrzeby istnieją w nas jednocześnie, bo jesteśmy relacyjni, a żeby móc być z kimś w relacji, trzeba też móc na chwilę się wycofać, spojrzeć z dystansu. (Chyba że jesteśmy na etapie zakochania, ale to nie trwa zbyt długo!) W zakonie autonomia jest regulowana odgórnie – nie masz do końca wyboru, z kim chcesz być blisko, a z kim nie chcesz. To może budzić złość, nawet agresję. Nikt nie lubi być zmuszany do bycia blisko z kimś, z kim nie ma ochoty.

Siostry potrafią na to spojrzeć jak na pewną życiową lekcję. Chcą zaufać, że mają takie, a nie inne współsiostry, by dowiedzieć się czegoś o sobie. Potrafią mówić, że to dzieło Boga, które mają wykorzystać do wyciągnięcia wniosków dla siebie, do hartowania charakteru.

Są różne racjonalizacje. Jeśli podjęło się taką decyzję jak życie w zakonie, dużo się w nią zainwestowało, to jakoś trzeba się w tym utwierdzać. Każda z nas to robi, tylko w innych kontekstach. Pojechałam nad morze. Wprawdzie wolę góry, ale tu też jest fajnie. Właściwie jest cudownie. A jaki wiatr! I zimno. Zahartuję się. Ludzie racjonalizują decyzje, zwłaszcza jeśli dużo w nie włożą, żeby uniknąć dysonansu poznawczego. Dlatego to, co siostry mówią, brałabym w pewien nawias i starałabym się zajrzeć „pod podszewkę”. Czy to był wybór rzeczywiście „do czegoś”? Czy może jednocześnie „od czegoś”?

W realizacji potrzeby autonomii nie pomaga też anonimowość, to, że wszystkie siostry są tak samo ubrane. Habit oznacza, że w strukturze nie masz być autonomiczną, odrębną osobą, która ma swoje wyposażenie, charakterystykę. Masz być częścią czegoś większego. I znowu: to może nieść ulgę, a może bardzo frustrować.

Przecież ta potrzeba autonomii nie jest w nas jednakowa. Każdy z nas ma swoje ramy i granice. Być może są osobowości predysponowane do tego, żeby dobrze odnaleźć się w momencie, w którym ktoś praktycznie zdejmuje z nich odpowiedzialność. Wszystko zapewnia zakon, o wszystkim decyduje matka przełożona. To wygodne.

Mówimy w psychologii o osobowości zależnej, czyli człowieku, który nie odseparował się i nie wybił na niepodległość. Pokusa oddania odpowiedzialności bywa spora, co pięknie opisał Fromm w *Ucieczce od wolności*. Niemniej jesteśmy stworzeniami dość złożonymi i wprawdzie coś (na przykład potrzeba zależności) może w nas dominować, ale nigdy nie wypełni nas w całości. W środku będzie jakiś konflikt, bardziej lub mniej palący. Sądzę zatem, że nawet w kimś, kto lubi być w sytuacji zależności, będą grać również jakieś inne tendencje, chęć, żeby przynajmniej samej pójść na spacer. Zakres autonomii bywa bardzo różny: ktoś chce wyruszyć samotnie dookoła świata, a ktoś ma ochotę posiedzieć w pokoju z książką i żeby nikt mu nie mówił, co ma robić.

Rozmawiamy teraz o tak zwanych osobistych granicach. Antoni Kępiński pięknie pisał, że istoty ludzkie mają potrzebę falowania, pulsowania, czyli zbliżania się i oddalania od innych. Zbliżyliśmy się, miło jest się powymieniać, jednak potem musimy się oddalić, żeby „zmetabolizować”, przetrwać to, co się wydarzyło, kiedy byliśmy blisko. Żeby to się zintegrowało. Przynajmniej w niektórych zakonach siostry ciągle są z kimś, mało jest tego czasu w samotności. Pewnie nie dla wszystkich, ale dla jakiejś grupy to może być frustrujące. Można, oczywiście, zaprzeczać temu, racjonalizować, wypierać – różne sztuki potrafimy robić za pomocą mechanizmów obronnych, jednak, mimo wszystko, potrzeba potrzebą pozostaje i jak ktoś jest sfrustrowany, to się zaczyna złościć. A jak się zaczyna złościć i nie może powiedzieć: „Dajcie mi święty spokój, chcę

być sama”, to może tę złość obrócić przeciwko sobie, zamienić w autodestrukcję.

Czy w strukturach hierarchicznych możliwe jest funkcjonowanie bez patologii?

Nie wydaje mi się. Pokazuje to zarówno eksperyment więzienny Zimbardo, wielokrotnie krytykowany z powodów etycznych, jak i eksperyment Milgrama. W tym drugim pracownik naukowy nakazuje studentowi, żeby ukarał osobę, która źle wykonała zadanie, poprzez porażenie jej prądem. Student, któremu osoba z autorytetem rozkazuje, robi to. Okazuje się, że zasada posłuszeństwa jest ważniejsza od własnych norm moralnych, konfliktu sumienia, poczucia, że się kogoś krzywdzi. To jest istotna lekcja dla każdego z nas – grupy skonstruowane hierarchicznie mogą mieć w sobie potencjał przemocy. Mogą się w nich uruchamiać niepokojące procesy, na przykład to, co Jaak Panksepp, badacz ludzkich popędów, nazwał „drapieżnictwem”. Zostało ono dobrze opisane na przykładzie żołnierzy, którzy walczyli w Iraku. W pierwszej chwili mieli obiekcje i nie chcieli krzywdzić innych, ale odpowiednio kierowani przez swoich dowódców, już po paru dniach zaczęli przeżywać satysfakcję z dręczenia innych. Wygląda na to, że człowiek to naprawdę „nie jest piękne zwierzę”⁷³.

Jak to możliwe, że człowiekowi, który ma jasne zasady moralne, zaczyna sprawiać przyjemność znęcanie się nad innymi?

Człowiek to istota złożona. Istnieje w nas również ciemna część, która potrafi się budzić zwłaszcza wtedy, gdy jesteśmy w grupie. W pewnych kontekstach zaczynamy się zachowywać jak kruki, które zadziobują kulejącego kruka. Nagle grupa się na kogoś rzuca. Przemoc rówieśnicza

w szkołach to dokładnie to samo. Hierarchię utrzymuje zasada posłuszeństwa i strach. Jeśli spoiwem czegoś jest strach, to nie spodziewajmy się, że to będzie zdrowa struktura, która sprzyja rozwojowi.

Z czego się biorą patologie w relacjach między ludźmi? Dlaczego szef nadużywa władzy i mobbinguje pracownika, dlaczego matka przełożona wykorzystuje podopieczne?

Nie znam jednej odpowiedzi. Z krzywdy? Z poczucia omnipotencji? „Skrzywdzeni ludzie mają kamienne serca” – pisał profesor Andrzej Leder w *Prześnionej rewolucji*⁷⁴. Istnieje też bardzo ciekawa teoria Roya Baumeistera, który usiłował zrozumieć, jak to jest możliwe, że tak zwani zwyczajni ludzie zrealizowali Holokaust, zgładzili sześć milionów ludzi. Stworzył teorię o „czterech korzeniach zła”, którą można uniwersalizować.

Jak zatem rodzi się w człowieku zło?

Po pierwsze: idealizm – idea nadwartościowa, popychająca do mówienia: „Ja wiem lepiej, co dla ciebie dobre”. Po drugie: urażona duma własna. Po trzecie: własne korzyści. Dopiero czwarty jest sadyzm. Zaledwie jeden procent ludzi czerpie przyjemność z zadawania innym cierpienia. Cała reszta to urażone dumy, osoby, które miały wysokie mniemanie na swój temat, ale zostały poniżone, ktoś zarysował ich wizerunek, nadepnął na odcisk. Do opisanego krzywd zadawanych w strukturach hierarchicznych, o których rozmawiamy, bardzo pasuje punkt pierwszy: „Ja wiem lepiej od ciebie, co dla ciebie dobre”. Kiedy ktoś tak mówi, to jest pierwszy krok do kłopotów, do tego, żeby innego pozbawić podmiotowości.

Jedna z zakonnice, która odeszła, w rozmowie ze mną porównała zakon do sekty. Zasadnie?

W sekcie nie masz absolutnie żadnego wyboru, jest charyzmatyczny guru i rodzaj uzależnienia. Guru wikła cię w relację pararodzicielską, gdzie zdrada jest formą ojcobójstwa. O więcej musiałabyś pytać kogoś, kto się zna na sektach.

Ty znasz się na relacjach międzyludzkich. Inny z bohaterów książki – ksiądz Stanisław, blisko związany z jednym z zakonów żeńskich – powiedział mi, że jego zdaniem kluczem do dobrego funkcjonowania zakonu jest mądra przełożona. Jaka powinna być twoim zdaniem dobra liderka tego typu wspólnoty, dobra szefowa?

W moim świecie dobra szefowa słucha ludzi, z którymi pracuje, potrafi przyznać się do błędu, przeprosza, jeśli komuś zrobiła przykrość, bierze odpowiedzialność za swoje decyzje. Ale też dobra szefowa to ta, która wiele robi dla swoich ludzi, będzie ich chronić przed „górami” – będzie brała na siebie negocjacje, rozładowywała konflikty. A w przypadku zagrożenia nie będzie chodzić do pracowniczek i uzalać się, jak jest strasznie, tylko sama rozpracuje problem, pomyśli, jak im to przekazać. Dobra szefowa dba o swoich ludzi.

Moje bohaterki, siostry zakonne, musiały dostać zgodę na wywiad od swoich przełożonych.

Czyli rozmawiasz z osobami, które zakon chce pokazać światu, też z jakiegoś powodu. Poza tym sądzę, że są to osoby bardziej podmiotowe i niebojące się rozmowy.

Bardziej podmiotowe?

Takie, które jednak czują się podmiotami w całej tej sytuacji. Czują, że choć są częścią struktury hierarchicznej, choć podlegają pod swoje przełożone, to jednak mają w swoich rękach jakieś moce decyzyjne. Mogą myśleć: „To ja decyduję, ja chcę, ja wybieram, mam wpływ”. Rozmawiasz z osobami, które nie boją się konfrontacji z ciekawską dziennikarką.

To jest właśnie pytanie, na ile zakonnice mogą żyć po swojemu. Usłyszałam w tych rozmowach nie raz, że zakonnicom najtrudniej jest dochować ślubów posłuszeństwa. W przeciwieństwie do zakonników, którzy mają większy problem ze ślubami czystości. Czy w kobiecej naturze jest jakaś przekora?

Nie wiem, czy jest coś takiego jak kobieca natura. Natomiast temat posłuszeństwa jest w ogóle bardzo ciekawy. Zobacz, jeśli chodzi o wychowanie dzieci, to wciąż posłuszeństwo jest wysoko w hierarchii celów w domu, w szkole. Zwłaszcza dziewczynki mają być „grzeczne”. Chłopcom wolno trochę bardziej szumieć, mogą być głośniejsi, bardziej ruchliwi, fizycznie ekspresyjni. Dziewczynka ma być cicha i siedzieć spokojnie. Jest socjalizowana do słuchania, co widzę bardzo dobrze w tym obszarze, którym zajmuję się na co dzień jako psychoterapeutka: kobieta przekracza próg szpitala położniczego i ma być posłuszną pacjentką, „nie histeryzować”, nie być emocjonalna, a jak zaczyna mówić o tym, czego potrzebuje, to dostaje łatkę, że „jest roszczeniowa”. Nie myślałabym więc o naturze, tylko o wychowaniu. Tu się zaczyna coś zmieniać, jest na to jakaś odpowiedź wśród młodych kobiet, którą widziałyśmy na ulicach. Odpowiedź, która brzmi: „To ja chcę stanowić sama o sobie”.

Wspomniałaś mi kiedyś o badaniach pokazujących, że poczucie podmiotowości polskich kobiet jest niskie. Co to znaczy?

Jest na to niestety wiele przykładów. To widać na przykład w stosunku do swojego ciała. Jesteśmy w europejskiej czołówce, jeśli chodzi o liczbę kobiet niezadowolonych ze swojego wyglądu. Czyli to inni nam mówią, jak trzeba wyglądać, żeby było dobrze. Jesteśmy też – statystycznie rzecz biorąc – niespełnione w życiu seksualnym, nie znamy swojego ciała, nie wiemy, co lubi, jak mu sprawić przyjemność. Oczekujemy, że to się wydarzy samo. Podobnie przy porodzie: naprawdę wciąż często zdarza się tak, że nikt z kobietą nie rozmawia o tym, czego by potrzebowała – w jednym z najważniejszych dni w jej życiu.

Zadałam jednej z moich rozmówczyń, siostrze Annie Bałchan, pytanie, czy spodziewała się tego, co zastała w klasztorze. Spojrzała na mnie i powiedziała: „Ty masz męża i dzieci?” „Tak, mam”. „No i spodziewałaś się, jak to twoje życie będzie wyglądać? Byłaś na wszystko przygotowana?” Dało mi to do myślenia. Na ile możemy się przygotować do swoich życiowych, kobiecych ról?

Koncept przygotowywania się na coś wydaje mi się iluzoryczny. Nie możemy się przygotować na to, co nas czeka, gdy wejdziemy w związek, gdy pojawi się dziecko, ani na poród – bo to żywioł. Nie możemy przygotować starszego dziecka na pojawienie się młodszego, nie możemy się przygotować na czyjąś śmierć. Jeśli „przygotowanie na coś” miałoby powodować, że gładko wejdę w to doświadczenie i nie będę przeżywać trudnych uczuć, to nie znam na to sposobów. Co możemy robić, to rozmawiać z innymi, którzy mają podobne doświadczenia, możemy się namyślać, omawiać to, znajdować słowa, żeby wyciągać to na światło dzienne, żeby nie było ukryte pod dywanem, w szafie. Ale i tak życie nas zaskoczy. Sztuka polega na tym, żeby przyjmować to, co się wydarza, w miarę świadomie i dopuszczać do siebie uczucia, które się z tym wiążą,

pozwalać się zaskakiwać, umieć przeżyć to zaskoczenie, czasem rozczarowanie, niepokój, ekscytację. Nie zamknąć się na to, co nowe.

Znam kilka sióstr, które do decyzji o odejściu z zakonu dojrzały chwilę przed czterdziestką. Czy to jest efekt kryzysu wieku średniego? Jakiś czas przełomu?

Będziemy teoretyzować, bo są pewne wspólne mianowniki, do których lubimy odnosić wszystkich ludzi, a potem się okazuje, że każda historia jest inna. Możemy sobie jednak wyobrazić, że około czterdziestki przychodzi czas pierwszego bilansu, podsumowania.

Pierwszego?

Myślę, że tak. Bo to taki moment, kiedy pojawia się już przed tobą pewien horyzont. Przedtem czas był czasem trochę dziecięcym, nieskończonym. Jeszcze trochę pamiętam – chociaż już coraz mniej – jak to było: móc myśleć, że przyszłość nie ma granic, że mam przed sobą mnóstwo wyborów, mnóstwo możliwości. W którymś momencie przychodzi chwila, kiedy dociera do ciebie świadomość horyzontu, tego, że to życie się jednak kiedyś skończy. Staje się ono wtedy czymś ograniczonym w czasie, czymś, co ma swój początek, środek i zakończenie. I wtedy może się zdarzyć moment egzystencjalnego namysłu nad tym, co się zrobiło ze swoim życiem i co się jeszcze chce z nim zrobić. Być może w takim właśnie momencie zakonnice, o których wspomniałaś, doszły do konkluzji, że tyle i tyle się wydarzyło, tyle i tyle zyskały, a tyle straciły, i pojawiło się pytanie, co dalej. Może zrozumiały, że dalej już tak nie chcą, bo jednak nie dostały tego, czego się spodziewały: satysfakcji, spełnienia, poczucia twórczego uczestniczenia w świecie.

Wróćmy do twojej specjalizacji psychoterapeutycznej...

Prawie całe życie zawodowe zajmuję się matkami, więc moje serce jest przy matkach, zwłaszcza małych dzieci.

A przy zakonnicach?

Pamiętam, że gdy czytałam książkę *Zakonnice odchodzą po cichu* Marty Abramowicz, miałam poczucie, że otworzył się przede mną nowy świat, którego zupełnie nie znałam, bardzo ciekawy. Interesowało mnie, jak to się dzieje, że ktoś wybiera taką drogę, i jak sobie potem z nią radzi. Z książki wynikało, że siostry są jednak źle traktowane, poniżane, żyją w mocno patriarchalnej strukturze, w której kobieta podlega mężczyźnie, a jej podstawowym obowiązkiem jest poświęcenie i posłuszeństwo. To budziło mój protest. Po tej lekturze jest we mnie dużo współczucia i choć wiem, że to trochę dziecinne, kiedy widzę na ulicy siostrę zakonną, mam ochotę zapytać, czy u niej wszystko OK.

Miałam podobnie, ale po rozmowach z siostrami zastanawiam się, czy myśląc: „Szkoda mi Ciebie”, nie odbieramy zakonnicom prawa do ich własnego wyboru. Co nam do tego, że decydują się na zamknięcie w hierarchicznej strukturze, jeśli to ich decyzja?

Nie chciałabym tych kobiet ani ich decyzji traktować protekcjonalnie. I nie mam tutaj jasności. Ciekawa jestem, ile kobiet podjęło tę decyzję absolutnie świadomie, ile codziennie się w niej utwierdza, a ile jest takich, które są w tym, bo już nie wiedzą, jak miałyby zawrócić z tej drogi. Albo takich, które uciekły z domu od ojca alkoholika, bo przyjechała jakaś fajna dziewczyna, która grała na gitarze, była ciepła, rozumiejąca

i zaproponowała taką drogę, która może być azylem. Czy się stała? Pewnie bywa różnie.

Dużo myślałam o macierzyństwie w kontekście sióstr. Zastanawiam się, na ile praca z dziećmi, opiekowanie się nimi, prowadzenie dla nich szkół może być pewną emanacją instynktu macierzyńskiego.

Myślę, że instynkt macierzyński nie istnieje, ale to temat na osobną rozmowę. Nie chciałabym, żebyśmy przyjmowały założenie – bardzo powszechne w naszej sferze publicznej – że aby kobieta mogła poczuć się spełniona, musi zostać matką. Wciąż słyszymy, że dopiero macierzyństwo sankcjonuje dorosłość kobiety, a jeśli ona nie ma bądź nie chce mieć dzieci, jest traktowana jako niedojrzała, z jakimś deficytem. I jeszcze słyszy, że będzie żałować. Tymczasem to przecież nie jest jedyna droga rozwoju. Można być dojrzałą, bardzo twórczą i pełną satysfakcji kobietą, która zdecydowała się dzieci nie mieć. Pytanie, czy w klasztorze można tę kreatywność realizować, czy można przeżyć spełnienie. Nie mam na nie odpowiedzi.

Z jednej strony krzywdzące jest powiedzieć siostrze: „Co ty wiesz o wychowaniu dzieci, skoro sama nie jesteś matką?”. Ale z drugiej – może nie wszystko jest takie oczywiste... Siostra Anna opowiadała mi, że na pierwszym spotkaniu z pewną prostytutką usłyszała: „Nie będę rozmawiać z dziewicą!”. Odpowiedziała: „Skąd wiesz, że z dziewicą?!”.

Myślę, że pewne doświadczenia są prawdopodobnie siostronom niedostępne. Jeśli ktoś nie rodził dzieci, to pewnie bardzo trudno mu wyobrazić sobie, czym jest poród. Wybór zakonnicy niesie za sobą inne ograniczenia, bo – jak się domyślam – nie prowadzą żywego życia seksualnego. Chociaż pewnie i z tym bywa różnie, być może życie homoseksualne w obrębie zakonu

może być bardzo satysfakcjonujące. Porodu jednak z tego nie będzie. Wydaje mi się więc, że nie jest wszystko jedno, czy ktoś jest w zakonie, czy wybrał inną drogę. Ale „każdy wybór to strata”, jak mówiła profesor Hanna Świda-Ziemba, nie można mieć wszystkiego.

Bardzo poruszona byłam rozmową z siostrą Małgorzatą Borkowską. To niezwykle mądra kobieta. Z ogromną empatią i świadomością mówi o wielu sprawach dotyczących życia każdej i każdego z nas, choć od sześćdziesięciu lat zajmuje się głównie studiowaniem ksiąg. Jest mniszką w zakonie kontemplacyjnym.

Zaskoczyło cię to, jak wiele wie o sprawach, których sama nie doświadczyła? Być może umie słuchać. To jest trochę tak jak w relacji psychoterapeutycznej. Christopher Bollas, brytyjski psychoanalityk, mówił, że aby zrozumieć pacjenta, trzeba go najpierw odnaleźć w samym sobie.

Wierzysz w to?

Tak, jest mi to bardzo bliskie. Być może siostra ma dar nie tylko uważnego słuchania, ale też dopuszczania uczuć, które to słuchanie w niej budzi. Za każdym razem kiedy ktoś opowiada nam jakąś swoją historię, część tej historii w nas rezonuje i w tym sensie odnajdujemy tego kogoś w sobie, przestaje być nam zupełnie obcy. Są psychoterapeuci nieposiadający dzieci, którzy świetnie potrafią zrozumieć ludzi przychodzących z kłopotami wychowawczymi, choćby dlatego, że każdy terapeuta sam był kiedyś dzieckiem.

Czy w nowych czasach, kiedy zburzono stare schematy i powstają nowe, jest miejsce dla zakonów?

Dopóki ludzie chcą być w zakonach, to jest dla nich miejsce.

Chcą coraz mniej, pogłębia się kryzys powołań. Pytanie, jak zakony mogłyby się zmienić, żeby odpowiadać na zapotrzebowanie.

Czy w buddyjskich zakonach też jest taki kryzys?

Skąd to pytanie?

Być może są ludzie, którzy zawsze będą potrzebowali oddania się kontemplacji i w taki sposób będą chcieli realizować swoją ścieżkę życiową, tylko może formuła oparta na posłuszeństwie się wyczerpuje? A potrzeba bycia w odosobnieniu przetrwa?

A może zakony są potrzebne społeczeństwu, żeby wierzyło w boską obecność? Poeta i publicysta Wojtek Bonowicz mówi, że jemu, jako osobie wierzącej, zakonnice dają świadectwo tego, że w życiu jest jakaś większa wartość. Skoro są takie kobiety, które zawierzają się Bogu, to znaczy, że życie może znaczyć więcej, mieć jakiś sens metafizyczny. W języku angielskim jest taki ładny związek frazeologiczny: *there's something more to life*. W życiu chodzi o coś więcej. Jak na to patrzysz jako psycholożka?

Rozumiem, że Wojtek dostrzega to w zakonach, ale ja to widzę zupełnie gdzie indziej. Te znaki, że życie jest czymś więcej, dostrzegam na wielu różnych polach! Widzę młodych ludzi, którzy wojują o klimat; widzę dziewczyny z organizacji pozarządowych, które wojują, by nie odbierać kobietom praw człowieka na porodówkach; widzę ludzi, którzy zajmują się z wielką troską zwierzętami. Zobacz, wszyscy dopiero co doświadczyliśmy czegoś bardzo przejmującego, kiedy tysiące Polaków otworzyło drzwi

swoich domów i przyjęło do siebie absolutnie obcych ludzi. Bez żadnego odgórnego zarządzenia, ot tak! To się nie wydarzyło nigdzie indziej. Nie chcę tego idealizować – pewnie jest bardzo wiele powodów, dla których byliśmy dobrzy dla uchodźców i uchodźczyń z Ukrainy – ale to się wydarzyło. W obliczu próby ludzie zdecydowali się na wielką ofiarność. Czego chcieć więcej? Jesteśmy zdolni zarówno do rzeczy niepięknych, jak i do solidarności. Staram się na co dzień o tym pamiętać.

⁷³ Odniesienie do tytułu książki Barbary Skargi (przyp. red.).

⁷⁴ Andrzej Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.

Z naszego skarbcu⁷⁵

Pojęcia ludzi świeckich o życiu zakonnym bardzo często składają się z elementów czerpanych raczej z powieści niż z życia, a nawet nieraz między sobą sprzecznych. Przez długie lata miałam obowiązek oprowadzania wycieczek po naszym skarbcu, kościele i krużganku, toteż nasłuchiłam się przedziwnych rzeczy. Są oczywiście ludzie, którzy wiedzą, że nie wiedzą, toteż chcą się dowiedzieć; ale są i tacy, którzy są absolutnie przekonani, że sami najlepiej wiedzą; poznać ich po tym, że nie pytają, tylko twierdzą. W swojej naiwnej młodości także i takim usiłowałam coś wyjaśnić, ale potem nauczona doświadczeniem dałam spokój. Jeśli więc jakaś oprowadzana dama, przekonana, że zakonnice żyją z cudzej pracy, mówiła mi tonem pół zazdrosnym, a pół pogardliwym: „O, wy to tu macie dobrze!” – nie tłumaczyłam już nic, tylko odpowiadałam: „A to proszę przyjść do nas, są jeszcze wolne miejsca”. Z reguły padała odpowiedź: „O, nie głupiam!”. No właśnie.

Kiedy indziej na zakończenie oprowadzania zadano pytanie: – Siostrze, jak was tu pilnują, żebyście nie puciekały? – Wcale nas nie pilnują, widzi pan przecież, że jestem tu z państwem sama i nikt nie sprawdza, czy się stąd nie zabiorę państwa autokarem. – Ależ bardzo prosimy! – Dziękuję, nie skorzystam: jestem w kapciach, przemoczyłabym nogi na błocie. (...)

⁷⁵ Felieton pochodzi ze zbioru anegdot z życia zakonnego *A w naszym klasztorze...*, który siostra Małgorzata Borkowska napisała wspólnie z benedyktyńskim ojcem Konradem Małym (Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2013).

BIBLIOGRAFIA

- Abramowicz Marta, *Zakonnice odchodzą po cichu*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2017
- Baldwin Monica, *Przeskoczyłam mur. Powrót do świata po dwudziestu ośmiu latach życia w klasztorze*, przeł. Amelia Łączyńska, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1963
- s. Baumann Benedykta Karolina OP, *Zakonnica bez przebrania*, Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2022
- Borkowska Małgorzata OSB, *Białe i bure. Historia życia monastycznego w dużym skrócie*, Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2019
- Borkowska Małgorzata OSB, *Legenda żarnowiecka*, Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2020
- Borkowska Małgorzata OSB, *Mniszki*, Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2019
- Borkowska Małgorzata OSB, *Oślica Balaama. Apel do duchownych panów*, Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2018
- Borkowska Małgorzata OSB, Małys Konrad OSB, *A w naszym klasztorze...*, Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2013
- Budzyńska Natalia, *Ja nie mam duszy. Sprawa Barbary Ubryk, uwięzionej zakonnicy, której historią żyła cała Polska*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2020

- Drogi do szczęścia*, rozmowy z siostrami zakonnymi prowadzi Marzena Juraczko, Wydawnictwo „Bernardinum”, Pelplin 2018
- Duchowość zakonna. Zakony w Polsce. Katalog*, oprac. Józef Kozak, Wydawnictwo Znak, Kraków 1994
- Dzięki Bogu jestem zakonnica. Historie spełnionych kobiet*, rozmawiała Małgorzata Terlikowska, Wydawnictwo Esprit, Kraków 2019
- Kobieta nie jest grzechem*, z siostrą Anną Bałchan o problemie prostytucji (i nie tylko) rozmawia Katarzyna Wiśniewska, wyd. 2, Wydawnictwo Emmanuel, Katowice 2014
- Łoziński Bogumił, *Leksykon zakonów w Polsce. Instytuty życia konsekrowanego i stowarzyszenia życia apostołskiego*, Katolicka Agencja Informacyjna, Warszawa 2009
- s. Myk Eliza, s. Gil Tymoteusza, *Siostry z Broniszewic. Czuły Kościół odważnych kobiet*, rozmawiają Łukasz Wojtusik i Piotr Żyłka, Wydawnictwo WAM, Kraków 2021
- Paweł VI, *Charyzmat życia zakonnego. Przemówienia i dokumenty*, wybór i oprac. ks. Alojzy Żuchowski SAC, s. Teresa Sułowska SJK, Pallottinum, Poznań – Warszawa 1974
- Przewodnik streetworkera*, oprac. merytoryczne s. Anna Bałchan, Magdalena Lasota, Stowarzyszenie PoMOC dla Kobiet i Dzieci im. Marii Niepokalanej w Katowicach, Katowice – Opole 2010
- Radzik Zuzanna, *Emancypantki. Kobiety, które zbudowały Kościół*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2018
- Radzik Zuzanna, *Kościół kobiet*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2020
- Raina Peter, *Losy sióstr zakonnych w PRL 1954–1956*, Wydawnictwo Von Borowiecky, Warszawa 2004
- Rotter Lucyna, Pawelec Dariusz, *Co można opowiedzieć ubiorem? Semantyka strojów zakonnych*, Wydawnictwo Avalon, Kraków 2021

Tondys Ewelina, *Habit zamiast szminki, czyli zakonnice zabierają głos*,
Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2017

Tyczkowska Paulina, Kuza Jakub, *Krótką historia jednego zdjęcia. Kobiety*,
Wydawnictwo Znak, Kraków 2019

Zbudowane. To się dzieje naprawdę, z s. Anną Bałchan SMI i s. Barbarą
Zawiłą SMI rozmawia Marcin Jakimowicz, Stowarzyszenie PoMOC dla
Kobiet i Dzieci im. Marii Niepokalanej w Katowicach, Katowice 2021

PODZIĘKOWANIA

Najbardziej za tę książkę chciałabym podziękować Katarzynie Węglarczyk, czyli mojej redaktorce. Z pewnym przerażeniem w oczach podeszła do mnie pewnego wieczora, po spotkaniu w Big Book Cafe w Warszawie, które prowadziłam, mówiąc: „Mam dla ciebie pewną propozycję. Obserwuję cię od dłuższego czasu i widzę, że potrafisz ciekawie porozmawiać z każdym. Czy porozmawiałabyś z zakonnicami?”. Wtedy jeszcze sama nie wierzyłam, że takie rozmowy są w moim zasięgu. Dziękuję, Kasiu, że zaprosiłaś mnie do tego, by po nie sięgnąć, i powiedziałaś mi najlepszy komplement, jaki w moim odczuciu może usłyszeć dziennikarz_rka: „potrafisz ciekawie porozmawiać z każdym”. Niezmiennie to główny cel mojej zawodowej drogi. Dopóki nie stracę tej umiejętności lub chociaż chęci, żeby próbować rozmawiać z każdym – ten zawód będzie miał dla mnie sens.

Wielkie dzięki wszystkim rozmówczyniom. Jak wspominałam we wstępie, dotarcie do zakonnicek, które chcą odpowiadać na różne pytania, a finalnej wersji wywiadu nie porwą na strzępy w czasie autoryzacji, to wyzwanie, szczególnie jeśli chce się pytać nie tylko o tak przyjemne kwestie jak powołanie i uroki bycia w zakonie. Dziękuję siostrze Dolores, siostrze Annie, siostrze Irenie, siostrze Benedykcie, siostrze Małgorzacie, Izie oraz siostronom ze Wspólnoty Karmel Ducha Świętego. Dziękuję też księdzu Stanisławowi, który wzbogacił tę książkę „spojrzeniem z boku”,

i Justynie Dąbrowskiej, która „rzutem na taśmę” w finałowym etapie pracy nad tekstem podzieliła się swoimi refleksjami, wynikającymi z wieloletniej pracy z kobietami, niekoniecznie konsekrowanymi.

Wdzięczność wędruje również do współtwórcy tej opowieści, mojego kolegi z Radia ZET Waldka Maniewskiego. Waldku, poza tym, że jesteś jednym z najlepszych wydawców, z jakimi pracowałam, rozmowy z Tobą pozwoliły mi lepiej zrozumieć temat, z którym się zmierzyłam. I choć pewnie nie jestem w stanie wejść w buty człowieka głęboko wierzącego, to jednak widzę go wyraźniej dzięki Twoim podpowiedziom.

Dziękuję moim rodzicom. Oboje są dziennikarzami. Kiedy zadzwoniłam do nich z informacją, że Wydawnictwo Znak zaproponowało mi napisanie książki z zakonnkami w rolach głównych, nie wahali się ani minuty i niemal na trzy cztery powiedzieli: „No, co za świetny temat!”. Dzięki, Staruchy. Wasze zdanie zawsze dużo dla mnie znaczy.

Dziękuję też moim chłopakom, czyli synom Heniowi i Marianowi, za dzielne znoszenie tego, że „Mama idzie pisać”, „Mama pisze”, „Mamy nie ma, bo pisać pojechała”. A przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi, który z uśmiechem życzliwości znosi przy każdej kolejnej książce moje mówienie: „Więcej nie będę pisać! To moja ostatnia książka!”. Ta jest piąta.

Dziękuję wszystkim życzliwym mojej pracy osobom i całej ekipie Znak – szanuję i podziwiam.

Na koniec dziękuję siostrze Weronice, która opiekuje się domem dla gości w klasztorze Benedyktynek w Żarnowcu, choć pewnie zdziwiłaby się tą moją wdzięcznością. Gdyby każda zakonnica była tak gościnna i bezpośrednia, bezproblemowo otwarta nawet na niewierzące serce, a do tego pełna ogromnego hartu ducha, społeczny odbiór sióstr byłby bez cienia wątpliwości bardzo dobry.

Projekt okładki
Izabela Kaczmarek-Szurek / Formallina Illustration

Współpraca
Waldemar Maniewski

Redakcja
Katarzyna Węglarczyk

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Aleksandra Kiełczykowska

Łamanie
CreoLibro

Copyright © by Justyna Dźbik-Kluge
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-240-6785-5

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, 2023.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik